

radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

1(9)
märz
marzec
березень
сакавік
2014

BELARUS
POLEN



ISSN/ISSN/ICCH 2081-4577

RADAR

magazyn literacki
Kraków 2014, nr 09
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA

Renata Serednicka
(redaktor naczelna)
Urszula Pieczek
(serwis internetowy)

zespół redakcyjny

Małgorzata Buchalik
Ursula Kiermeier
Robert Ostaszewski
Ostap Slywynski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk

współpracownicy

Matthias Kretzschmar

RADAR ONLINE

www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY, ILUSTRACJE, SKŁAD

Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI

Anna Jaworska-Kruk

WYDAWCA

Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK

Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKŁAD

1.000 egzemplarzy

ZDJĘCIA

© Rostysław Szpuk

RADAR

literaturmagazin
Krakau 2014 Nr. 09
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKTION

Renata Serednicka (chefredak-
teurin)
Urszula Pieczek
(internetseite)

redaktionsmitglieder

Małgorzata Buchalik
Ursula Kiermeier
Robert Ostaszewski
Ostap Slywynski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk

zusammenarbeit

Matthias Kretzschmar

RADAR ONLINE

www.e-radar.pl

GRAPHIK, ILLUSTRATIONEN, SATZ

Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
(Pracownia Grafiki), Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

UMSCHLAGEGESTALTUNG

Anna Jaworska-Kruk

HERAUSGEBER

Verein Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUCK

Druckerei Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

AUFLAGE

1.000 Exemplare

FOTOS

© Rostyslav Shpuk

РАДАР

літературний журнал
Краків 2014, № 09
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ

Рената Середницька
(головний редактор)
Уршуля Печек
(веб-редактор)

редколегія

Малгожата Бухалік
Урсуля Кірмеєр
Роберт Осташевський
Остап Сливинський
Наталка Сняданко
Андреас Фольк

співпраця

Матіяс Крецшмар

РАДАР ОНЛАЙН

www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН, ІЛЮСТРА- ЦІЇ, ВЕРСТКА

Дорота Гавришевська
Аня Яворська-Крук
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ

Аня Яворська-Крук

ВИДАВЕЦЬ

Асоціація Вілла Деціус
вул. 28 Липня 17а
PL 30-233 Краків
www.villa.org.pl

ДРУК

Друкарня Лейко
вул. Романовича 11
PL 30-702 Краків
www.leyko.pl

НАКЛАД

1.000 примірників

ФОТО

© Ростислав Шпук

РАДАР

літаратурны часопіс
Кракаў 2014, № 09
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЭДАКЦЫЯ

Рэната Серадніцка
(галоўны рэдактар)
Уршуля Печак
(вэб-рэдактар)

рэдкалегія

Малгажата Бухалік
Урсуля Кірмеэр
Роберт Асташэўскі
Астап Слівінскі
Наталка Сняданка
Андрэас Вольк

супрацоўнікі

Матіяс Крецшмар

РАДАР ОНЛАЙН

www.e-radar.pl

ГРАФІЧНЫ ДЫЗАЙН, ІЛЮСТРАЦЫІ, ВЁРСТКА

Дарота Гаўрышэўска
Ганна Яворска-Крук
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРАЕКТ ВОКЛАДКІ

Ганна Яворска-Крук

ВЫДАВЕЦ

Таварыства Віла Дэціюша
вул. 28 Ліпеня 17а
PL 30-233 Кракаў
www.villa.org.pl

ДРУК

Друкарня Лейка
вул. Рамановіча 11
PL 30-702 Кракаў
www.leyko.pl

НАКЛАД

1.000 асобнікаў

ЗДЫМКІ

© Расьціслаў Шпук

POLEN, DIE UKRAINE, BELARUS

POLSKA, UKRAINA, BIAŁORUŚ

Als das Projekt „tranzyt“ im Jahr 2012 begann, war unsere Einstellung zur Welt so positiv, dass wir uns Themen leichteren Kalibers zuwandten: populären Erzählungen über Fußball. Aus der Perspektive des Spiels war die Welt verständlicher, und die Verhaftung von Julia Timoschenko erschien ganz einfach als „Abseits“, das kein Schiedsrichter, der etwas auf sich hielt, je hätte durchgehen lassen.

Wir waren begeistert von der grenzüberschreitenden Interkulturalität und befassten uns in unseren Texten zugleich mit Nationalismen und den Schattenseiten der Herausbildung unserer weißrussischen, polnischen und ukrainischen nationalen Identitäten. Wir wollten darüber ins Gespräch kommen, gemeinsame Geschichten miteinander teilen, uns gegenseitig unterstützen, wie in einer Familie.

2011 feierte Polen den 100. Geburtstag des Literaturnobelpreisträgers Czesław Miłosz. Uns inspirierte das Wort „rodzinny“ (familiär) im Titel seines Buches *Rodzinna Europa*. In der deutschen Übersetzung von Miłosz' Buch *West- und Östliches Gelände* ist dieses Wort abhanden gekommen. Vielleicht ist das auch besser so, denn die Konnotationen zum Wort „Familie“ haben zuletzt einen unheilvollen Beigeschmack bekommen. Die Ukraine wollte keine „familiäre“ Demokratie, die sich auf die Verwandten und Bekannten des Präsidenten stützte, und einmal mehr standen die Bürgerinnen und Bürger Arm in Arm auf dem Majdan, dem Platz der Unabhängigkeit in Kiew. Dieser Protest, anfangs eine friedliche Demonstration, sah sich mit der brutalen Gewaltanwendung der Machthaber konfrontiert. So begann die Revolution, deren eigentliche Triebkraft das Streben der Ukrainer und Ukrainerinnen nach Freiheit ist. Ukrainische Schriftsteller setzten Helme auf und bauten Barrikaden. Barrikaden sind romantisch, aber sie trennen und setzen gefährliche Mechanismen in Gang, die – je länger sie wirken – manchmal nur sehr schwer wieder aufzuhalten sind.

Der politische „Horror“ schwächt unseren Enthusiasmus keineswegs, ein offenes gemeinsames Europa und unabhängige, aber vereinte europäische Literaturen zu schaffen. In der dritten Edition von „tranzyt“ und danach wollen wir diesen Enthusiasmus entfachen, indem wir freie Literatur aus Weißrussland, der Ukraine und Polen lesen. Hoffentlich nicht mehr auf Barrikaden.

Kiedy w 2012 roku wystartował projekt „tranzyt“ byliśmy do tego stopnia pozytywnie nastawieni do świata, że sięgnęliśmy do tematów lżejszego kalibru - popularnych opowieści o piłce nożnej. Świat przez pryzmat gry był bardziej zrozumiały, a uwięzienie Julii Tymoszenko wydawało się zwykłym „spalonym“, którego nie uznają żaden szanujący się sędzia.

Byliśmy entuzjastami transgraniczności i interkulturowości, prezentując jednocześnie teksty o nacjonalizmach i niełatwych aspektach kształtowania się naszych: białoruskich, polskich i ukraińskich identyfikacji narodowych. Chcieliśmy o tym rozmawiać, dzielić się wspólnymi opowieściami, wspierać, jak w rodzinie.

W 2011 roku Polska świętowała stulecie urodzin noblisty Czesława Miłosza. Inspirowało nas słowo „rodzinny“ w tytule *Rodzinnej Europy*. W niemieckim tłumaczeniu książki Miłosza *West und Östliches Gelände* to słowo ginie i lepiej, żeby tak zostało tak, bo ostatnio konotacje ze słowem „rodzina“ przybrały złowieszczy charakter. Ukraina nie chciała „rodzinnej” demokracji opartej na krewnych i znajomych prezydenta i po raz kolejny stanęła ramię w ramię na kijowskim Majdanie Niezależności. Obywatelska akcja, początkowo o charakterze pokojowej manifestacji, została skonfrontowana z brutalną akcją siłową ze strony władzy. Rozpoczęła się rewolucja, której prawdziwą siłą jest dążenie Ukraińców i Ukrainek do wolności na każdym poziomie. Ukraińscy pisarze założyli kaski i zaczęli budować barykady. Barykady są romantyczne, ale dzielą i uruchamiają niebezpieczne mechanizmy, które z czasem trudno zatrzymać.

Polityczny „horror” nie osłabia naszego entuzjazmu w budowaniu otwartej i wspólnej Europy oraz niezależnych, ale zjednoczonych europejskich literatur. W ramach trzeciej edycji „tranzytu” i później, chcemy podsycać ten entuzjazm, czytając wolną literaturę z Białorusi, Ukrainy i Polski. Oby już nie na barykadach.

die Redaktion
Redakcja

- 3 DEN HORROR HINTER SICH LASSEN PRZEKRACZANIE HORRORU**
{Przemysław Czapliński Przemysław Czapliński} Übersetzung: Ursula Kiermeier
- 14 ALTGLAS ШКЛАТАРА**
{Artur Klinaï Артур Клінаї} Übersetzung: Thomas Weiler
- 22 WASSER ВОДА**
{Kateryna Kalutko Катерина Калитко} Übersetzung: Alexander Kratochvil
- 28 GEDICHTE WIERSZE**
{Jacek Dehnel Jacek Dehnel} Übersetzung: Ursula Kiermeier
- 38 GEDICHTE WIERSZE**
{Олена Герасим'юк Olena Herasymjuk} Übersetzung: Claudia Dathe
- 46 ZACHARIA ЗАХАРІЯ**
{Ksenja Chartschenko Ксеня Харченко} Übersetzung: Kati Brunner
- 52 GEDICHTE WIERSZE**
{Maxim Tank Максим Танк} Übersetzung: Thomas Weiler
- 58 RECHT AUF RHYTHMUSSTÖRUNG ПРАВА НА АРІТМІЮ**
{Alhierd Bacharevič Альгерд Бахарэвіч} Übersetzung: Thomas Weiler
- 62 PAPUSZA PAPUSZA**
{Angelika Kuźniak Angelika Kuźniak} Übersetzung: Andreas Volk
- 70 BÄUME ДРЭВЫ**
{Michał Aniempadystaï Міхал Анемпадыстаў} Übersetzung: Steffen Beilich
- 75 DER HANTELFALL, ODER SCHRUBBER AUF DEN BOCK**
ШТАНГАЙ ПА НАЗЕ, АЛЬБО НАКРЫЙ КАЗЛА МАТАМ
{Viktar Žybul Віктар Жыбуль} Übersetzung: Tina Wünschmann
- 88 DER STÄHLERNE PROPHEZIE STALOWY PROROK**
{Łukasz Orbitowski Łukasz Orbitowski} Übersetzung: Ursula Kiermeier
- 96 DIE SCHULE ШКОЛ**
{Wladimir Koslow Владимир Козлов} Übersetzung: Steffen Beilich
- 102 DIE KRÖNUNG КОРОНАЦІЯ**
{Andrij Ljubka Андрій Любка} Übersetzung: Maria Weissenböck
- 601 LITERATURKRITIK IN DER UKRAINE – FIKTION ODER REALITÄT?**
ЛІТЕРАТУРНА КРИТИКА В УКРАЇНІ – ФІКЦІЯ ЧИ РЕАЛЬНІСТЬ?
{Iryna Slawinska Ірина Славінська} Übersetzung: Lydia Nagel
- 114 GEDICHTE WIERSZE**
{Piotr Matywiecki Piotr Matywiecki} Übersetzung: Andreas Volk
- 120 GEDICHTE WIERSZE**
{Hryhorij Semenchuk Григорій Семенчук} Übersetzung: Beatrix Kersten
- 128 DIE WAHRE HEIMAT MEINES VATERS WAR DIE POLNISCHE SPRACHE**
PRAWDZIWIYM KRAJEM OJCA BYŁ JĘZYK POLSKI
{Wojciech S. Wocław/Elżbieta Wittlin-Lipton Wojciech S. Wocław/Elżbieta Wittlin-Lipton} Übersetzung: Jakob Waloszczyk
- 135 DIE ZWEI GESICHTER DES MAJDAN DWA OBLICZA MAJDANU**
{Paweł Pieniążek Paweł Pieniążek} Übersetzung: Melanie Foik
- 141 PREIS DER IDENTITÄT ЦЕНА ІДЕНТИФІКАЦІИ**
{Zaven Bablojan Завен Бабляян} Übersetzung: Olha Sydor



► Polen ist weder die Heimat Graf Draculas noch das Vaterland Frankens teins noch ein mitteleuropäisches Babelsberg für Horrorfilme. Dennoch drängt sich der Eindruck auf, das heutige Polen habe viel mit dem Horror gemein.

Der logische Zusammenhang lässt sich auf folgende knappe Formel bringen: Unser öffentliches Leben wird von Affekten beherrscht, die Affekte werden vom Abscheu gesteuert, der Abscheu ist Anstoß zur Gewalt. Deshalb verharrt die gesellschaftliche Kommunikation im Horror. Dieser Status quo trägt Züge befreiender Ekstase und quälender Ausweglosigkeit. Er gleicht einem Erwachen, das keine luzide Sicherheit gewährt, einer Normalität, die starrköpfig einen Albtraum nachhafft. Die verschwommenen Regeln jenes befremdlichen Zustands diktiert die polnische Wirklichkeit die Literatur, daher konzentriere ich mich auf sie und stelle drei schlichte Fragen: Wie kam es dazu, dass die Literatur die polnische Vorstellungswelt mit dem Horrorvirus infizierte? Welche Erscheinungsformen nimmt das Leben im Horror an? Und wie kann man ihn hinter sich lassen?

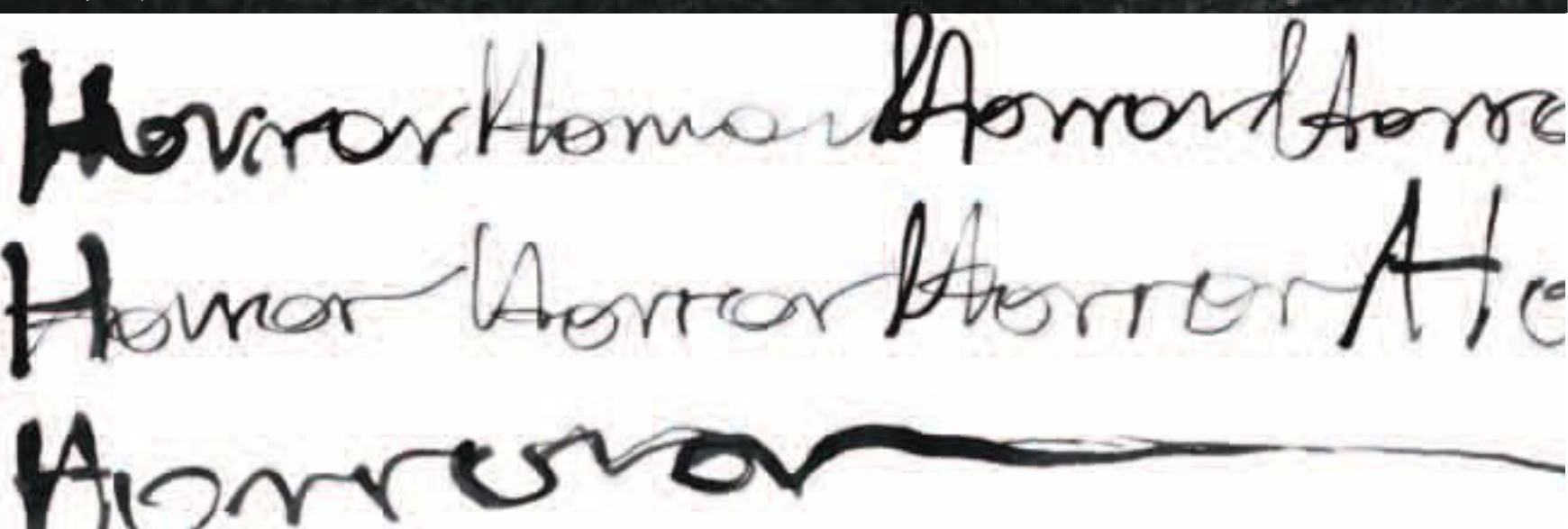
Der weiße Horror

Um den Prozess der Übernahme der gesellschaftlichen Kommunikation durch den Horror nachzuvollziehen, müssen wir uns kurz in den Moment seiner Entstehung zurückversetzen, d.h. in die Mitte der 1980er Jahre. In den Jahren 1985 bis 1989 – also noch vor der Implosion des Sowjetsystems, noch vor der Wiedererlangung der Unabhängigkeit Polens, noch vor dem Fall der Berliner Mauer und noch vor Ende des Kalten Kriegs – erschienen in Polen Bücher, die eine neue Wirklichkeit entwarfen. Die wichtigsten – Paweł Huelles *Weiser Dawidek*, Hanna Kralls *Die Untermieterin*, Andrzej Szczypiorskis *Die schöne Frau Seidenman*, Jarosław Marek Rymkiewicz' *Umschlagplatz*, Henryk Grynbergs *Kalifornisches Kad-disch*, Piotr Szewc' *Vernichtung*, Jerzy Ficowskis *Cyganie na polskich drogach (Zigeuner auf polnischen Straßen)*, Erwin Kruks *Kronika z Mazur (Chronik aus Masuren)*, Grzegorz Musiałs *W ptaszarni (Im Vogelhaus)* – zeigten nicht die parlamentarische Demokratie und waren keine Gebrauchsanleitungen für das demokratische System. Ganz im Gegenteil. Sie entwarfen eine Welt voller

DEN HORROR HINTER SICH LASSEN PRZEKRACZANIE HORRORU



© Rostyslav Shpuk



ethnischer, religiöser, regionaler und sexueller Differenz und kontrastierten die Vielfalt mit dem Polen der 1980er Jahre. Relevanz bekam dieser Rückbezug deshalb, weil die polnische Gesellschaft der 1980er Jahre ein Identitätsbild konstruiert hatte, das auf Gleichförmigkeit basierte: Im symbolischen Krieg gegen die Machthaber der Volksrepublik Polen und den Sozialismus nutzte man das Instrument der Negation. Das heißt, die wichtigsten Identitätskonstituenten entstanden nicht aus einer Arbeit an der Identität, sondern im Zuge des Widerspruchs gegen das staatlich aufgezwungene Bild. Da die Machthaber als kommunistisch, atheistisch, "asiatisch", sowjetisch und totalitär galten, sah sich die Gesellschaft, die sich dem Regime widersetzte, automatisch als demokratisch, europäisch, polnisch, religiös und tolerant. Infolge der Negationsarbeit nahm die kollektive Identität identische Züge an. Die imaginierte Gemeinschaft war in den 1980ern einsprachig, monoideell, monokonfessionell, eingeschlechtlich und monosexuell. Eine Widerspruchslogik ist stark, allerdings der Selbsterkenntnis wenig zuträglich. Eine Gesellschaft, die weiß, was sie nicht will, ist noch keine Gesellschaft, die weiß, was sie will.

Deshalb war es von zentraler Bedeutung, Vielfalt aufzuzeigen. Die Literatur ging dafür bis ins 19. Jahrhundert zurück, in die Zwischenkriegszeit, in die Besatzungszeit, in die unmittelbare Nachkriegszeit und legte jedes Mal einen weiteren Mosaikstein der einstigen Vielfalt von Polens Wohnbevölkerung frei. In jenen Werken traten vor allem ethnische (Juden, Weißrussen, Ukrainer, Litauer, Roma) oder religiöse (Judentum, Orthodoxie, Islam) Unterschiede zutage, aber auch weltanschauliche und sexuelle. Die Schriftsteller banden die Leser also in ihre Anamnese ein, in die Rückerinnerung an eine Differenz, die zu verschiedenen Zeiten des 20. Jahrhunderts verloren ging.

Das barg eine trügerische historische und eine leichte politische Lektion. Angelastet wurde das Verschwinden des Andersseins der jüdischen oder ukrainischen, belarussischen oder kaschubischen Bevölkerungsgruppen in erster Linie dem Totalitarismus in seinen verschiedenen Spielarten: Die bolschewistische Revolution in Russland hatte den Fortbestand der Kresy beendet, des einstigen ostpolnischen Grenzlands im westlichen Belarus und der Westukraine, in dem die Polen vermeintlich einträchtig mit der einheimischen Bevölkerung zusammengelebt hatten; der von deutscher Hand begangene Holocaust hatte die Juden aus Polen entfernt; der Stalinismus und die späteren, weicheren Kommunismusvarianten hatten aus Polen die regionale Vielfalt herausgespült, indem sie Masuren, Kaschuben und Schlesier abschafften. Den Rest erledigte der Kriegszustand, gegen den die polnische Gesellschaft sich weltanschaulich einte und somit selbsttätig den Uniformierungsprozess zu seinem Ende brachte.

Dieser Vorgang erschien in der Literatur als Warnung vor einer Wiederholung der Geschichte. Denn die Literatur sah im Verlust der Vielfalt unsere größte gesellschaftliche Niederlage, die das kollektive Leben in einen Zustand melancholischer Apathie versinken ließ. Beim Übergang in eine neue historische Epoche gelte es daher, eine kollektive Identität zu schaffen, die die Vielfalt achte. Die Schriftsteller schlugen ein einziges Fundament der neuen Gesellschaft vor – eine Ethik des Anderen, d.h. das

Prinzip des Gewaltverzichts gegenüber den Identitäten, die von der Mehrheitsidentität abweichen.

Genau das, den Rückbezug auf die einstige Vielfalt und die Ethik des Anderen, hatte ich im Sinn, als ich schrieb, die Literatur habe eine neue Gesellschaft entworfen. Das soll nicht heißen, die Prosa hätte die Vielfalt erst geschaffen, sondern sie ersann die Regeln für eine kollektive Existenz, d.h. Pluralismus und Demokratie, wobei sie die Minderheiten unter die Obhut dieser Demokratie stellte.

Hier lag jedoch der Keim späterer Konflikte verborgen. Wenn wir heute, gut zwanzig Jahre danach, auf die Literatur Ende der 1980er und Anfang der 1990er Jahre zurückschauen, fällt auf, dass sie von Geistern bevölkert war. In den Romanen und Erzählungen, Dramen und Spielfilmen begegneten wir sanften Erscheinungen wieder, träumerischen und freundlichen Wesen, die in ihrem Geistsein das erlittene historische Unrecht illustrierten. Die Bewohner der Vergangenheit kamen zu uns und baten uns lediglich um unser Gedenken – sie rechneten nicht mit dem Unrecht ab, forderten kein Raubgut zurück und nannten keine Schuldigen beim Namen. So erschuf die polnische Literatur Ende der 1980er Jahre den einzigen weißen Horror im europäischen Kontext – eine Erzählung über gute Geister, die uns mit ihrer verbliebenen Seinskraft erreichten und uns eine Botschaft für das neue Zeitalter mitgaben. Es waren makellose Figuren. War es ein Deutscher, dann ein anständiger, hilfsbereiter, moralischer, melancholischer und kriegsferner Deutscher wie Hanemann. War es eine Jüdin – wie Irma Seidenman bei Szczypiorski – so war sie schön und faszinierend; war es ein Jude, dann war er – wie Weiser Dawidek in Paweł Huelles Roman – mit übernatürlichen Kräften begabt.

Das Außergewöhnliche dieser Heimkehrer aus der Vergangenheit war deshalb problematisch, weil sie den Gegenwartsbewohnern, zu denen sie über Bücher gelangten, nichts abforderten. Das unerhörte Schauspiel, dessen Zeugen wir wurden, kannte nur eine Richtung – die Ausweitung der Ahnenfeier, des wichtigsten symbolischen Rituals zum Totengedenken in der polnischen Kultur. Von nun an sollen wir nicht nur der "eigenen" Toten gedenken und sie beweinen, sondern auch der "fremden", nicht nur der Polen, sondern auch der Juden, nicht nur der Teilnehmer des Warschauer Aufstands, sondern auch der Teilnehmer des Aufstands im Warschauer Ghetto, nicht nur der polnischen Zivilbevölkerung, sondern auch der Weißrussen, Ukrainer, Roma und Kaschuben.

Darin lag ein unbemerktes, aber wichtiges Paradoxon: Die polnische Demokratie gedieh auf fruchtbarer Friedhofserde, sie bereitete den Aufbau eines repräsentativen Systems auf der Basis einer Differenz vor, die es längst nicht mehr gab. Wenn die guten Geister der Vergangenheit auf Dauer bei uns heimisch werden, die Aufgabe der Pluralismushüter wahrnehmen sollten, dann mussten sie ihren Seinsstatus ändern und lernen, sich unter Lebenden zu bewegen.

Zu diesem Wandel kam es später. Ehe ich auf ihn zu sprechen komme, möchte ich auf einen weiteren Aspekt des weißen Horrors eingehen. Er bestand in dem in der

Literatur dargestellten Verhältnis der einstigen Bewohner der Republik Polen zueinander. Eine Grundkonstante fast aller hier genannten Bücher war die Unschuld der Lebenden: Die Polen erschienen als wehr- und hilflose Zeugen des Scheidens der einstigen Nachbarn. Deshalb war die Schlüsselerzählfigur, die die Schriftsteller nutzten, der plötzliche Übergang von der vielfältigen zur uniformen Gesellschaft. Das Verschwinden der Juden aus ganz Polen gewann Züge eines metaphysischen Phänomens, an dem die Polen unbeteiligt waren. Ebenso das Verschwinden der Deutschen aus dem ehemaligen Ostpreußen und aus Schlesien, das Verschwinden der Lemken aus dem südöstlichen Winkel Polens, das Verschwinden der Kaschuben... Das Motiv der plötzlichen Abwesenheit, das Motiv geschichtsbedingter Leere kehrte in diesen Romanen immer wieder und erklärte die Melancholie der vereinsamten Polen. Wenn nach dem Willen der Geister die Gesellschaft sie als Pluralismushüter anerkennen sollte, so mussten sie fortan Geschichten vom Verschwinden hüten, an dem die Polen unbeteiligt gewesen waren. So wurde der weiße Horror eine Art Übereinkunft, bei der beide Seiten sich gegenseitig zum Schweigen zwangen. Bedingung des Pluralismus wurde das Unsagbare.

Das also waren die Ursachen der Beherrschung der polnischen Vorstellungswelt durch den weißen Horror: faszinierende Gespenster, die Repräsentation nicht mehr existenter Differenz, die Unschuld der Polen. Garantie für das Weichen der Gewalt aus dem öffentlichen Leben und die Achtung der Minderheiten sollte fortan das Gedenken an Geister sein, die nicht sprachen, und das Nichtgedenken an das, was sie hätten sagen können.

Der blutige Horror

Polens öffentliche und politische Landschaft ist geteilt und zerstritten. Die Liberalen meinen, allein die Achtung der Gesetze des Marktes führe uns zum Wohlstand, der die Toleranz von ganz allein erhöhe und (insbesondere sexuelle) Minderheiten per se gleichberechtigt. Die Nationalisten träumen von einer Wirklichkeit, in der der Staat zum Souverän wird, der den Kapitalismus kontrolliert und das Recht an die aktuellen Mehrheitsbedürfnisse anpasst.

Beide Seiten bedienen sich einer inkohärenten Argumentation, die darauf abzielt, sich die modernen Ideen zu eigen zu machen: Staat, Recht, Freiheit, Gleichheit und Solidarität erweisen sich als Argumente, die jeder nach Belieben definiert. Den Sieg im rhetorischen Streit trägt aber nicht derjenige davon, wer überzeugende Argumente hat, auch nicht wer die Schädlichkeit des Agierens der anderen Seite nachweist. Heute besteht die Aufgabe darin, den Gegner zu vergrätzen. Die Sprache des Hasses von gestern ist heute die Sprache des Ekels.

Die Zurschaustellung des durch den Ekel bloßgestellten Widersachers ist jedoch ein rein ritueller Erfolg, der nichts an den sozialen Trennlinien oder gesellschaftsbestimmenden Diskursen ändert. Der Ekel intensiviert die Trennlinien eher, bindet die Widersacher durch ein giftiges Band aneinander. In dieser Situation tritt die Gewalt auf den Plan der gesellschaftlichen Vorstellungswelt. Da die Mehrheit der Ansicht ist, es könnte "nicht länger so bleiben", und gleichzeitig niemand imstande ist, den Status quo auf parlamentarischem Wege zu ändern,

flüstert die Imagination Mittel eines radikalen Bruchs mit der bestehenden Ordnung und die gewaltsame Formung der Zukunft ein.

Verschaffen wir uns einen kurzen Überblick. Der Protagonist des Romans *Czwarte niebo* (Der vierte Himmel, 2003) von Mariusz Sieniewicz, Bürger einer Kleinstadt, legt eine Bombe in eine Sporthalle, in der die einheimischen Frauen, die zu arm sind, um das Ansinnen des auswärtigen Kapitalisten auszuschielen, über den Laufsteg paradieren und ihre immer weiter entblößten Körper zur Schau stellen; in Sławomir Shutys Roman *Zwał* (Kippe, 2004) kauft die Hauptfigur, ein Banker, der von seiner Vorgesetzten erniedrigt und zu diversen Unehrligkeiten gezwungen wird, eine Waffe und tötet (in Wirklichkeit oder im Traum) seine Peinigerin; in Dawid Bieńkowskis Roman *Nic* (Nichts, 2005) schießt ein Restaurantlizenznehmer, dem die Firmenkette seine Arbeit entzieht, auf den Konzerncontroller, sich für seine Entlassung verantwortlich zeichnet; in Paweł Demirskis Drama *Kiedy przyjdą podpalić dom, to się nie zdziw* (Wundere dich nicht, wenn sie dein Haus niederbrennen kommen, 2006) überredet ein Arbeiter, dem der Direktor bei der Arbeit übel mitspielt, seine Kollegen zur Lynchjustiz.

In diesen Werken wurde zum ersten Mal seit zweihundert Jahren in der polnischen Kultur der moralische Versuch unternommen, Gewalt zu rechtfertigen. Noch stimmten die Schriftsteller keine Lobeshymnen auf Attentate an: Sie relativierten die Gewalt und zeigten sie eher als Verzweiflungstat denn als Pragmatismus, eher als wahnwitzigen Akt moralischen Aufbegehrens denn als Handeln im Namen eines konkreten Anliegens.

Doch schon bald wurde der nächste Schritt vollzogen. Mariusz Sieniewicz stellt in seinem Roman *Rebelia* (Die Rebellion, 2007) die moderne Zivilisation als Juvenokratie dar, d.h. als jugendbeherrschtes Politsystem. In einer solchen Welt zetteln die "älteren", unattraktiven, widerwärtigen, an den Rand des gesellschaftlichen Lebens gedrängten und zur Arbeit für die Jugend gezwungenen Menschen einen Aufstand an und führen regelrechte Straßenkriege gegen die Juvenokraten. Olga Tokarczuk erzählt im Roman *Der Gesang der Fledermäuse* (2009) von einer alternden Frau, die sich methodisch an die Ermordung von Männern macht, die Tiere besonders grausam quälen; die Hauptfigur widersetzt sich so dem System der völligen Verfügungsgewalt des Menschen über das Tierleben und entlarvt dabei die Gleichgültigkeit des Rechts, des Brauchtums und der Religion, die nur den Rechten von Menschen Bedeutung beimessen. Im Sylwia Chutniks Roman *Cwaniary* (Die Fröchtchen, 2012) schlagen junge Frauen, die im Warschauer Stadtviertel Mokotów leben, während ihrer regelmäßigen Züge "gegen die Stadt" Männer, bestrafen so eigenes und fremdes Leid, bis sie schließlich durch einen Akt der Gewalt alles Männliche und alles Kapitalistische zerstören wollen und einen Wohnblock in die Luft gehen lassen, den ein Grundstückspekulant errichtet hat, der ältere Hausbewohner vor die Tür setzte...

Diese Liste ließe sich beliebig fortführen, und schon das allein verdeutlicht, dass die Tendenz zunimmt. Wichtiger scheint jedoch die Diskussion über die Merkmale jener

Gewaltwelle in der polnischen Literatur. Erstens ist sie allumfassend; alle phantasieren oder schreiben über Gewalt – Katholiken und Liberale, Nationalisten und Weltbürger, Ökologen und Konservative, Feministinnen und Rechtsnationale. Und da heute keine politische Vorstellungswelt mehr frei ist von Gewaltphantasien, bedeutet das, dass sich die bisherigen Trennlinien als lächerlich, imaginär und illusorisch erweisen. Zweitens sind die Gewaltbilder in den Romanen heute kein rein moralischer Protest mehr, sondern eine ernsthafte Suche nach einer Rechtfertigung von Gewalt: Die Romanhandlungen zeigen die Gefahren auf und begründen die Gewaltanwendung mit Hinweis auf ihre positive Macht. Die Gewalt wird zur vorstellbaren Methode der Schaffung einer neuen Wirklichkeit und ihrer angestrebten Ausgestaltung. Um der Gewalt eine legitime Form zu geben, war es drittens notwendig, die gesellschaftliche Vorstellungswelt mit überzeugenden Bildern zu füllen; eine selbstverständliche Unterstützung der Gewalt ist die Vergrätzung des Gegners. In der polnischen Literatur erscheint jedoch die ästhetische Gewöhnung an den menschlichen Körper als Gewaltopfer bedeutend wesentlicher zu sein. In sozial und politisch engagierten Romanen finden wir daher Beschreibungen gebrochener Knochen, berstender Schädel, blutüberströmter Wunden, das Röcheln und Ächzen, das dem Mund des besiegten Gegners entströmt...

Die Schaffung der Demokratie knüpfte sich also in mehreren Stufen an die Horrorästhetik: Zuerst gerieten die modernen Ideen in die Krise, was den Glauben an die parlamentarischen Mechanismen zur Durchsetzung von Veränderungen minderte; dann schlug die Sprache des Hasses in eine Sprache des Ekels um, und die Gewalt sah sich gerechtfertigt; schließlich nahm die Gewalt die Form eines Gründungsgrausens an. Die Literatur lockte die gesellschaftliche Vorstellungswelt also in eine ausweglose Falle. Ihr Erkommen kann man nur mit Gewalt, was jedoch den Übergang in eine andere Ästhetik bedingt – nämlich die, bei der der Anblick eines entstellten menschlichen Körpers zugleich abstoßend und anziehend ist. Genau dafür war der Horror erforderlich, eine Konvention, die den Menschen mit Ekelregendem konfrontiert und es ihm gleichzeitig erlaubt, das Grauen in den Horizont der eigenen Lebenswelt einzufügen. Der Horror erweist sich mit anderen Worten als entsetzliche Erfahrung der Gewalt als einer Voraussetzung der Selbsterfahrung und des politischen Seins.

Die Grenzen der Poetik

Die Dominanz der Horrorästhetik bedeutet natürlich nicht, dass alle Bücher und Filme nach ihren Regeln konstruiert wären. Sie bedeutet hingegen, dass alles, was in der öffentlichen Debatte und Kunst die gesellschaftliche Aufmerksamkeits- und Bedeutungsschwelle überschreiten soll, seinen Ausdruck im Grauen und Ekel sucht. Die Probleme des Zusammenlebens erwecken heute den Eindruck, als kehrten sie nach einer Zeit ihrer Verdrängung zurück: Sofort erscheinen sie in einer ins Riesenhafte und Furchterregende übersteigerten Gestalt, als das *Unheimliche, uncanny* in der polnischen Vorstellungswelt.

Am deutlichsten lässt sich dieser Wandel am Beispiel der polnisch-jüdischen Beziehungen nachvollziehen. Die sanften Erscheinungen, die guten Geister, die Gespenster

aus dem weißen Horror gaben die Bühne frei, an ihre Stelle traten jüdische Zombies, die aus ihren Gräbern auferstanden und ihre Keller verließen. Die Untoten sind eine Lebensform, die sich nicht töten lässt, und eine Todesform, die nicht abtreten kann; sie sind wie Gewissensbisse, die sich in faule Leiber gewandten, wie ein Alb, der wahr wird, wie der Beginn einer rückwärts laufenden Geschichte. Das Erscheinen untoter Juden unter den Polen lässt die Relevanzästhetik, die den Holocaust früher in Worte fasste, in die Ästhetik des Ekelregenden umschlagen. Untote sehen wir in Krzysztof Warlikowski's Stück *(A)polonia* (2009), in den Dramen *Książę Niezłom* von Mateusz Pakuła (Fürst Unschrott, 2011) und *III Furien* von Sylwia Chutnik, Magda Fertacz und Małgorzata Sikorska-Miszczuk (2011), wie auch in Igor Ostachowicz' Roman *Noc żywych Żydów* (Die Nacht der lebenden Juden, 2012). Doch der Horror beherrscht auch die Vorstellungswelt anderer Problemfelder. Edward Pasewicz zeigt in seinem Roman *Śmierć w darkroomie* (Tod im Darkroom, 2007), der über die Ermittlung bei einem Mord erzählt, der an einem Homosexuellen begangen wurde, den Abscheu gegen die Homosexualität als Fundament der "normalen" Gesellschaft. Bartosz Żurawiecki beschreibt in seinem Roman *Nieobecni* (Die Abwesenden, 2011) die Geschichte eines 40-jährigen Schwulen, der nach der Trennung von seinem Partner eine Krise durchlebt; eines Tages bemerkt er, dass er unsichtbar geworden ist, und die einzige Person, die ihn sehen kann, ist die ebenfalls unsichtbare Mutter seines Ex. Der Schwule und die ältere Dame beschließen ihre Unsichtbarkeit auszunutzen und ermorden nach und nach das polnische Episkopat, dann gehen sie zu einer methodisch geplanten Vernichtungsaktion der ganzen Welt über. In Wojciech Smarzowski's Film *Dom zły* (Das böse Haus, 2009) werden wir Zeuge einer Ermittlung, die drei Morde in der Provinz aufklären soll, und gleichzeitig sehen wir, dass das „böse Haus“ (in der englischen Fassung trug der Film den Gothic-Titel *The Dark House*) eine Metapher für die Volksrepublik Polen ist – einen verschlossenen Raum, den staatliche und individuelle, aber auch eine unbeirrt irrationale Gewalt ordnen. In Andrzej Pilipiuk's Roman *Wampir z MO* (Der Vampir von der Miliz, 2013) lernen wir die Zeiten der Volksrepublik Polen aus der Perspektive von Vampiren kennen. In Patrycja Pustkowiak's Roman *Nocne zwierzęta* (Nachttiere, 2013) wandern wir durchs nächtliche Warschau und folgen einer Frau, die ihren Körper beherrschen will, indem sie seine Attraktivität erhält, sich jedoch sexuell verweigert – weswegen sie, fast schon als Strafaktion, vergewaltigt wird (als Rache ermordet die Heldin die Bekannte, die dem Vergewaltiger geholfen hat).

All das, was es in den 1990er Jahren noch in einer scheinbar zahmen Form gab, kehrt in einer abstoßenden Form wieder: weibliche Sexualität, Familie, die Volksrepublik Polen (VRP), Homosexualität, Juden. Die modernen Begründungen der Gleichheitsideale befanden sich in einer tiefen Krise, also treten ästhetische Bilder, die der Verbreitung des Abscheus dienen, an die Stelle politischer Begründungen: Der Horror kann sexuellen Minderheiten abstoßende Eigenschaften zuschreiben oder den Ekel als tatsächliche (also grundlose) Basis der Ausgrenzung sexueller Minderheiten offenlegen. Dasselbe geschieht mit der VRP: Die Unfähigkeit, die Rolle des Sozialismus im

Modernisierungsprozess auszuloten, führt dazu, dass die VRP als Horror wiederkehrt. Ähnlich verhält es sich bei den Juden: All das, was in der Sphäre des Unausprechlichen vor sich hindämmerte – die Tatsache, dass der Jude nicht gedacht und nicht um sie getrauert wurde, dass sie nie gleichberechtigte Staatsbürger Polens waren, dass sie auch von Polen ermordet wurden – materialisiert sich in Gestalt von jüdischen Wiedergängern unter den Polen.

All das bedeutet, dass die Probleme des öffentlichen Lebens mit dem heutigen Kapitalismus wie dem einstigen Sozialismus, mit Weiblichkeit und Männlichkeit, mit früheren ethnischen und heutigen sexuellen Minderheiten keine Probleme mehr sind, sondern unentwirrbare Geflechte in der kollektiven Vorstellungs- und Gefühlswelt. Ein Problem kann gelöst oder zumindest benannt werden, definiert, beschrieben. Das Grauen jedoch, das Grauen, das sich an die Abscheu vor Gewaltphänomenen knüpft, enthebt das Einzelpheänomen der Debatte und vernichtet so die Hoffnung auf eine Lösung im Konsens; die Existenz eines Phänomens anzuerkennen, heißt zuzugestehen, dass es etwas gibt, das unsere tiefsten Gefühle sozialer Ordnung antastet.

Weder die christliche noch die laizistische Logik können uns sagen, was wir mit Werten und Haltungen anfangen sollen, die von der Unsichtbarkeit ins Monströse umschlagen. Der Ausweg, den die Kunst vorgibt, ist wichtig, birgt aber auch Gefahren. Er ist wichtig, weil er die Relevanz des Phänomens und das Grauen, das ihre Unlösbarkeit birgt, veranschaulicht; er ist wichtig, weil er die Sprache des Ekels zu Wort kommen lässt und zeigt, dass die heutigen Gemeinschaften nicht ideologie-, sondern ekelgesteuert sind. Die Gefahr des Horrors besteht jedoch darin, dass er die Gesellschaft in einen Zustand aktiver Panik versetzt, in der alles mehr oder weniger abstoßend erscheint. Anders gesagt, der Horror verwandelte sich von seiner weißen in seine blutige Spielart, als die unaussprechlichen Inhalte sich in widerwärtige Inhalte verwandelten. Dahinter verbarg sich kein Anstieg der Präzision, sondern das Vordringen der Affekte in die gesellschaftliche Kommunikation.

Deshalb muss man den Horror hinter sich lassen. Die ersten Signale jenes Hintersichlassens treten bereits dort zu tage, wo die Ästhetik des Grauens von den Autoren gegen die lähmende Wirkung des Grauens gewendet wird. In Joanna Baturs Roman *Ciemno, prawie noc* (Dunkel, fast schon Nacht, 2012) lernen wir eine Journalistin kennen, die einen Fall von Pädophilie untersucht und die – am Ende der Romanhandlung – ein sexuell missbrauchtes Kind mitnimmt. In Olga Tokarczucs Roman *Der Gesang der Fledermäuse* verweist die Gewalt, die die Mörderin

ausübt, auf die Notwendigkeit einer Neudefinition des Rechts und die Einbeziehung der Tiere in die Republikbildung. In Igor Ostachowicz' Roman *Die Nacht der lebenden Juden* stirbt die Hauptfigur bei der Verteidigung der jüdischen Wiedergänger.

Von zentraler Bedeutung erscheint in diesen Werken der Perspektivwechsel in Bezug auf die gesellschaftlichen Reinigungsrituale. In einem konventionellen Horror wird der Held mit dem Grauen konfrontiert, um ihn lähmender Angst auszusetzen, von der er sich unter Verteidigung seines Lebens wieder befreien kann. Die innere Logik des Genres verheißt also die Möglichkeit, ein reines Leben wiederzuerlangen, d.h. sich vom Ursprung des Ekels zu isolieren. In den gerade genannten Werken erhält die Hauptfigur die Möglichkeit, dem Ekel zum Trotz Bindungen einzugehen. Der Horror Baturs, Ostachowicz' oder Olga Tokarczucs besagt demnach, dass die Gewalt, auch wenn sie vom Ekel legitimiert wird, die sozialen Beziehungen nicht reinigt. Und da das Widerwärtige nicht aus dem kollektiven Leben verschwindet, muss die Schaffung von Bindungen also auf dem Sieg über den Ekel beruhen. Die Wiederaufnahme des Unreinen ins gesellschaftliche Imaginarium erscheint als besonders wichtig innerhalb der polnischen Kultur, die seit der Romantik auf die kollektive Unschuld fixiert ist. In einer solchen Unschuldskultur werden die eigenen Unreinheiten – etwa das Ermorden von Juden oder die Diskriminierung diverser Minderheiten – verdrängt, das fremde Widerwärtige wird in ein fernes Ghetto gepfercht.

Der Horror kam zu Beginn des 21. Jahrhunderts genau deshalb auf, weil, wie ich meine, die Schriftsteller begonnen haben, verdrängte Inhalte laut auszusprechen. Sie mussten unter das Niveau ideologischer Deklarationen gehen, um die Grammatik des polnischen Ekels zu erreichen. Also mussten alle in die Sphäre des Horrors hinabsteigen, um wahrzunehmen, dass der Ekel existiert und dass er heute eine bedeutend größere Rolle spielt als Ideen. Der Horror allein kann jedoch die bestehenden Trennlinien nur bestätigen, da er die bewahrte eigene Reinheit in der Konfrontation mit der fremden Widerwärtigkeit erlebt. Deshalb erscheinen mir die Schriftsteller als bedeutsam, die diese Falle wahrnehmen und die innere Affektlogik des Horrors antasten. Und weil die polnische Literatur vor zwanzig Jahren die pluralistische Demokratie ersann, glaube ich auch daran, dass auch dieses Mal literarische Lösungen den Weg aus dieser Pattsituation heraus weisen werden. Sonst werden wir in unseren Ekeln verharren, in unseren Horror verstrickt bleiben, den wir selbst konstruiert haben.

[Übersetzung: Ursula Kiermeier]

naszym życiem publicznym rządzą afekty, afektami steruje odraza, a odraza popycha ku przemocy. Dlatego komunikacja społeczna utkwiała w horrorze. Stan ten ma w sobie coś z wyzwolicielskiej ekstazy i dręczącej pułapki. Jest jak przebudzenie ze snu nie dające pewności jawy; jak normalność, która uparła się, by naśladować koszmar.

Niejasne reguły owego dziwnego stanu poddyktowała polskiemu życiu literatura, na niej więc się skupię, stawiając trzy proste pytania: jak doszło do tego, że literatura zainfekowała horrorem polską wyobraźnię? Jakie objawy przybiera życie w horrorze? Jak z tego wyjść?

Horror biały

Dla wyjaśnienia genezy procesu owładnięcia komunikacji społecznej przez horror należy na krótko cofnąć się do momentu początkowego nowego okresu, czyli do połowy lat 80. Między rokiem 1985 i 1989 – a więc przed implozją systemu sowieckiego, przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę, przed upadkiem Muru Berlińskiego i przed końcem zimnej wojny – ukazały się w Polsce książki, które wymyśliły nowe społeczeństwo. Najważniejsze spośród nich – *Weiser Dawidek* Pawła Huellego, *Sublokator* Hanny Krall, *Początek* Andrzeja Szczypiorskiego, *Umschlagplatz* Jarosław Marka Rymkiewicza, *Kadysz* Henryka Grynberga, *Zagłada* Piotra Szewca, *Cyganie na polskich drogach* Jerzego Ficowskiego, *Kronika z Mazur* Erwina Kruka, *W ptaszarni* Grzegorza Musiała – wcale nie przedstawiały demokracji parlamentarnej i nie były instrukcjami obsługi systemu demokratycznego. Wręcz przeciwnie. Ewokowały one świat różnic etnicznych, religijnych, regionalnych czy seksualnych, konfrontując owo różnicowanie z Polską lat 80. Znaczenie tego przypomniała polegało na tym, że społeczeństwo polskie lat 80. skonstruowało wizerunek tożsamości zbiorowej oparty na identyczności: w symbolicznej wojnie z władzami PRL-u i socjalizmem posługiwano się narzędziami negacji, co znaczy, że najważniejsze składniki tożsamości zbiorowej powstawały nie w wyniku pracy nad tożsamością, lecz w ramach zaprzeczenia wizerunku narzucanego przez państwo. Skoro władza była uważana za komunistyczną, ateistyczną, „azjatycką”, sowiecką i totalitarną, wobec tego społeczeństwo przeciwstawiające się reżimowi uznawało siebie automatycznie za demokratyczne, europejskie, polskie, religijne, tolerancyjne.

W rezultacie owej pracy negacji tożsamość zbiorowa obejmowała cechy identyczne. Wspólnota wyobrażona, która funkcjonowała w latach 80., była jednojęzykowa, monoidiowa, jednowyznaniowa, monopłciowa i monoseksualna. Logika przeczeń jest silna, lecz nie sprzyja samopoznaniu. Społeczeństwo, które wie, czego nie chce, nie jest jeszcze społeczeństwem, które wie, czego chce.

Dlatego tak istotne było przywołanie różnic. Literatura sięgała do wieku XIX, do okresu międzywojennego, do czasów okupacji, do czasów tuż po II wojnie, za każdym razem odsłaniając inną część różnicowania należącego do społeczności zamieszkującej Polskę. Pojawiały się więc w tych dziełach przede wszystkim różnice etniczne (Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, Litwini, Cyganie) czy religijne (judaizm, prawosławie, mahometanizm), lecz także światopoglądowe czy seksualne. Pisarze wciągali zatem czytelników w proces anamnezy – odpominania różnic, które zniknęły w różnych momentach XX wieku.

Była w tym złudna lekcja historii i łagodna lekcja polityczności. Winą za zniknięcie różnic – społeczności żydowskiej czy ukraińskiej, białoruskiej czy kaszubskiej – obarczono przede wszystkim totalitaryzm w jego różnych wcieleniach: rewolucja bolszewicka w Rosji zakończyła

istnienie polskich kresów, czyli obszarów obejmujących zachodnią Białoruś i zachodnią Ukrainę, na których Polacy rzekomo zgodnie współżyli z lokalną ludnością; Zagłada dokonana rękoma hitlerowców usunęła z Polski Żydów; stalinizm i późniejsze łagodniejsze wcielenia komunizmu wypłukały z Polski różnicowanie regionalne, likwidując Mazurów, Kaszubów i Ślązaków. Reszty dokonał stan wojenny, przeciw któremu społeczeństwo polskie zjednoczyło się pod względem światopoglądowym, samodzielnie niejako domykając proces ujednolicenia.

Ten proces pojawiał się w literaturze jako przestroga przed powtórką historii. Literatura mówiła bowiem, że utrata różnicowania jest największą klęską społeczną, pogrążającą życie zbiorowe w stanie melancholijnego zniemienia. Wkraczając w nowy okres historyczny należało zatem stworzyć tożsamość zbiorową uwzględniającą i szanującą różnice. Pisarze proponowali w tym względzie jeden tylko fundament nowego społeczeństwa – etykę Innego, czyli zasadę wyrzeczenia się przemocy wobec tożsamości odmiennych niż większościowa.

To właśnie – przywołanie różnic i etykę Innego – miałem na myśli, pisząc, że literatura wymyśliła nowe społeczeństwo. Nie oznaczało to, że proza wykreowała różnice, lecz że wymyśliła reguły egzystencji zbiorowej, czyli pluralizm i demokrację, zaszczipiając owej demokracji troskę o mniejszości.

W tym jednak tkwił załazek późniejszych kłopotów. Kiedy patrzymy dziś, z perspektywy dwudziestu lat na literaturę schyłku lat 80. i początku 90., zauważamy, że była ona zaludniona widmami. Na scenie powieści i opowiadań, dramatów i filmów powracały do nas łagodne zjawy, sennie i przyjazne istoty, które swoją widmową ontologią zaświadczały o krzywdzącej niesprawiedliwości dziejów. Mieszkańcy przeszłości przychodzili do nas i prosili jedynie o pamięć – nie przeprowadzali rachunku krzywd, nie żądali zwrotu zagrabionego mienia, nie wskazywali na winowajców. W rezultacie polska literatura schyłku lat 80. stworzyła jedyny w skali europejskiej biały horror – czyli zbiór opowieści o dobrych duchach, które resztką ontologicznych sił docierają do nas i przekazują nam przesłanie na nowy wiek. Były to postaci bez skazy. Jeśli Niemiec, to przyzwyczajony, uczynny, moralny, melancholijny i trzymający się – jak Hanemann – z dala od wojny. Jeśli Żydówka, to – jak Irma Seidenman z powieści Szczypiorskiego *Początek* – piękna i fascynująca; jeśli Żyd, to – jak Weiser Dawidek z powieści Pawła Huellego – obdarzony ponadnaturalnymi zdolnościami.

Niezwykłość tych przybyszów z przeszłości była dlatego problematyczna, że oni sami niczego nie chcieli od mieszkańców teraźniejszości, do których za sprawą książek docierali. Niesamowity spektakl, którego byliśmy świadkami, zmierzał w jedną stronę – ku poszerzeniu dziadów, czyli najważniejszego w polskiej kulturze symbolicznej obrządku upamiętniającego zmarłych. Odtąd mieliśmy wspominać i opłakiwać nie tylko „swoich”, lecz także „obcych”, nie tylko Polaków, lecz także Żydów, nie tylko uczestników Powstania Warszawskiego, lecz także uczestników Powstania w Getcie Warszawskim, nie tylko polską ludność cywilną, lecz także Białorusinów, Ukraińców, Cyganów czy Kaszubów.



► Polska to ani kraina Drakuli, ani ojczyzna Frankensteina, ani środkowoeuropejska wytwórnia filmowych przerażaczy. A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że dzisiejsza Polska ma wiele wspólnego z horrorem.

Związek ten najkrócej można ująć w stwierdzeniu, że

Tkwiał w tym niedostrzegany, acz poważny paradoks: polska demokracja pluralistyczna wyłaniała się z żywej ziemi cmentarnej, przygotowując się do budowania systemu reprezentacji w oparciu o różnice, które już nie istniały. Jeśli dobre duchy przeszłości miały na trwałe zostać z nami, jeśli miały pełnić funkcję strażników pluralizmu, musiały zmienić swój status ontologiczny i nauczyć się wkroczenia między żywych.

Przemiana ta nastąpiła później, Zanim ją omówię, wskażę na kolejny aspekt białego horroru. Tkwiało ono w kreślonej przez literaturę relacji między dawnymi mieszkańcami Rzeczypospolitej. Podstawowym rysem niemal wszystkich wymienionych książek była w tym względzie niewinność żywych: Polacy jawili się jako bezbronni i bezsilni świadkowie niegdysiejszego odejścia dawnych mieszkańców. Dlatego kluczową figurą fabularną, jaką posługiwali się pisarze, było zniknięcie – raptowne przejście od społeczeństwa zróżnicowanego do społeczeństwa jednolitego. Zniknięcie Żydów z całego obszaru Polski nabierało charakteru metafizycznego wydarzenia, w którym Polacy nie mieli udziału. Podobnie zniknięcie Niemców z obszaru dawnych Prus Wschodnich i ze Śląska, zniknięcie Łemków z południowo-wschodniego zakątka Polski, zniknięcie Kaszubów... Motyw raptownej nieobecności, motyw wytworzonej przez historię pustki powracał w tych powieściach i tłumaczył melancholię osamotnionych Polaków. Jeśli duchy chciały, by społeczeństwo polskie uznało widma za strażników pluralizmu, musiały od tej porzy pilnować opowieści o zniknięciu, w którym Polacy nie brali udziału. W ten sposób biały horror stawał się swoistym zakładem, w którym obie strony przymuszały się do wzajemnego milczenia. Warunkiem pluralizmu okazywało się niewypowiadalne.

Oto przyczyny owładnięcia polskiej wyobraźni przez biały horror: fascynujące widma, reprezentacja nieistniejących różnic, niewinność Polaków. Gwarancją dla wycofania przemocy z życia społecznego i dla respektowania mniejszości miała odtąd być pamięć o duchach, które nie mówią i nie pamięć o tym, co duchy mogłyby powiedzieć.

Horror krwawy

Polska scena publiczna i polityczna jest podzielona i skonfliktowana. Liberałowie sądzą, że respektowanie praw rynku doprowadzi nas do dobrobytu, co samo z siebie podniesie tolerancję, a potem upodmiotowi mniejszości (zwłaszcza seksualne). Nacjonaliści marzą o rzeczywistości, w której państwo pozostanie suwerenem kontrolującym kapitalizm i dostosowującym prawo do aktualnych potrzeb większości.

Obie strony posługują się niespójną argumentacją, która zmierza do zawłaszczenia idei nowoczesnych: państwo, prawo, wolność, równość i solidarność okazują się racjami, które każdy dowolnie definiuje. Zwycięstwo w wojnie retorycznej odnosi jednak nie ten, kto dostarcza przekonujących argumentów, ani ten, kto wykazuje, że działanie strony przeciwnej przynosi szkody. Dzisiejsze zadanie polega na tym, by przeciwnika zozydzić. Wczorajsza mowa nienawiści zmieniła się w mowę obrzydzenia.

Ale przedstawienie oponenta obnażonego przez odrazę to sukces czysto rytualny, który niczego nie zmienia w po-

działach społecznych i w dyskursach rządzących społeczeństwem. Odrza raczej podziaily wzmacnia, łącząc przeciwników toksyczną więzią. W tej sytuacji na scenę społecznej wyobraźni wkracza przemoc. Skoro większość uważa, że „tak dłużej być nie może”, a jednocześnie nikt nie potrafi drogą parlamentarną zmienić status quo, wobec tego imaginacja podpowiada środki radykalnego zerwania istniejącego układu i wytworzenia przyszłości przy użyciu siły.

Dokonyjmy krótkiego przeglądu. Bohater powieści *Czwarte niebo* Mariusza Sieniewicza (2003), mieszkaniec niewielkiego miasteczka, podkłada bombę w sali gimnastycznej, w której miejscowe kobiety – zbyt biedne, by odmówić przybytemu z zewnątrz kapitaliście – parują po wybiegu, prezentując coraz bardziej roznieglizowane ciała; w powieści *Zwał* (2004) Sławomira Shutego główny bohater, pracownik banku upokarzany przez przełożoną i zmuszany przez nią do rozmaitych nieuczciwości, kupuje broń i (na jawie lub we śnie) zabija swoją prześladowczynię; w powieści *Nic* (2005) Dawida Bieńkowskiego agent restauracji, pozbawiony pracy przez sieciową firmę, strzeła do korporacyjnego kontrolera odpowiedzialnego za zwolnienia; w dramacie Pawła Demirskiego *Kiedy przyjdą podpalić dom, to się nie zdziw* (2006) robotnik gnębiony w pracy przez dyrektora namawia swoich kolegów, by dokonali linczu.

W utworach tych dokonała się pierwsza od dwustu lat w polskiej kulturze etyczna przymiarka do legitymizacji przemocy. Pisarze jeszcze nie formułowali pełnej pochwały zamachów: relatywizowali przemoc, pokazując, że jest ona raczej dziełem rozpaczki niż pragmatyki, raczej straceniowym aktem moralnej niezgody niż działaniem w imię konkretnego interesu.

Rychło jednak dokonano kroku następnego. Mariusz Sieniewicz w powieści *Rebelia* (2007) przedstawił współczesną cywilizację jako juweno-krację, czyli system zarządzany przez młodość; w świecie takim osoby „starsze” – nieatrakcyjne, obrzydliwe, wypchane na margines życia zbiorowego i zmuszane do pracy na rzecz „młodości” – wszczynają bunt i ruszają do regularnych walk ulicznych przeciw juwenokratom. Olga Tokarczuk w powieści *Prowadź swój ptąg przez kości umarłych* (2009) opowiedziała o starzejącej się kobiecie, która przystępuje do metodycznego zabijania mężczyzn winnych szczególnie okrutnego traktowania zwierząt; bohaterka sprzeciwia się w ten sposób systemowi pełnego dysponowania życiem zwierzęcia, odsłaniając przy okazji obojętność prawa, obyczaju i religii, które uwzględniają wyłącznie interes ludzki. W powieści *Cwaniary* Sylwii Chutnik (2012) młode kobiety, mieszkanki warszawskiej dzielnicy Mokotów, podczas regularnych wypraw „na miasto” biją mężczyzn, wymierzając w ten sposób karę za krzywdy własne i cudze; w końcu, chcąc w jednym akcie przemocy zniszczyć to, co „męskie” i to, co „kapitalistyczne”, wysadzają blok mieszkalny, budowany przez nieuczciwego dewelopera, który wyeksmitował starszych mieszkańców...

Listę bez trudu można wydłużyć, a możliwość ta oznacza, że tendencja rośnie. Ważniejsze jednak wydaje się omówienie cech owej fali przemocy w polskiej literaturze.

Po pierwsze – jest powszechna; o przemocy fantazują i piszą wszyscy – katolicy i liberałowie, nacjonaliści i kosmopolity, ekolodzy i konserwatyści, feministki i prawnicy. A skoro żadna wyobraźnia polityczna nie jest dziś wolna od fantazmatów przemocy, to znaczy, że dotychczasowe podziaily okazują się śmieszne, pozorne i iluzoryczne. Po wtóre, powieściowe obrazy przemocy to już nie czysto moralny protest, lecz poważne poszukiwanie legitymizacji: fabuły opisują zagrożenia i uzasadniają zastosowanie siły poprzez wskazanie jej pozytywnego sprawstwa. Przemoc stała się wyobrażeniową metodą wytwarzania nowej rzeczywistości i nadawania jej pożądanego kształtu. Aby siła osiągnęła postać legitymizowaną, konieczne było, po trzecie, wyposażenie wyobraźni społecznej w przekonujące obrazy; oczywistym wsparciem dla przemocy jest zozydzenie przeciwnika, jednakże w polskiej literaturze niepomierne istotniejsze wydaje się estetyczne oswojenie z ciałem ludzkim poddawanym aktowi przemocy. W powieściach społecznie i politycznie zaangażowanych napytkamy więc na opisy łamanych kości, pękających czaszek, krwi wypływającej z ran, charkotu i rżenia dobywającego się z ust pokonanego przeciwnika...

Stanowienie demokracji połączyło się zatem z estetyką horroru w kilku etapach: najpierw w stan kryzysu weszły idee nowoczesne, co osłabiło wiarę w parlamentarne mechanizmy wprowadzania zmian; potem mowa nienawiści przemieniła się w język odrazy, a przemoc została uprawomocniona; wreszcie przemoc nabrała charakteru grozy założycielskiej. Literatura zbudowała więc pułapkę dla wyobraźni społecznej. Wyrwać się z niej można już tylko środkami przemocowymi, co jednak wymaga przejścia do innej estetyki – tej mianowicie, w której widok niszczenia ludzkiego ciała będzie odrażający, a zarazem pociągający. Do tego właśnie potrzebny okazał się horror, czyli konwencja, która konfrontując człowieka z tym, co obrzydliwe, pozwala mu równocześnie wkomponować grozę w horyzont własnych doświadczeń. Horror, mówiąc inaczej, ukazuje przerażające doświadczenie przemocy jako warunek samopoznania i wejścia w sferę polityczną.

Granice poetyki

Dominacja estetyki horroru nie oznacza oczywiście, że wszystkie książki i filmy są komponowane w zgodzie z jej regułami. Oznacza natomiast, że wszystko, co w debatach publicznych i w sztuce ma przekroczyć próg ważności i zauważalności społecznej jest wyrażane przy użyciu grozy i obrzydzenia. Problemy życia zbiorowego sprawiają więc dziś takie wrażenie, jakby powracały po wcześniejszym wyparciu: pojawiają się od razu w postaci wyolbrzymionej i spotworniałej, jako niesamowite (das Unheimliche, uncanny) polskiej wyobraźni społecznej.

Najwyraźniej przemianę tę zauważyć można na przykładzie wątków polsko-żydowskich. Łagodne zjawy, dobre duchy, widma z białego horroru opuściły scenę, a ich miejsce zajmują żydowskie zombie wstające z grobów i wychodzące z piwnic. Nieumarli są formą życia, którego nie można zabić i formą śmierci, która nie chce odejść; są jak wyrzuty sumienia, które oblekły się w gnijące ciała, jak koszmar, który się urealnia, jak początek historii, która będzie odtąd toczyła się wstecz. Wkroczenie nieumarłych Żydów pomiędzy Polaków oznacza, że estetyka wzniosłości służąca wyrażaniu Zagłady przemieniła się w estetykę

obrzydliwego. Nieumarłych widzimy w spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego (*A)pollonia* (2009), w sztukach teatralnych *Książę Niezłom* Mateusza Pakuły (2011) oraz *III Furie* Sylwii Chutnik, Magdy Fertacz i Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk (2011), a także w powieści Igora Ostachowicza *Noc żywych Żydów* (2012). Ale horror rządzi także wyobraźnią dotyczącą innych problemów. Edward Pasewicz w powieści *Śmierć w darkroomie* (2007) – mówiącej o śledztwie w sprawie zabójstwa dokonanego na homoseksualistcie – ukazuje wstręt do homoseksualizmu jako fundament „normalnego” społeczeństwa. Bartosz Żurawiecki w powieści *Nieobecni* (2011) przedstawia historię 40-letniego geja, przeżywającego kryzys po rozstaniu z partnerem; pewnego dnia bohater zauważa, że jest niewidzialny, a jedyną osobą, która go widzi, okazuje się – równie niezauważalna – matka byłego partnera; oboje (gej i starsza pani) postanawiają skorzystać ze swojej przezroczystości i zaczynają od wymordowania polskiego episkopatu, potem zaś przechodzą do metodycznej akcji zniszczenia całego świata. W filmie Wojciecha Smarzowskiego *Dom zły* (2009) uczestniczymy w śledztwie mającym wyjaśnić potrójne morderstwo dokonane na dalekiej prowincji, a równocześnie widzimy, że tytułowy „dom zły” (w angielskiej wersji film nosił gotycki tytuł *The Dark House*) jest metaforą PRL-u – zamkniętej przestrzeni porządkowanej przez państwową i indywidualną, lecz nieodmiennie irracjonalną przemoc. W powieści Andrzeja Pilipiuka *Wampir z MO* (2013) poznajemy czasy PRL-u z perspektywy wampirów. W powieści Patrycji Pustkowiak *Nocne zwierzęta* (2013) wędrujemy przez nocną Warszawę z kobietą, która chciałaby kontrolować swoje ciało – zachowując atrakcyjność, lecz nie udzielając się seksualnie – za co, niejako w ramach kary, zostaje zgwałcona (w odwecie bohaterka morduje koleżankę, która pomagała gwałcicielowi).

Wszystko zatem, co jeszcze w latach 90. istniało w postaci pozornie oswojonej, wraca jako odrażające: kobieca seksualność, rodzina, PRL, homoseksualizm, Żydzi. Nowoczesne uzasadnienia dla ideałów równościowych znalazły się w głębokim kryzysie, więc miejsce racji politycznych zajmują obrazy estetyczne, które służą dystrybucji odrazy: horror może przypisywać cechy odrażające mniejszościom seksualnym bądź odsłaniać obrzydzenie jako faktyczną (a więc pozbawioną racji) podstawę wykluczeń mniejszości seksualnych. To samo dzieje się z PRL-em: niemożność precyzyjnego określenia roli socjalizmu w procesie modernizacji powoduje, że PRL powraca jako horror. Podobnie sprawa żydowska: wszystko, co spoczywało w sferze niewypowiadalnego – fakt, że Żydzi nie zostali upamiętnieni i oplakani, że nigdy nie byli pełnoprawnymi obywatelami Polski, że byli mordowani przez Polaków – zostaje zmaterializowane i przybiera postać Żydów powracających między Polaków w postaci półtrupów.

Wszystko to oznacza, że problemy polskiego życia publicznego – związane z teraźniejszym kapitalizmem i dawnym socjalizmem, z kobiecością i męskością, z dawnymi mniejszościami etnicznymi i dzisiejszymi mniejszościami seksualnymi – przestały być problemami, a stały się nierozwiązywalnymi splotami wyobraźni i emocjonalności zbiorowej. Problemem jest bowiem to, co daje się rozwiązać, a przynajmniej nazwać, zdefiniować, określić. Groza

natomiast, groza towarzysząca obrzydliwości zjawisk połączonych z przemocą, oznacza, że dane zjawisko nie podlega debacie i nie ma szans na konsensualne rozstrzygnięcie; uznać istnienie takiego zjawiska, to godzić się, by istniało coś, co narusza nasze najgłębsze odczucia ładu społecznego.

Ani logika chrześcijańska, ani logika świecka nie podpowiadają dziś, co począć z wartościami i postawami, które raptownie przechodzą od stanu niewidzialności do spotwornienia. Wyjście zaproponowane przez sztukę jest więc ważne, ale i niebezpieczne. Jest ważne, ponieważ obrazuje doniosłość zjawisk i grozę tkwiącą w ich nierozwiązywalności; jest ważne, ponieważ dopuszcza do głosu język obrzydzenia i pokazuje, jak dzisiejszymi wspólnotami rządzą nie ideologie, lecz odruchy odrazy. Niebezpieczeństwo horroru polega zaś na tym, że wprowadza on społeczeństwo w stan afektywnej paniki, dla której wszystko jawi się jako mniej lub bardziej odrażające. Mówiąc inaczej, horror przekształcił się z wersji białej w krwawą wtedy, gdy treści niewypowiadalne zamieniły się w treści obrzydliwe. Stoi za tym nie przyrost precyzji, lecz wtargnięcie afektów do społecznej komunikacji.

Dlatego horror trzeba przekroczyć. Pierwsze sygnały owego przekroczenia dają się już zauważyć tam, gdzie estetyka grozy zostaje przez autorów wykorzystana przeciw paraliżującemu działaniu grozy. W powieści Joanny Bator *Ciemno*, prawie noc poznajemy dziennikarkę, która bada sprawę pedofilii i która – w zakończeniu akcji – zabiera ze sobą dziecko seksualnie molestowane. W powieści Olgi Tokarczuk *Prowadź swój pług przez kości umarłych* przemoc zastosowana przez morderczynię wskazuje na konieczność redefinicji prawa i uwzględnienia zwierząt w stanowieniu republiki. W powieści Igora Ostachowicza *Noc żywych Żydów* główny bohater ginie w obronie nieumarłych Żydów.

Kluczowa w tych utworach wydaje się zmiana optyki

w patrzeniu na społeczne rytuały oczyszczenia. W konwencjonalnym horrorze bohater zostaje skonfrontowany z grozą po to, by doświadczył paraliżującego strachu, a zarazem by zdołał się od niego uwolnić w akcie obrony swojego życia. Ekonomia gatunku obiecuje zatem możliwość odzyskania czystego życia, czyli odizolowania się od źródła odrazy. Natomiast w utworach wymienionych przed chwilą bohater staje przed możliwością utworzenia więzi pomimo odrazy. Horrorzy Bator, Ostachowicza czy Olgi Tokarczuk mówią zatem, że przemoc, choć legitymizowana przez odrazę, nie oczyszcza relacji społecznych. A skoro obrzydliwość nie zniknie z życia zbiorowego, wobec tego wytwarzanie więzi musi polegać na przewycięzaniu obrzydzenia. Przywrócenie nieczystości do imaginarium społecznego wydaje się szczególnie ważne w kulturze polskiej, która od czasów romantyzmu jest zafiksowana na niewinności zbiorowej. W takiej kulturze nieczystości własne – na przykład taka, jak mordowanie Żydów czy dyskryminowanie rozmaitych mniejszości – są wypierane, zaś obrzydliwość cudza zostaje utrzymana w odległym getcie.

Horror pojawił się w polskiej kulturze początków XXI wieku właśnie dlatego, jak sądzę, że pisarze zaczęli wypowiadać treści wyparte. Musieli zejść poniżej poziomu ideologicznych deklaracji, aby sięgnąć do gramatyki polskiej obrzydliwości. Wszyscy musieli zatem wkroczyć w sferę horroru, aby dostrzec, że odraza istnieje i że odgrywa współcześnie o wiele silniejszą rolę niż idee. Ale sam horror potrafi konserwować istniejące podziały, przedstawiając ocaloną czystość własną po konfrontacji z obrzydliwością cudzą. Dlatego tak ważni wydają mi się ci pisarze, którzy dostrzegli pułapkę i naruszyli ekonomię afektów horroru. A ponieważ dwadzieścia lat temu literatura polska wymyśliła demokrację pluralistyczną, więc wierzę, że i tym razem rozwiązania literackie wskazują drogę wyjścia z impasu. Bez tego będziemy trwać przy swoich odrazach, zamknięci w horrorach, które sami skonstruowaliśmy.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI (1962, Polen) – Ordentlicher Professor für polnische Literaturgeschichte des 20. und 21. Jahrhunderts, Essayist, Übersetzer, Literaturkritiker, Mitbegründer des Lehrstuhls für Literaturanthropologie an der Adam Mickiewicz-Universität Poznań. Verfasser von mehr als zehn Monographien, zuletzt: *Polska do wymiany. Późna nowoczesność i nasze wielkie narracje* (Polen zur Runderneuerung. Zwei Studien über Literatur und Leben, Kraków 2011). Herausgeber zahlreicher Sammelbände – vor kurzem erschien der Aufsatzband *Nowoczesność i sarmatyzm* (Moderne und Sarmatismus Poznań 2011) und die Anthologie fremdsprachiger Übersetzungen *Literatura ustna* (Orale Literatur Gdańsk 2011). Gemeinsam mit Łukasz Zaremba übersetzte er das Buch von James F. English *The economy of prestige* (Warszawa 2012). Unlängst erschien das gemeinsam mit Anna Mizerka herausgegebene Buch *Kamp. Antologia przekładów* (Das Camp. Übersetzungsanthologie Universitas, 2013). Mitglied der Jury des Nike-Literaturpreises (1997-2000; 2010-2013). Er wurde ausgezeichnet mit der Medaille für Junge Kunst (1996), dem Ludwik Fryde-Preis (1997), dem Kościelski-Preis (1998), dem Preis des Vorsitzenden des Ministerra.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI (1962, Polska) – profesor zwyczajny; historyk literatury XX i XXI wieku, eseista, tłumacz, krytyk literacki; współtwórca Zakładu Antropologii Literatury (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Autor ponad dziesięciu książek autorskich – ostatnio: *Polska do wymiany. Późna nowoczesność i nasze wielkie narracje* (Warszawa 2009) oraz *Resztki nowoczesności. Dwa studia o literaturze i życiu* (Kraków 2011). Redaktor wielu książek zbiorowych – ostatnio ukazały się: zbiór studiów *Nowoczesność i sarmatyzm* (Poznań 2011) oraz antologia obcojęzycznych przekładów *Literatura ustna* (Gdańsk 2011). Razem z Łukaszem Zarembą przetłumaczył książkę Jamesa Englisha *Ekonomia prestiżu* (NCK, Warszawa 2012). Ostatnio ukazała się - przygotowana razem z Anną Mizerką – książka *Kamp. Antologia przekładów* (Universitas, 2013). Juror Nagrody Nike (1997-2000; 2010-2013). Laureat Medalu Młodej Sztuki (1996), Nagrody im. Ludwika Frydego (1997), Nagrody Kościelskich (1998), Nagrody Prezesa Rady Ministrów (1999) oraz Nagrody im. Kazimierza Wyki (2004).



ALTGLAS ШКЛАТАРА

(Romanauszug)
(Урывак з рамана)

Im Hinterhof eines alten Trolleybusdepots, in einer ehemaligen Altglassammelstelle, eröffnete eine Galerie. Es war die erste Galerie überhaupt in unserer Stadt. Das heißt, es gab schon Räumlichkeiten, die sich hochtrabend Galerien nannten, aber sie waren doch nur Räumlichkeiten und für alles zu haben. Für zweihundert Eier konnte sich jeder einen Saal im Palast der Schönen Künste mieten und dort, wenn er lustig war, eine Ausstellung zauberhafter lyrischer Landschaften zeigen. Dann kamen vielleicht die Popen und packten in denselben Saal einen Verkaufsstand für ihren wundertätigen orthodoxen Heilhonig. Und noch ehe die Leute die geweihten Gläser nach Hause getragen hatten, waren schon die Schuster mit ihrem Ausverkauf edler konfuzianischer Schuhe am Start. Schwer zu sagen, weshalb es in unserer Stadt keine Galerien gab, bevor diese erste aufmachte. Vielleicht mögen unsere Menschen hier keine Galerien. Sie erscheinen ihnen „unmöglich“, so zu sagen. Oder sie mögen sie, aber nicht so richtig, nicht genug, um sie leiden zu können. Es liegt ja auf der Hand – wo Galerien sind, sind auch Künstler. Und wo Künstler sind, ist die Bohème. Und Bohème heißt Saufen und Huren, Dreck, Gestank, Bierdosen, Wein-, Cognac- und Wodkaflaschen, kurzum: Altglas und Unordnung. Dabei ist unsere Stadt bekannt für Sauberkeit und Ordnung. Von jedem Besucher kriegt man unfehlbar zu hören: Was für eine ordentliche, schöne, saubere Stadt! Akkurat gestutzter Rasen, blitzblanke Straßen, Autos wie aus dem Bilderbuch! Und die Leute gehen nur bei Grün über die Straße. An Straßenkehrern herrscht hier wahrlich kein Mangel. Es kann schon vorkommen, dass sie sich zu fünf auf einen weggeworfenen Zigarettenstummel stürzen, noch ehe er den Bürgersteig erreicht hat und darüber in Streit geraten, wer ihn nun bekommt. Aber hier wirft eigentlich kaum jemand Zigarettenstummel weg, weil die Menschen sehr ordnungsliebend sind. Ordnung und Sauberkeit mögen sie. Sauberkeit und Ordnung. Wie auf dem Friedhof. Als die erste Galerie in unserer Stadt auftauchte, suchte sie sich dafür den einzig möglichen Ort: fernab der Ordnung und der Menschen, im Hinterhof eines alten Trolleybusdepots, in einer ehemaligen Altglassammelstelle. An die Sammelstelle in ihrer Zeit als Sammelstelle kann ich mich nur dunkel erinnern. Wenn wir als Jugendliche

Altglas weggebracht hatten – man bekam ja noch etwas für die leeren Flaschen – war ich immer zu einer anderen, näher gelegenen Sammelstelle gegangen. Aber einmal, das weiß ich noch, sind wir aus dem Nebel unseres Suffs getreten, und standen vor der besagten. Wann das gewesen ist, mit wem und womit es endete, ist mir nicht im Gedächtnis geblieben. Offenbar sind wir zurückgekehrt in unseren Nebel. Nur dass es ein klebrig-heißer Sommer war, weiß ich noch. Seis drum. Wichtig ist nur, was weiter geschah, nachdem in dieser Altglassammelstelle eine Galerie eröffnete. So hieß sie dann auch: U *šklatary*, Zum Altglas. Nicht der schlechteste Name. Hauptsache ungewöhnlich. Das U ist dann von selbst abgefallen, übrig blieb: *Šklatara*. Triffst es ja auch. Wozu die Sache verkomplizieren? Im selben Gebäude richteten sich das Design-Büro Vamp, das Café *Managa* und Sciopins Verlag mit seiner Buchhandlung ein, der *Kniharnia*. Nach kurzer Zeit stürzte dann auch das *Kni* von *Kniharnia* ab, dafür flichte sich das U von der Galerie vorne dran: *Uharnia*. Das *Kni* soll noch eine Weile hinter der *Šklatara* herumgelegen haben. Aber dann kamen die Straßenkehrer, nahmen es mit und warfen es in den Müll – Ordnung muss sein. In unserer Zweimillionenmetropole hat es überall sauber zu sein. Auch im Hinterhof eines alten Trolleybusdepots. Früher habe ich Flaschen einfach weggebracht. Aber als diese Galerie eröffnete, ging mir auf, was das eigentlich heißt, „Altglas entgegennehmen“. Ich saß am Fließband der *Managa*-Theke, und sie wollten kein Ende nehmen: hohe, hübsche, kleine, bauchige, angebrochene, zerbrochene, volle, leere, mit schlanken und weniger schlanken Hälsen, zierliche, dickhäutige, Bier-, Kognak-, Wein-, grünäugige, braunäugige, mehr oder weniger intelligente, Blondinen, Brünette, gute, boshafte, liebliche, nüchterne ... Mit der Eröffnung der *Šklatara* veränderte sich etwas in unserer Stadt. Vorher hatte jeder seine Glasbehälter in seinem Wohnbezirk geleert und abgegeben. Jetzt strömten alle hierher. Früher oder später musste auch sie hier auftauchen. [...] Maša erwartete mich um neun Uhr abends auf der Bank vor dem Museum des 1. Parteitags der Sozialdemokratischen Arbeiterpartei Russlands. Ich hatte diesen Treffpunkt mit Bedacht gewählt. Ganz in der Nähe lagen die

Hinterhöfe, die ich ihr zeigen wollte. „Ich kenne viele gute Ecken in dieser Stadt. Aber jetzt machen wir uns auf die Suche nach unserem Hof. Vielleicht brauchen wir mehr als eine Nacht, aber wir werden so lange durch die Stadt ziehen, bis wir ihn gefunden haben.“ Lächelnd zog Maša eine Kognakflasche aus ihrer Tasche: „Ich glaube, das könnte uns helfen.“ Kaum hatten wir uns an der *Svistač* auf einer Bank niedergelassen, fragte sie: „Was haben Sie in Vilnius gemacht?“ „Ach, da war ich in Sachen Revolution unterwegs“, antwortete ich wichtigtuerisch, aber mit unverhohlener Ironie. „Oh! Sie sind in einer Partei?“ „Nicht mehr. Früher war ich lange bei der Volksfront.“ „Und was ist nun mit der Revolution? Kommt sie bald?“ „So bald nicht.“ „Warum denn nicht?“ „Ich denke, es liegt am Volk. Die Menschen haben sich über die Jahrhunderte so an das Leben in der Okkupation gewöhnt, dass ihnen jede Macht fremd ist“, hob ich zu einer wortreichen Erklärung an, mit der ich Eindruck schinden wollte. „Nicht einmal die Idee ihrer eigenen Macht erscheint ihnen glaubhaft, deshalb wollen sie sie nicht ergreifen. Die Leute hier wissen, dass ihnen keine Macht zu Hilfe kommen wird. Das ist eine ganz eigene Form von Individualismus. Verstehst du, in Europa leitet sich der Individualismus vom Römischen Recht her, im Sinne von: Ich bin römischer Bürger, also habe ich ein Recht auf dies und jenes, auf Brot und Spiele, und die Macht hat mir diese Rechte zu garantieren. Hier wollen die Menschen nur eines: in Ruhe gelassen werden, keine Einmischung in ihr Privatleben. Jede Macht ist ihnen ein notwendiges Übel, mit dem sie sich eben abfinden müssen. Die Leute hier sagen sich: 'Mein Name ist Hase, ich weiß von nichts und will auch gar nichts wissen.'“ Untergrundmenschen-Psychologie. Sie haben nur einen einzigen Auftrag: im Besatzungsgebiet zu überleben. Hätten sie den Auftrag, die Besatzer zu besiegen, müssten sie sich mit anderen zusammentun, irgendeine kollektive Tat vollbringen. Aber der Untergrundmensch tut sich schwer mit dem Kollektiven.“ Nach einem Schluck aus der Flasche, ließ ich meinen Blick über Mašas wohlgeformte Beine in den schwarzen Feinstrumpfhosen gleiten und ertappte mich bei dem Gedanken, dass ich einer kollektiven Tat mit ihr jetzt durchaus nicht abgeneigt wäre. „Der Untergrundmensch igelt sich ein“, fuhr ich fort. „Er errichtet sein eigenes kleines Imperium, in dem er sich als kleiner Imperator fühlen kann. Sein Auftrag beschränkt sich darauf, dieses Territorium zu verteidigen. Dieses Untergrundgen lässt sich kaum noch entfernen, es hat sich hier über Jahrhunderte herausgebildet. Wenn der Krieg kam, sind die, die gemeinsam gekämpft haben, gefallen. Übrig geblieben sind die, die einfach überleben wollten. Wobei ...“, ich winkte ab, „selbst damals haben sie das mit dem Zusammenschluss nicht richtig hinbekommen. Du kennst ja die Geschichte der *Rzeczpospolita*: Jeder herrschte über sein Land, und die Obrigkeit war ein einziges Ärgernis, das man einfach ...“ „Ich kann mich noch an die letzte Revolution erinnern“, unterbrach Maša plötzlich meinen Vortrag. „Ich war damals die ganze Nacht auf dem Oktoberplatz. Es war

hundekalt, aber ich hatte Angst wegzugehen. Alles war abgeriegelt, wer hinter die Absperrung gegangen ist, wurde mitgenommen.“ „Du bist mir ja ein richtiges Revoluzzermädel!“ entfuhr es mir, dann riss ich mich wieder zusammen und fragte ernst: „Wie bist du denn entkommen?“ „Ich habe den Morgen abgewartet. Dann fuhren die Busse wieder, Fußgänger kamen vorbei und ich konnte mich unbemerkt unter die Leute mischen. Aber meine Hände waren richtige Eisklötze. Sie tun immer noch schrecklich weh, wenn es richtig kalt ist.“ „Tun sie jetzt auch weh?“ fragte ich und versuchte, ihr die Hände zu rubbeln. „Ich bin damals nicht auf dem Platz geblieben. So gegen ein Uhr nachts bin ich gegangen. Ich musste am Morgen nach Berlin fahren, zu einer Konferenz“, flüsterte ich, als müsste ich mich entschuldigen. „Wissen Sie noch, wie krass es damals geschneit hat? Riesenflocken, dicht an dicht, wie eine Wand. Alle haben geglaubt, die würden den absichtlich mit Schneekanonen auf uns feuern.“ „Erinnerst du dich auch noch an die Scharfschützen auf den Dächern?“ „Das waren Scharfschützen?“ „Kann schon sein. Und, wollen wir?“ Wir gingen die *Čyrvonaja* entlang und bogen dann in den großen, dunklen Innenhof hinter dem Haus mit der Turmnadel ein. „In diesem Hof lebten zwei Genies!“ Behutsam legte ich meinen Arm um Mašas Taille. Der Dichter Alaksiej Ždanaŭ und Kim Chadziejė. Von Kim habe ich dir schon erzählt. Siehst du das protzige Neue-Russen-Haus? Das kriegen sie schon seit Jahren nicht fertiggebaut. Und soll ich dir sagen, warum? Das kann hier nichts werden. Ich nehme an, Kim hat ihnen von da oben“, ich hob den Zeigefinger zum Himmel, „einen Denkkzettel verpasst, weil sie seine Hütte abgerissen haben. Früher stand hier nämlich eine zweistöckige Baracke, in der er gehaust hat. Der halbe Untergrund hat in dieser Baracke Station gemacht. Kim war nicht bloß ein Guru, er war ein echter Schamane. Das musst du dir mal vorstellen, er hat Anfang der Fünfziger dazu aufgerufen, Stalin abzusägen, da war der noch am Leben. Und das war nicht der übliche Intelligenzija-Protest, halblaut in der Küche. Nein, richtig laut, in der Uni am Lehrstuhl. Was glaubst du, was das für ein Schock war. Die KGB-Fritzen waren so durch den Wind, dass sie ihn nicht erschossen haben. Sie haben ihn als Psycho ins Irrenhaus gesteckt. Und weißt du, was unser Schamane dort gemacht hat? Er hat seine erste Dissertation geschrieben, in Psychiatrie, für seinen eigenen Psychiater.“ „Seine erste?“ fragte Maša verwundert. „Insgesamt waren es über dreißig!“ „Und alle in Psychiatrie?“ „Nein, ganz unterschiedlich. Literatur, Mathematik, Ökonomie, Soziologie. Alle möglichen Themen, davon hat er sich finanziert. Also, er hat nicht für sich geschrieben, nur Auftragsarbeiten, gegen Kohle. Ein Wahnsinnskopf! Er hat eine ganze Untergrundakademie aufgezogen. Du kannst dir gar nicht vorstellen, wie viele Leute durch seine Schule gegangen sind!“ Da überlegte ich: Wäre Kim noch am Leben, hätte ich Maša unbedingt zu ihm geschleppt. Die Erinnerung an Kims letzten Geburtstag versetzte mir einen Stich. Seine Partys waren immer ausgelassen, laut,

mit vielen Leuten und über mehrere Tage. Dabei war die Wohnung winzig, ein Zimmer mit Küche. Jede Menge Leute standen dicht gedrängt wie in einem überfüllten Bus, Plastikbecher in der Hand. Aber der letzte Geburtstag war anders. Es ging schon lustig zu, aber allen war klar, dass Kim Ivanyč abtreten würde. Man sprach Toasts aus, ließ ihn hochleben und wusste dabei, dass es ein Abschied war. Und er nahm mit Blicken Abschied von uns. Er trat ab und schrieb uns mit seinem Blick die Worte aus seinem unvollendet gebliebenen Märchen ins Stammbuch: „Auf, meine Soldatenkinderlein, ich habe in meinen zweiundsiebzig Jahren eine Menge getan, jetzt ist es an euch, dieses Märchen ohne mich zu Ende zu schreiben. Ob das Märchen eine Moral hat oder ein glückliches Ende, das liegt jetzt an euch.“ Aber seine Augen waren dabei so tieftraurig, als sähen sie schon voraus, dass es, wie so häufig im belarussischen Märchen, kein glückliches Ende geben würde.

„Warum so schweigsam? Trinken wir noch einen?“ „Weißt du, in den Neunzigern hat Kim dann keine Dissertationen mehr geschrieben, sondern als Consultant sein Geld verdient. Er hat Modelle konzipiert, Entwicklungsstrategien. Und dann sind die Leute, für die er gearbeitet hat, einer nach dem anderen eingelocht worden. Vielleicht Erinnerst du dich noch an die Affäre um den Ex-Landwirtschaftsminister. Das Kanzelariat hatte damals seine eigene Entwicklungsstrategie: totale Kontrolle. Weißt du, Kim mochte das Volk nicht. Er sagte immer, man bräuhete nur zwei SS-Leute und drei Hunde, um es zu regieren. Und den zweiten SS-Mann nur zum Hundefüttern. Das hörte sich brutal an, aber irgendwo hatte Kim auch recht: Wenn das Volk in jeder Macht seinen Feind sieht, selbst aber die Macht nicht ergreifen will, kommt früher oder später einer, der sie übernimmt. Was soll sie auch herrenlos im Weg herumliegen.“ Im Hof des großen Stalinbaus war es finster, menschenleer und nasskalt. Aus dem Dunkel des Nachthimmels betrachtete uns der große Gipsstern auf der Turmna-del, angestrahlt von violettem Neonlicht. Der Kognak verscheuchte die Kälte, wärmte, machte Laune. Ich zog ein Gedichtbändchen aus der Tasche, das ich eigens für diesen Hof eingesteckt hatte und fragte:

„Soll ich was vorlesen?“ Ohne eine Antwort abzuwarten, schlug ich aufs Geratewohl eine Seite auf:

.....
*Blank, gesichtslos staubt mein Schädel,
haarlos, schamlos, hemmungslos,
auf der langen Bank, der schwarzen,
gelben, uferlosen ein.*

*Etwas ist mit uns im Gange ...
Meinungs-, Schicksals-, Linienkreuze ...
Drei geschlossen, schweift das vierte
Auge, das so blau, so blau ist ...*

„Gott, ist das schön! Von wem ist das?“ rief Maša. „Alaksiej Ždanaŭ. Das zweite Genie, das in diesem Hof lebte. Das sind seine Fenster dort im ersten Stock. Einer unserer größten Dichter, aber von allen vergessen.“ Und wieder fiel mir ein Abschied ein, diesmal der von Ždanaŭ. In seiner Wohnung hatten sich eine Menge Leute versammelt: Freunde, Freundinnen, Fans. Alle waren schockiert, weniger wegen seines Todes an sich, sondern weil er so unsinnig war. Alaksiej ersäuft morgens seinen Kater in einer Absteige irgendwo in der Baracke, in der auch Kim wohnte. Dort schlief er am Tisch ein. Neben ihm stand ein Waschzuber mit Sauerkraut. Alaksiej kippte zur Seite, der Zuberrand drückte ihm die Halsschlagader ab, und er erstickte im Schlaf.

Ich weiß noch, wie immer neue Leute kamen. Sie traten an den Sarg, neben dem ganz in Schwarz seine von Kummer zerfressene Mutter saß, gingen weiter in die Küche, kippten einen Wodka und verschwanden schweigend auf eine Zigarette im Hauseingang. Am Tag nach der Beerdigung versammelten sich alle noch einmal zum Gedenken. Anfangs saßen alle schweigend da und tranken. Aber nach ein paar Gläsern stellte sich plötzlich eine überirdische Fröhlichkeit ein – alle redeten, es wurde gelacht. Nach ein, zwei Stunden gingen alle auseinander, als wäre nichts gewesen, und falls doch etwas gewesen sein sollte, wollte man es möglichst schnell vergessen.

[Übersetzung: Thomas Weiler]

любяць, але не зусім, не настолькі, каб іх цяпець. Бо ясная ж рэч, дзе галерэі – там мастакі. А дзе мастакі – там і багема. А багема – гэта п’янства, бляцтва, смецце, смурод, бляшкі і пляшкі з-пад піва, віна, каньяку ды гарэлкі, адным словам, пустыя бутэлькі і ніякага парадку. А парадак — гэта тое, чым славіца наш горад. Хто ні прыедзе, усе ў адзін голас: які правільны, які цудоўны, які чысты горад! Газончыкі акуратненькія, вуліцы чысцюткія, машынкі ездзяць, бы карцінкі! І нават людзі ходзяць толькі на зялёнае святло.

Дворнікаў у нас сапраўды хапае. Бывае, не паспееш кінуць недакурак на ходнік, тут жа прылятуць чалавек пяць ды яшчэ паспрачаюцца, каму ён дастанецца. Але і недакуркаў у нас на ходнікі правя ніхто не кідае, бо нашы людзі любяць парадак. Любяць, каб парадак і чысціня. Чысціня ды парадак. Бы на могільках.

Таму, калі ў нашым горадзе адчынілася галерэя, то з’явілася яна там, дзе толькі і магла з’явіцца, – далей ад парадку і людскіх вачэй, на задворках старога тралейбуснага дэпо, у былым пункце прыёму шклатары. Я гэтую шклатару, калі яна была яшчэ шклатарай, памятаю кепска. У маладосці, як мелі мы звычайку здаваць пустыя бутэлькі, бо нечага тыя бутэлькі яшчэ каштавалі, я хадзіў у іншую шклатару, бліжэй да дому. Хоць, прыгадваю, раз, выйшаўшы з хмельнага туману, мы натрапілі й на гэту. Калі тое было, з кім ды чым скончылася, з памяці сцерлася. Відаць, вярнуліся назад, у туман. Помню толькі ліпкае спякотнае лета. Зрэшты, няважна. Важна тое, што адбылося далей, як адчынілася ў той шклатары галерэя.

Яе гэтак і назвалі – «У шклатары». Някепскі назоў. Галоўнае – незвычайна. “У”, праўда, неўзабаве само сабою адвалілася, выйшла проста «Шклатара». Зрэшты, трапна. Нашто ўскладняць? Там жа, у будынку шклатары, прытуліліся дызайн-бюро «Вамп», кавярня «Манага», выдавецтва Сцепіна ды ягоная ж «Кнігарня”. Праўда, у хуткім часе літары «Кні» ад «Кнігарні» таксама адпалі, а замест іх прыляпілася тое «У», што адляцела ад галерэі. Выйшла – «Угарня». Кажуць, літары «Кні» яшчэ нейкі час валяліся ля «Шклатары». Але потым заявіліся дворнікі, паднялі, ды занеслі на сметніцу – непарадак жа. У нашым двухмільённым мегаполісе трэба, каб чыста было паўсюль. Нават на задворках старога тралейбуснага дэпо.

Раней я бутэлькі толькі здаваў. Але калі адчынілася гэта галерэя, зразумеў, што значыць “быць на прыёме шклатары”. Я сядзеў за канвеерам барнай стойкі «Манагі», а яны ўсё цягнуліся ды цягнуліся: высокія, зграбныя, маленькія, пузатыя, недапітыя, бітыя, поўныя, пустыя, з вытанчанымі рыльцамі і не вельмі, крохкія, таўстаскурныя, піўныя, каньячныя, вінныя, зеленавокія, каравокія, інтэлігентныя ды не надта, бландзінкі, брунеткі, шатэнкі, добрыя, злосныя, пяшчотныя, сцяровозныя.

Калі адчынілася «Шклатара», нешта ў нашым горадзе змянілася. Да гэтага кожны спусташаў і здаваў шклатару ў сваім спальным раёне. А цяпер усе пацягнуліся сюды. Рана ці позна мусіла сюды прыйсці і яна. [...] Маша чакала мяне а дзевятай вечара на лавачцы каля Музея І з’езда РСДРП. Я не выпадкова абраў менавіта гэтае месца. Побач знаходзіліся двары, у якія я хацеў яе павесці.

– Я ведаю шмат добрых месцаў у гэтым горадзе. Але зараз мы адправімся шукаць наш дворык. Можна, на пошукі спатрэбіцца не адна ноч, але мы будзем блукаць па горадзе, пакуль не знойдзем яго.

Усміхнуўшыся ў адказ, Маша дастала з торбачкі пляшку каньяку:

– Мяркую, гэта нам дапаможа.

Толькі мы прыселі на лавачку каля Свіслачы, яна запыталася:

– Што вы рабілі ў Вільні?

– Ай, ездзіў па справах рэвалюцыі, – з напускною важнасцю, але не без іроніі адказаў я.

– О! Вы сябра нейкай партыі?

– Цяпер не. А раней я доўга належаў да фронтаскіх.

– І што ж рэвалюцыя? Ці хутка будзе?

– Не хутка.

– Чаму ж?

– Думаю, справа ў народзе. Ён за стагоддзі так прызвычаўся жыць пад акупацыйнай, што кожная ўлада яму чужая, – распачаў я шматслоўнае тлумачэнне з намерам зрабіць уражанне, – Ён не верыць у саму ідэю сваёй улады, таму не хоча яе ўзяць. Наш народ ведае, што ніякая ўлада яму не дапаможа. Гэта вельмі дзіўная форма індывідуалізму. Разумееш, калі ў Еўропе індывідуалізм ішоў ад рымскага права, то бок, я – грамадзянін Рыма, таму маю права на тое і на гэтае, на хлеб ды на відовішчы, і ўлада абавязаная мне гэтыя правы забяспечыць. У нас жа чалавек хоча аднаго: каб яго пакінулі ў спакоі, не перашкаджалі яму асабіста ладзіць сваё жыццё. Усялякая ўлада для яго – непазбежнае зло, з якім ён мусіць проста змірыцца. Такі чалавек кажа сабе: «Мая хата з краю, нічога я не ведаю і ведаць не хачу!» Псіхалогія падпольнага чалавека. Перад ім стаіць адна задача – выжыць на акупаванай тэрыторыі. Калі б у яго была задача перамагчы акупантаў, ён мусіў бы аб’яднацца з іншым, зрабіць пэўнае калектыўнае дзеянне. Але падпольнаму чалавеку цяжка з кімсьці аб’яднацца. Зрабіўшы з пляшкі глыток, я кінуў погляд на зграбныя ў чорных калготках ножкі Машы і злавіў сябе на думцы, што аб’яднацца з ёю мне зараз вельмі хацелася б.

– Падпольны чалавек сыходзіць у сабе, – працягваў я, – стварае сваю маленькую Імперыю, у якой ён пачуваецца маленькім Імператарам. Ягоная задача – абараніць толькі гэтую прастору. Выдаліць ген падпольнага чалавека складана, бо ён ствараўся тут стагоддзямі. Калі прыходзіла вайна, тыя, хто аб’ядноўваўся ў барацьбе, гінулі. Заставаліся тыя, хто хацеў проста выжыць. Хаця, – махнуў я рукою, – нават тады аб’яднацца не надта атрымлівалася. Узгадай гісторыю Рэчы Паспалітай: кожны быў на сваёй зямлі Імператарам, а ўлада і тады была прыкраю перашкодай, з якой проста...

– А я памятаю апошнюю рэвалюцыю, – раптам перапыніла маю лекцыю Маша. – Прабыла тады на Кастрычніцкай плошчы ўсю ноч. Як цуцьк змерзла, а сысці было страшна. Навокал аблажылі ўсё, а тых, хто за ачапленне выходзіў, хапалі.

– Ах ты мая рэвалюцыянерачка! – сарваўся я, але схамянуўся і сур’ёзна дадаў: – Як жа ты сышла?

– Дачакалася раніцы. Пайшлі аўтобусы, потым паявіліся мінакі, і я неспрымтна шмыгнула ў натоўп. Але рукі зусім адубелі. Дагэтуль, калі вялікі мароз, страшэнна баляць.

– А зараз не баляць? – узяўся я расціраць Машыны рукі. – А я тады на плошчы не застаўся. Пайшоў дзесьці а першай ночы. Мне трэба было назаўтра ехаць у Берлін на канферэнцыю, – нібы ўпраўданне, прашаптаў я.

– А ці памятаеце, які снег тады паваліў шалёны? Вялізныя камякі, і густы, што сцяна! Усе падумалі, яго наўмысна з адмысловых гармат выстрэльвалі.

– А снайпераў на дахах ці памятаеш?

– А гэта былі снайперы?

– Можна быць! Ну што, хадзем далей?

Мы выйшлі на Чырвоную і неўзабаве збочылі ў вялікі цёмны двор дома пад шпілем.

– У гэтым двары жылі два геніі! – я асцярожна абняў Машу за талію. — Паэт Аляксей Жданаў і Кім Хадзееў!

Пра Кіма я табе ўжо ўзгадаў. Бачыш гэты пантовы дом для новых рускіх? Яго ўжо шмат гадоў дабудавачь

не могуць. А ведаеш, чаму? Месца тут гіблае. Я мяркую, гэта Кім адтуль, – я тыкнуў пальцам у неба, – прывітанне ім даслаў за тое, што ягоную халупу знеслі. А раней тут стаяў двухпавярховы барак, у якім ён жыў. Праз гэты барак прайшла палова падполля. А Кім быў нават не гуру, а сапраўдны шаман. Ты толькі ўяві сабе, у пачатку пяцідзясятых, ён заклікаў зрынуць Сталіна, калі той яшчэ быў жывы. Не так заклікаў, як любіць інтэлігенцыя, паўшэптам на кухні. А па-сапраўднаму, у голас, з універсітэцкай трыбуны. Яві, які з усімі здарыўся шок. Гэбуха так разгубілася, што Кіма з перапуду нават не расстралялі. Сказалі, хто ён шызануўся і адправілі ў вар’ятню. І ведаеш, што там зрабіў наш шаман? Ён напісаў сваю першую дысертацыю, па псіхіятрыі, для свайго ж псіхіятра.

– Першую? – здзіўлена спытала Маша.

– Ён напісаў іх болей за трыццаць!

– І што, усе па псіхіятрыі?

– Не, розныя. Яшчэ па літаратуры, па матэматыцы, эканоміцы, сацыялогіі. Ён пісаў на ўсе магчымыя тэмы ды з гэтага жыў. Ну то бок пісаў не для сябе, а на замову за бабкі. Прыкінь, які быў розум! Цэлую падпольную акадэмію стварыў. Колькі людзей праз яго прайшло, ты сабе ўявіць не можаш!

Тут я падумаў: будзь Кім жывы, я абавязкова павёў бы да яго Машу.

Нешта ўнутры зашчаміла ад успаміну пра апошні дзень народзінаў Кіма. Святкавалі заўсёды іх весела, шумна, шматлюдна, некалькі сутак запар. Кватэрка была маленькая: адзін пакой і кухня. Народу набівалася шмат, стаялі, як у перапоўненым аўтобусе, плячо ў плячо, з пластыкавымі кубачкамі ў руках. А гэты, апошні дзень яго нараджэння быў іншым. Быццам бы і весела, але ўсе разумелі, што Кім Іванчыч сыходзіць. Падымалі тосты, спявалі здравіцы, але ведалі, што развітваюцца з ім. А ён вачамі развітваўся з намі. Сыходзіў і поглядам нібы даваў наказ словамі са сваёй казкі, якую так і не дапісаў: «Давайце, рабяткі-салдатушкі, я за свае семдзесят два шмат чаго зрабіў, а цяпер ваша чарга гэтую казку без мяне дапісваць. А будзе ў гэтай казцы мараль альбо шчаслівы канец — зараз ад вас залежыць». Толькі вочы яго былі сумныя-сумныя, быццам прадбачылі, што шчаслівага канца, як часцяком ў беларускіх казках, не будзе.

– Што ж вы маўчыце? Вып’ем?

– Ведаеш, а ў дзевяностыя Кім зарабляў ужо не дысертацыямі, а кансультаваў бізнес. Будаваў мадэлі, стратэгіі развіцця. А потым людзей, якім ён дапамагаў, пачалі саджаць аднаго за адным. Памятаеш справу былога міністра сельскай гаспадаркі? Тады ў Канцэлярыі была свая стратэгія развіцця — кантраляваць усё. Ведаеш, а народу Кім не любіў. Казаў, што кіраваць ім могуць два эсэсаўцы і тры сабакі. Прычым другі эсэсавец патрэбны толькі, каб сабак карміць. Гучала гэта жорстка, але ў чымсьці Кім меў рацыю: калі любая ўлада народу варожая, а сам народ браць уладу не хоча, рана ці позна знойдзецца хтосьці, хто возьме яе сабе. Што ж ёй безгаспадарнай валяцца пад нагамі. У двары вялікага сталінскага дома было цёмна, бязлюдна ды сыра. З пустога чорнага неба на нас паглядала са шпіля вялікая гіпсавая зорка, асветленая фіялетавым неонам. Каньяк адганяў холад, грэў, весяліў. Дастаўшы з кішэні маленькі зборнік

вершаў, прызапашаны адмыслова для гэтага дворыка, я запытаўся:

– Хочаш, пачытаю? – і не чакаючы адказу, разгарнуў наўздагад:

.....

*Голова моя безлицца,
Безволоса, беспардонна,
в долгом ящике пылится,
черном, желтом и бездонном.*

*Что-то с нами происходит...
Скрестки мнений, судеб, линий...
Три прикрыв, четвертым водит,
Тем, который синий-синий...*

– Божа! Якая прыгажосць! Хто гэта? – усклікнула Маша.

– Аляксей Жданаў. Другі геній, які жыў у гэтым двары. Вось ягоныя вокны на другім паверсе. Ён – адзін з найлепшых нашых паэтаў, толькі на яго ўсе забыліся.

І тут я чамусці зноў узгадаў развітанне, цяпер ужо са Жданавым. Народу тады ў ягонай кватэры сабралася шмат: сябры, сяброўкі, прыхільнікі. Усе былі шакаваныя нават не самой яго смерцю, а яе недарэчнасцю. Аляксей пахмяляўся з раніцы ў нейкім шалмане ў тым жа бараку, дзе жыў Кім. Потым заснуў за сталом. Побач стаяла выварка з кіслай капустай. Ён прыхінуўся, краем вываркі яму прыціснула шыю, і ён задыхнуўся ў сне.

Я памятаю, як паяўляліся ўсё новыя людзі.

Падыходзілі да труны, ля якой сядзела ў чорным расціснутая горамаці, потым адпраўляліся на кухню, выпівалі чарку гарэлкі і моўчкі ішлі ў пад’езд паліць. На наступны дзень пасля пахавання ўсе зноўку сабраліся на памінкі. Спачатку ціха сядзелі і пілі. Але пасля чарговай чаркі раптам накаціла нягэтульная весялосць: усе загаманілі, пачуўся смех. Праз гадзінку-дзве ўсе параз’язджаліся працягваць у іншых месцах, быццам нічога не было, а калі і было, то лепей як найхутчэй на гэта забыцца.

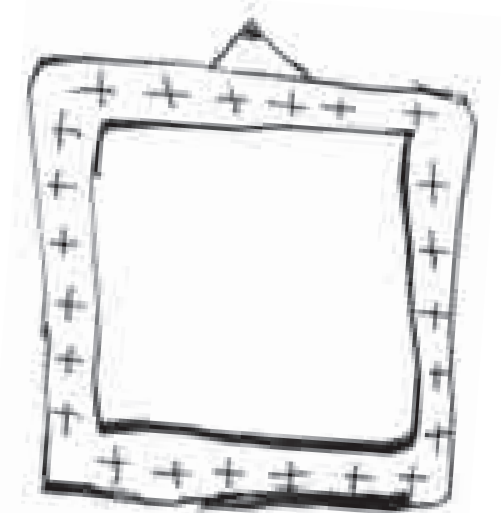
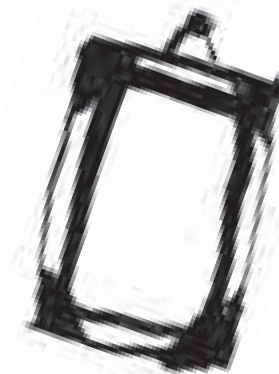
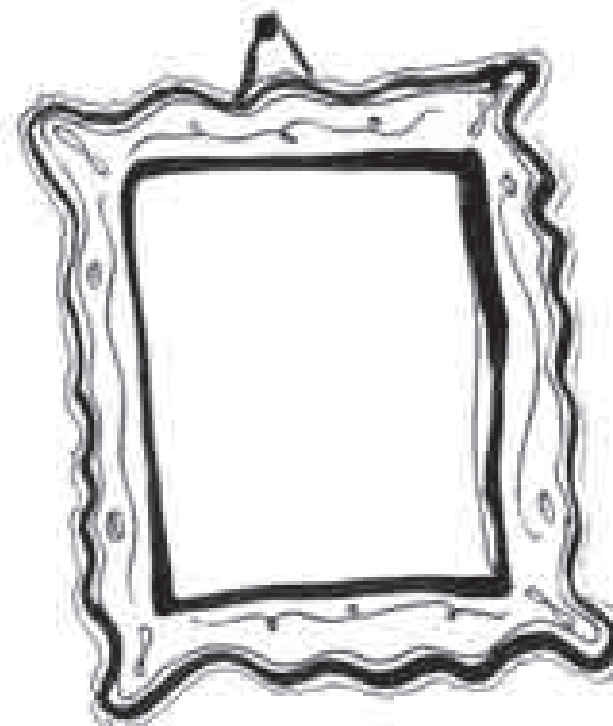
Артур Клінаў: *Шклатапа*. Логвінаў 2013

ARTUR KLINAŪ (1965, Belarus) – Schriftsteller, Künstler, Drehbuchautor, Herausgeber und Chefredakteur des kulturwissenschaftlichen Almanachs *pARTisan*. Debütierte in Deutschland mit dem Buch *Minsk. Sonnenstadt der Träume* (Suhkamp 2006), mit dem er in einer nostalgischen Reise durch die kommunistische Stadt seiner Kindheit die ästhetische Natur einer sozialutopischen Gesellschaft erforscht. Das Buch entwickelte sich in Belarus (Łohvinaŭ 2008) zu einem Verkaufsschlager und wurde anschließend ins Polnische (Czarne 2008) und Schwedische (Ersatz 2011) übersetzt. In *Schalom. Ein Kriegerroman* (Łohvinaŭ 2011) setzt sich der Autor mit der existenziellen Einsamkeit eines Künstlers auseinander, der das Konzept des totalen Aufstands zu seinem Kunstprojekt erkoren hat. Kann dieser Krieg gegen alle gewonnen werden, kann unsere Zeit einen neuen Messias hervorbringen? Im Jahr 2013 erschien die russische Fassung des Romans bei Ad Marginem. Ebenfalls 2013 erschien im Łohvinaŭ-Verlag der autobiografische Roman *Altglas*, der die existenzielle Leere thematisiert. Im März 2014 erschien in der *edition.fotoTAPETA* der Band *pARTisanen*.

Kontakt: arturklinau@gmail.com

АРТУР КЛІНАЎ (1965, Беларусь) – пісьменьнік, мастак, кіна-драматург, выдавец і галоўны рэдактар культуралагічнага часопісу *пАРТызан*. У Нямеччыне дэбютаваў кнігай *Minsk. Sonnenstadt der Träume* (Suhkamp 2006), у якой ён, праводзячы настальгічны экскурс праз камуністычны горад свайго дзяцінства, даследуе эстэтычную прыроду грамадства сацыяльнай утопіі. Кніга стала хітом на радзіме аўтара (Логвінаў 2008), а ў хуткім часе была выдадзена таксама на польскай (Czarne 2008) і швэдскай (Ersatz 2011) мовах. У рамана *Шалом. Ваенны раман* (Логвінаў 2011) Артур Клінаў звяртаецца да тэмы экзистэнцыйнай адзіноты мастака, які зрабіў канцэпцыю татальнага бунту сваім арт-праектам. Ці магчыма перамога ў гэтай вайне супраць усіх, ці можа наш час даць новага Мэсію? У 2013 годзе вышла руская версія рамана *Шалом* у маскоўскім выдавецтве Ad Marginem. Яшчэ вышаў *Шклатапа* (Логвінаў 2013), аўтабіяграфічны раман пра экзистэнцыйную пустэчу. У сакавіку 2014 года вышаў том *pARTisanen* у нямецкім выдавецтве *edition.fotoTAPETA*.

Кантакт: arturklinau@gmail.com



© Dorota Gawryszewska

**И мы, и они – скинемся еще
по чуть-чуть. И выплатим
наконец эту чудовищную
цену идентификации**

WASSER

B D A A

(Textausschnitt)

(уривок)

► Alle erinnerten sich an den Krieg. Man konnte nicht anders leben, diese Erinnerungen änderten unser Denken und unsere Luft zum Atmen. Alle erinnerten sich an etwas, und die in dem unschätzbaren Dazwischen geboren wurden und keine solchen Erinnerungen hatten, bekamen bald etwas davon ab. Zumeist genau dann, wenn bei den Kindern ein dauerhaftes und reflektierendes Erinnern einsetzte, und da sage noch jemand, es gebe keine schicksalhaften Gesetzmäßigkeiten. So erinnerten sich alle an den Krieg. Und außerdem gab es ringsum jede Menge Waisen.

Die Eltern, die ich hatte, waren nicht meine richtigen, und sie meinten, dass ich Glück gehabt habe, als sie mich „als ihren Sohn“ annahmen. Doch das war schlimmer für mich als die Hölle und als eine Kindheit mit Hunger, Verachtung, Bettelei und nachts ohne ein Dach über dem Kopf. Sie wollten immer einen Sohn. So machten sie mich zu einem Sohn, ohne jemandem zu sagen, dass sie eigentlich ein Waisenmädchen in ihr Haus aufgenommen hatten. Sie nannten mich geschlechtsneutral Lale. Hier trugen alle Kinder Blumennamen. Auf kargem Boden und wegen des giftigen Nebels, der fast jeden Tag über den Bergrücken gekrochen kam, konnten die Pflanzen hier kaum noch gedeihen. Dafür züchteten die Erwachsenen uns, die Kinder, wir hießen genauso schön und schwiegen genauso demütig wie Blumen.

[...]

Und wir hatten die idealen Verliese. Die Gefangenen begannen darin lange vor ihrem Tod mit den Ahnen zu sprechen. Steinernen Käfige, errichtet von der Natur, verzweigte Höhlen, die sich ins feuchte Erdinnere bohren, mit dicken Wänden und engen Durchgängen. Taub und unempfindlich für Bitten und Flehen. Es brachte auch gutes Geld, wenn Gerichte und Nachforschungen weit genug reichten. Einige Gefangene waren eine richtige Attraktion und der ganze Clan pilgerte zu ihnen, sie brachten viel Lösegeld mit, versprachen nicht weniger und flehten dabei herzzerreißend. Dann wurde man schließlich handelseinig, der Gefangene kam frei, doch meist erkannte er keinen mehr, war ohne Verstand, geschockt. Andere brachte man von da unten persönlich zu uns herauf und bezahlte nicht wenig, damit sie sang-

und klanglos von der Erdoberfläche in unseren Verliesen verschwanden. Das Vergessen verschlang viel Gold.

[...]

Ich war neun Jahre alt, es hatte gerade geregnet, wir liefen um die Wette zum See und stürmten dabei durch ein Dornendickicht, die Hecken beugten sich stets genau nach der Windrichtung am Hang. Ich musste für einen Augenblick anhalten, ein Dornenzweig hatte meine Hose zerrissen, er hatte sich in meine Wade gekrallt und sie ziemlich zerkratzt, ich musste ein paar Stacheln herausziehen, die Jungs waren schon am Wasser, zogen rasch ihre Hemden aus und sprangen mit Geschrei ins kalte Wasser, dass es ringsum nur so spritzte. Ich schaute und begann zu frösteln, aber nicht vom Wasser, denn erst jetzt wurde mir bewusst, wie sehr sich ihre Körper von dem meinen unterschieden. Die dünnen und mit dunklen Härchen bedeckten Beine, die kräftigen Füße, die sich den Weg zur Geburt frei getreten hatten und nach dem Tod wohl noch ein bisschen zappeln werden, feste Hintern, wie frische grüne Äpfel, vor Kälte zusammen gekniffene Pobacken, Rücken, auf denen sich die Muskeln abzeichnen, gestärkt durch harte Arbeit, selbst die Kleinsten haben schon breite Schultern, ich bin dagegen eine Handvoll wohligh aufgeganger Teig, aus dem sich weiße Glieder strecken und Rundungen formen, ohne Ecken und Kanten, unmöglich weich gequollen mit dem Versprechen zärtlicher Last. Doch meine Freunde tragen das Zeichen ihres Geschlechts, eine scheue kindliche Knospe, jetzt auch noch zusammengezogen vor Kälte, doch ich werde nie eine solche Knospe haben. Als spürte ich mit einem Mal jenen unsichtbaren Stachel, der schon jahrelang mit kleinen Stichen an meinem Körper entlang wanderte. Ich bin ein Feld, das Pferde zertrampelten, selbst wenn es kein Schlachtfeld war. Ein Eunuch, der noch nicht einmal als Mann geboren worden ist. Schauer überliefen mich, kitzelten mich im Nacken und am Rücken, und ich verstand, ja ich wusste, dass ich mich nicht vor ihnen ausziehen werde, weder jetzt noch irgendwann, ich hätte mich hier fast selbst verraten.

„Lale! Lale! Wo bleibst du denn!“ riefen meine Freunde mich zu sich, doch ich schüttelte nur den Kopf, schrie

ihnen zu, dass mir kalt sei und vergrub mich in meine Jacke, die mein letzter Schutz war. Stumpf saß ich auf einem Stein, bis meine Freunde genug gebadet hatten, mein ganzer Körper schmerzte wie später nie wieder. Seit jenem Tag wusste ich, wer ich bin, aber ich lebte weiter als das, zu was man mich gemacht hatte, hielt mich zunehmend fern von den Freunden, wurde zum Einzelgänger, den man hinter seinem Rücken auslachte. Aber das tat nicht weh. Nie hatte mich etwas mehr geschmerzt als damals beim Weiher, wo ich mich gefunden und dann endgültig verloren hatte. Ich badete danach einige Mal in diesem Weiher, nachdem es geregnet hatte, allein. Das Wasser schien mir bitter zu sein, es war, als leckte es mir mit grüner Zunge die Haut vom Körper.

[...]

In alten Chroniken, die von Belagerungen, Geschützdonner und Bränden berichteten, grollte die Erde. Ich träumte davon, dieses Geräusch zu hören, aber es kam nicht. Der Befehlshaber der feindlichen Armee verstand sein Handwerk. Die Festungsstadt Smijewa Schija war uralt und ihr Ruhm reichte bis in ferne Landstriche. Früher waren irgendwelche Tölpel mit Geschützen angerückt. Die jetzigen Kriegsherren haben jedoch aus fremden Fehlern gelernt und wissen, dass es sinnlos ist, die Mauern zu beschießen, sie sind undurchdringlich. In dem Mauerwerk wurde zur Stärkung so viele Tote mit eingemauert, dass sie keine Armee der Lebenden zu überwinden vermag. So ist es wesentlich klüger, satte Soldaten mitzubringen, uns zu belagern, die Versorgungsrouten zu sichern und ruhig abzuwarten. Und dieser Heerführer hatte nicht vor, unnötig Munition und Menschenleben zu vergeuden. Er war gekommen, uns auszuhungern.

Im Sommer trat ein, wovor sich alle am meisten gefürchtet hatten, der heilige Brunnen wurde brackig. Wir hatten Wasser- und Essensvorräte, doch sie wurden aufgebraucht. Es gab keinen Regen. Auf den Straßen lagen Kadaver von Hunden und Katzen. Man versuchte das Brackwasser aus dem Brunnen zu schöpfen, aber nachdem zwei Menschen davon an Fieber gestorben waren, wurde es von Kommandanten strengstens verboten. Er sprach: „Wir brauchen jede Hand, die die Stadt verteidigen kann.“ Auch sagte er: „Außerdem kann man die Leichen von Menschen, die nicht an Auszehrung, sondern an Fieber gestorben sind, selbst im Notfall nicht essen.“ Und dann kam der Zeitpunkt, das zu sagen, was niemand hören wollte. Smijewa Schija war wie alles auf der Welt verletzlich, hatte einen Schwachpunkt und eine Geschichte der Niederlage. Deren Schriftrolle lag im entferntesten Winkel der Bibliothek in der Hoffnung, hungrige Ratten würden sie zernagen. Doch keine Ratte hatte Appetit auf eine Geschichte, in der einst asiatische Horden mit einer Höhlenkonstruktion aus Eisen die Festungsmauer durchbrochen und ins Innere gestürmt waren. Aus den Knochen der damals Niedergemetzelten, hieß es, schnitze man bis heute Messergriffe und Spielzeug für die Kinder. Doch der Feind wurde verjagt, die Mauer erneuert und eine kleine Pforte zu einem unterirdischen Gang wurde eingesetzt. Er führte ins Tal zum Steinernen Auge. Es galt als ehrenrührig, davon zu erzählen, dies war der Weg der Feiglinge. Und nun musste jemand diesen Gang zum Brunnen gehen und

schauen, ob man ihn nicht in Betrieb setzen konnte.

Ich wollte so lange und innig aufhören zu sein, dass ich diese Gelegenheit nicht versäumen durfte. Ich könnte in dem unterirdischen Gang, in dem so lange keiner gewesen war, verschüttet werden... oder der Feind könnte mich töten. Da brauchte sonst keiner hinzu kommen. Doch mein alter Lehrer war stolz auf seinen Schüler und meldete sich, um mit mir zusammen zu gehen. Er hoffte, wir würden ein Pferd bekommen, da könnten wir zur Rettung zwei oder drei Wasserfässer auf ein Tragegerüst schnallen und hinter uns her ziehen. Nein, sagte der Kommandant. Wozu denn ein Pferd? Und wenn ihr es verliert? Und was, wenn ihr nicht zurückkehrt? Selbst ein Esel kommt nicht in Frage. Das ist alles Fleisch, das ist jetzt mehr wert als Gold. Und können sich zwei Männer nicht selbst vor den Karren spannen und ihn ziehen? Das wäre einfacher.

Ich wusste, dass man in Smijewa Schija einst Diebe lebendig begraben hatte, doch ich erschrak zum ersten Mal so richtig darüber, als ich mit dem Kopf gegen eine Wurzel stieß, die aus der Decke ragte. Die Pflanzen lebten da oben und ihre Erde krümelte hier unten in meine Haare, wir waren im dunklen Gang, in dem man nicht einmal aufrecht gehen konnte. Die Trage verhakte sich an den Wänden und bremste uns, die Riemen schnitten uns in die Schultern. Doch wir beeilten uns, wir hatten nicht den ganzen Tag, sondern nur die kurze Sommernacht vor uns, falls wir überhaupt etwas vor uns hätten. Und ich merkte, wie mein Atem allmählich aus dem Körper strömte wie Wasser aus einem Sack, der schließlich knochentrocken wird. Damals, als wir im Dunkel den ganzen Weg bis zum Steinernen Auge ohne Pause liefen, mit scheppernden Gefährt im Rücken; als wir bereits nicht mehr mit den Händen, sondern mit unserem nackten Fleisch die Kurbeln drehten; als wir die nassen Fässer auf den Karren hievten und wir dann zurückeilten, dabei immer Ausschau hielten, ob es doch nicht schon hell wird. Damals zeigte sich, dass Wasser schwerer als Leben und unerbittlicher ist als der Tod. Während des ganzen Wegs entlang sehnte ich einen Pfeil des Feindes herbei, der wie aus heiterem Himmel meine Qual beendet. Aber er kam nicht und meine Qual dauerte an. Dann in dem unterirdischen Gang spürte ich, wie mir die Brust zerspringen wollte. Ich fiel wahrscheinlich um. Der alte Wasserträger, der seine Stimme bereits auf dem Weg zum Brunnen verloren hatte, riss mir den Kragen auf und zog die Kleidung auseinander, um mir das Atmen zu erleichtern. Er erschrak, so dass ihm der Mund offen stand, als er an meine Brüste fasste. Ich wollte ihm die Augen auskratzen. Keine Tränen flossen, ich war so vertrocknet.

Wir brachten nicht viel Wasser, dafür aber die Hoffnung mit, eine Möglichkeit, ein Zeichen, dass der Widerstand ungebrochen ist, und man kann wieder hin gehen und etwas holen. Wir wurden begeistert empfangen, wie Helden, ein Mann rief uns fröhlich von einer Straßenseite zu und hielt unseren Esel am Zaum. Von überall reckten sich fremde Hände uns entgegen, es waren entsetzliche Momente, wenn sie mich berührten. Mutter kam und schloss mich fest in ihre Arme. Ich stöhnte und konnte mich kaum mehr auf den Beinen halten. Abends lag ich im Dunkel auf dem Bauch im Zimmer und hörte, wie die

Eltern über einem Teller Sonnenblumenkerne und einer vollen Schale Wasser redeten: Etwas Fremdes ist da herangewachsen. Etwas. Fremdes. Das sind Worte wie Brot, nimm sie und iss.

Nachdem ich aus dem Haus geschlichen war, lag ich zwischen den Wasserfässern im Vorratshaus der Stadt. In den Fässern war weniger als die Hälfte verblieben. Ich überlegte, warum man nicht zuerst eines bis zum Grund leerte, vielleicht, dachte ich, weil ein Wasserfass ohne Wasser wie eine Leiche ist und Anzeichen von einem großen Leichenfeld meines ersten Krieges. Ich dachte, wie der Wind dem fremden Heerführer seine rötlichen Locken ins Gesicht wehte. Ich wusste nichts von ihm. Wer ist er, wo kommt er her, wie heißt er, wer hat ihn in den Krieg geschickt, wer erwartet ihn zu Hause? Vielleicht ist er ein Prinz, wenn er so gut aussieht? Ich hatte von großen Städten in den fruchtbaren Ebenen gehört, die die Karawanen verschluckten, die durch Smijewa Schija kommen, und in diesen Städten sind sicher Prinzen. Aber das ist gleichgültig. Er ist ein Feind. Dann fiel mir plötzlich ein, dass ich vor langer Zeit einmal gehört hatte, meine richtige Mutter sei in einem dunklen Haus von einem fremden Soldaten vergewaltigt worden. Das geschah damals, als Soldaten das einzige Mal die Mauern von Smijewa Schiwa durchbrachen und in die Stadt eindringen. Zum Gedenken an diese Niederlage verblieben uns eine ausgebeßerte Mauer und eine winzige Geheimtür, und meine Geburt. Meine grünen, aber hier so fremde Augen, waren die Augen ihrer Niederlage. Vielleicht war es auch der grausame, und doch so menschliche Wunsch meiner Zieheltern, aus einem Mädchen einen Jungen zu machen, das Verlangen aus dieser Niederlage etwas zu schaffen, das nicht so schmerzte. Ich blieb Smijewa Schija im Hals stecken, entweder musste es mich ausspucken oder runterschlucken. Der Morgen brach an. Ich musste handeln. Ich bohrte die Fässer an, das Wasser schien ganz befreit herauszuströmen und in der Erde zu versickern, ich verschwand durch die Geheimtür.

[Übersetzung: Alexander Kratochvil]

Усі пам'ятали війну. Інакше неможливо було існувати, ці спогади замінили нам хребти та частково – повітря. Усі пам'ятали бодай якусь, а коли в рідкісному міжчассі народжувалися ті, що жодної не застали, це дуже швидко виправлялося. Зазвичай саме тоді, коли в нових дітей прорізувалася чіпка й осмислена пам'ять, а хтось іще казатиме, що в долі не буває закономірностей. Отож, війну пам'ятали всі. І ще довкола було багато сиріт.

Мої батьки, єдині, яких мала, були несправжніми і вважали, буцімто мені дуже пощастило, коли вони мене всиновили. Я не переплутала слів, сказавши «всиновили». Так, вони зробили мені гірше, ніж могли зробити самотнє дитинство, голод, людська злість, жебракування і ночівля в траві просто неба. Вони завжди хотіли сина. Нікому не сказавши, що



© Rostyslav Shpuk

прийняли у свій дім дівчинку-сирітку, вони виростили з мене сина. Дали ім'я Лале, що ніяк не позначало статі. Усі діти тут носили квіткові імена. Рослинам не подобалися тутешні скудні ґрунти та ядучі тумани, які майже щодня переповзали гірський хребет. Тому дорослі вирощували замість них нас, дітей, ми так само гарно звалися і здебільшого покїрно мовчали.

[...]

А ще у нас були ідеальні темниці. Говорили, що в'язні в них починали розмовляти зі своїми предками ще задовго до смерті. Кам'яні мішки, облаштовані самою природою – кількарівневі печери, які заглиблювалися у воге нутро землі, із товстезними стінами та вузькими проходами. Абсолютно глухі до стогонів та благань. Вони також приносили добрі гроші: коли чутки та пошуки сягали достатньо далеко, по деяких в'язнів приїздили цілі паломництва, привозили коштовний викуп і не менш коштовні обіцянки, благали понижено. Часом вдавалося домовитися, полоненого відпускали, але він зазвичай був уже геть безумний, здичавілий, і нікого не впізнавав. Інших полонених, особливих, навпаки привозили низу, пропонували багато монет за їхнє утримання в наших темницях, і щоб навіть луна від їхніх імен більше не озивалася на землі. Забуття пожирало найбільше золота.

[...]

Мені ще не було десяти, щойно пройшов дощ, ми бігли до озера наввипередки, продираючись крізь зарості вітряної колочки – її зграї завжди точно відтворювали напрямок та спосіб руху вітру на схилах. Мені довелося на мить спинитися, – якась гілляка роздерла штанину, обкрутила гомілку й сильно дряпала ногу, треба було її відчепити, – а хлопці вже були біля води, скидали сорочки, з розбігу із вереском стрибали в прохолоду ставка, здіймаючи бризки. Я дивилася й холола, але не від води – тільки тепер усвідомлювала, наскільки їхні тіла відрізняються від мого. Їхні вузькі стегна, вкриті темними волосками, ноги міцні, як пагони вітряної колочки, що дерлася на кручу до нашого народження і дертиметься після смерті, сидниці тверді, як зелені яблука-дички, та ще й з напруженими від холоду, стиснутими половинками, спини з рельєфними м'язами, підкресленими важкою працею, широкі плечі навіть у найхудіших хлопчаків – і на противагу їм я, грудка тіста, що мліла в теплі, випростувала ніжні білі кінцівки, шукала округлостей, щоб їх відтворити, згладжувала гострі кути, набрякала заборонено м'яко, важніла обіцянкою ніжності. І в кожного з моїх приятелів – знак їхньої статі, лише дівтацький полохливий бутон, ще й раптово скупаний у холоді, але в мене такої квітки ніколи не буде. Я наче раптом намацала невидиму скіпку, яка стільки років муляла, блукаючи в тілі. Я поле, яке витоптали кіньми, хоч воно й не було полем битви. Євнух, який навіть чоловіком не народжувався. Холод заповзав під одяг, лоскотав за коміром, у пазусі, і я розуміла, – так, тепер вже розуміла, – що не роздягнуся перед ними ані зараз, ані будь-коли ще, і що я ледве не виказала себе. Лале, Лале, іди до нас! Чого ти там застряг! – кричали мені

товариші, але я тільки заперечно мотала головою, кричала у відповідь, що мені холодно, і перелякано куталася в одяг, що був моїм останнім захистом. Отупіло сиділа на камені, доки друзі накупалися досхочу, і ніколи більше в мене так не боліло ціле тіло, як тоді. З того дня я вже розуміла, хто я, але продовжувала бути тим, ким мене зробили, стала триматися ще далі від компанії ровесників, урешті ставши цілковитим відлюдьком, за спиною в якого підсміювалися. Але мені не боліло. Більше ніколи так не боліло, як тоді біля ставу, де я знайшла і остаточно загубила себе. Після того я ще кілька разів купалася в тому після дощовому ставку, вже на самоті, і вода щоразу здавалася мені гіркою, і наче здирала з мене шкіру зеленим язиком.

[...]

У старих літописах, присвячених облогам, земля тільки те й робила, що стугоніла від гарматних пострілів і від пожеж. Я мріяла почути цей звук, але він усе не приходив. Командир ворожого війська добре знав свою справу. Змієва Шия існувала давно, а слава її сягнула крайсвіту. Це раніше телепні приходили під її стіни з гарматами. Тепер, вивчені на чужих помилках, воєначальники знали, що стріляти дарма, мури неприступні. У цю кладку вмуровано для міцності стількох мертвих, що їх не здолає жодне військо живих. Значно мудріше – привести багато ситих солдатів, облягти нас, забезпечити шляхи надходження провіанту й спокійно чекати. І цей полководець теж не збирався марно втрачати ядра і людей. Він прийшов виснажувати.

Посеред літа сталося те, чого боялися найбільше: священні колодязі засолилися. Ми мали запаси води та їжі, але вони вичерпувалися. Дощів не було. На вулицях валялися здохлі коти і пси. Люди пробували пити солону воду з колодязів, але після того, як двоє людей померло від спровокованої нею лихоманки, комендант наклав на це сувору заборону. Кожні руки, що можуть захищати місто, нам конче потрібні, сказав. Крім того, трупи людей, які помирають від лихоманки, а не від звичайного виснаження, не можна буде в разі потреби їсти, сказав теж. Настав час заговорити про те, що нікому не подобалося. Змієва Шия, як і все на світі, була вразлива, мала своє слабе місце і свою історію поразки. У бібліотеці цей сувій лежав у найдальшому кутку в надії, що його стереблять голодні щури. Проте жоден шур так і не зазіхнув на історію про те, як чужинська орда з пекельною металюною машиною колись пробилася мур і увірвалася всередину. Кажуть, що з кісток після тодішньої різанини досі різблять іграшки для дітей і руків'я для ножів. Але ворога прогнали, мур залатали, лишили тільки малі потаємні дверцятка в ньому. І підземний хід. Він виводив у долину біля Кам'яного Ока. Говорити про це вголос вважалося непристойним, це була дорога боягузів. Проте зараз хтось мусив пройти тим ходом до колодязя і розвідати, чи можна буде роздобути води.

Я так довго і сильно хотіла перестати бути, що не могла прогавити цієї нагоди. Адже мене може засипати землею в тому підземному коридорі, де ніхто десяти-

літтями не бував, мене може підстрелити ворог. Та й більше нікому йти. Хіба мій старий вчитель пишався відвагою свого вихованця і зголосився піти зі мною. Він сподівався, що нам дадуть коня, тоді ми навантажимо на нашу дарабу дві або й три діжки з водою і повернемось із порятунком для всіх. Ні, сказав комендант. Якого ще коня, а якщо ви його втратите? Ви ж можете і не повернутися. Віслюка теж не можна. Все це м'ясо, воно зараз важить більше за золото. Зрештою, чому двоє чоловіків не можуть впрягтися в дарабу? Це ж легко.

Я знала, що в Змієвій Шії злочинців колись закопували живцем, але вперше по-справжньому злякалася цього, зачепившись головою за коріння рослин, що стирчало зі стелі. Рослини ці жили нагорі, вони обтрушували землю мені у волосся, а ми були внизу, в темному коридорі, де не випадало розігнутися. Дараба чіплялася за стіни і тягнула нас назад, упряж різала плечі. Але ми квапилися, у нас не було попереду цілого дня, тільки коротка літня ніч, якщо тільки взагалі щось у нас було. Тоді я дізналася, що дихання теж витікає з тіла поступово, як вода з посудини, а рештки його засихають на дні – тоді, коли ми в п'ятмі пробігли всю дорогу до Кам'яного Ока, не зупиняючись, зі своїм торохкотливим возом за спинами, коли крутили корбу вже не руками, а суцільним голим м'ясивом, коли викочували мокру діжку на воза, коли бігли назад, поглядаючи, чи не світлішає небо. Вода виявилася важчою за життя і значно невідворотнішою за смерть. Усю дорогу я подумки прикликала ворожого стрільця, щоб з'явився і швидко припинив цю муку, але ніхто не з'являвся і вона тривала. У підземеллі я відчула, що в мене репає шкіра на грудях. Здається, впала. Старий водовоз, який загубив голос ще по дорозі до колодязя, рвонув мені на горлі комір, розчахнув одяг, щоб полегшити дихання, і зачепив відкритим ротом, вхопившись за мої груди. Здається, я намагалася видряпати йому очі. Сліз не було – зневоднення.

Води ми привезли зовсім мало, проте це була надія, шанс, знак, що опір триватиме, адже можна піти і роздобути ще. Нас зустрічали радісними криками, як героїв, обіч дороги щось весело гукав чоловік, тримаючи повіддя нашого віслючка. Звідусіль тягнулися чужі руки, і не було митей жахливіших за ті, коли їм вдавався мимолітний дотик. Назустріч мені кинулася мати з міцними обіймами, я сахнулася і ледве втрималася на ногах. Увечері, лежачи долілиць в п'ятмі кімнати, я почула, як вони з батьком говорять над своєю мискою сочевиці й повним глеком води: яке ж воно чуже вирросло. Воно. Чуже. Вирросло. Це теж слова, як хліб, візьми їх і їж.

Решту ночі після втечі з дому я пролежала між діжками з водою у міському сховищі. У кожній з них лишалося менше половини. Не знаю, чому жодної не вибрали до дна – може, діжка без води нагадувала б мерця і заклала б початок великому кладовищу моєї першої війни. Я згадувала, як вітер кидав руді кучері в обличчя чужинському воєначальникові. Я нічого про нього не знала: хто він, звідки прийшов, як зветься, хто відправив його на війну, хто чекає вдома. Може, він царевич, коли вже такий гарний. Я чула, що внизу, у родю-

чих долинах, є великі міста, які ковтають каравани, що пройшли Змієвою Шиєю, і в тих містах є царевичі. Та однаково це не має значення. Він ворог. Потім раптово згадала: чула колись давно, ще в темному будинку, буцімто мою справжню матір згвалтував чужинський солдат. Це сталося у той єдиний раз, коли мур Змієвої Шії пробили завойовники й увірвалися до міста. На пам'ять про ту поразку нам залишилися тільки залатаний отвір в мурі, крихітні потаємні дверцята у новій кладці, а також моє народження.

KATERYNA KALYTKO (1983, Ukraine) – Lyrikerin, Prosaistin, Übersetzerin. Studium an der Mohyla-Akademie Kiev. Journalistin von Beruf. Siegerin der Literaturwettbewerb „Granoslow“ und „Smoloskyp“, Lyrikfestival „Molode Wyno“, des Literaturpreises „Pryvitannja Zhyt-tja“ zu Ehren von Bohdan-Ihor Antonytsch sowie der Preise „Blagowist“ und „Kultrevanche“. Veröffentlichungen in Periodika, in den Antologien *Potschatki*, *Molode Wyno*, *Kolekzija* und *Dwi Tonny*. Verfasserin des Prosabandes *M.isterija* (2007) und zahlreicher Lyrikbände: *Posibnyk zi stworennya switu* (1999, Handbuch der Schöpfung), *Sjohodnischnje zawtraschnje* (2002, Das Heutig-Morgige), *Portretuwannja asfaltu* (2004, Asphaltporträts), *Dialohy z Odissejem* (2005, Dialoge mit Odysseus), *Sezon shtormiw* (2013). Sie übersetzt aus den Balkansprachen. Lebt und arbeitet in Winnytsja und Sarajewo.

Мої зелені нетутешні очі були очима їхньої поразки. Можливо, навіть оте жорстоке і таке людське бажання моїх прийомних батьків зробити з дівчинки хлопчика було прагненням виліпити зі своєї поразки щось інше, не таке пекуче. У Змієвій Шії я стояла поперек горла, мене треба було або виплюнути, або проковтнути. Але ранок наближався. Потрібно було діяти. Тоді я продрявила діжки – вода, здавалося, зітхнула з полегшенням, коли пішла в землю – і стала потихеньку прокрадатися до потаємних дверей.

КАТЕРИНА КАЛИТКО (1982, Україна) – поетка, прозаїк, перекладачка. Закінчила Києво-Могилянську академію. Журналістка за фахом. Лауреатка конкурсів „Гранослов“, „Смоლოსкип“, фестивалю читаної поезії „Молоде вино“, літературної премії імені Богдана-Ігоря Антонича „Привітання життя“, премій „Благовіст“ і „Культреванш“. Публікувалася в періодиці, в антологіях Початки, Молоде вино, Колекція, Дві тонни. Авторка прозової книги *М.истерія* (2007) та кількох поетичних збірок: *Посібник зі створення світу* (1999), *Сьогоднішнє завтрашнє* (2002), *Портретування асфальту* (2004), *Діалоги з Одіссеєм* (2005), *Сезон штормів* (2013). Досліджує та перекладає сучасну літературу Боснії і Герцеговини. Живе й працює у Вінниці та в Сараєві.

© Dorota Gawryszewska



JACEK DEHNEL (1980, Polen) – Dichter, Erzähler, Übersetzer. Neben dem Schreiben malt er auch. Er wurde unter anderem mit dem Kościelski-Literaturpreis (2005), dem Preis „Paszport Polityki“ für Literatur (2007) und dem Preis Splendor Gedanensis (2008) ausgezeichnet. Die vorgestellten Gedichte stammen aus seinem jüngsten Band *Języki obce* (Fremde Zungen, 2013).

JACEK DEHNEL (1980, Polska) – poeta, prozaik, tłumacz. Zajmuje się także malarstwem i rysunkiem. Laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich (2005), Paszportu „Polityki“ (2007) oraz Nagrody Splendor Gedanensis (2008). Prezentowane wiersze pochodzą z najnowszego tomu *Języki obce* (2013).

Vor der Übergabe

Wir räumten zwei Zimmer, Küche, Flur und Bad aus,
die Dinge der Toten nehmen kein Ende.

Beim Postkartenzerreißen lesen wir Wortfetzen; da sind sie wieder,
jünger und lebendiger, mit der Welt befasst.

*Die Erde bebte – sagte Boa Sr.,
die letzte Andamanin, die eine Sprache sprach,
die fünfundsechzigtausend Jahre zählte –
wenn ein Baum unter lautem Krachen fällt*

Warschau, 29.1.2012

Przed zdaniem

Opróżniliśmy dwa pokoje, kuchnię, przedpokój i łazienkę,
nie mają końca rzeczy umarłych.

Drąc ich pocztówki, czytamy urwane słowa i są tam nagle na nowo,
młodszy i żywszy, zaprzątnięci światem.

*trzęsie się ziemia – mówi Boa Sr.,
ostatnia Andamanka, która władała językiem
liczącym sobie sześćdziesiąt pięć tysięcy lat –
gdy pada drzewo z wielkim hukiem*

Warszawa, 29 I 2012



© Dorota Gawryszewska

Sebastiano del Piombo – Die Auferweckung des Lazarus

Meine Auferweckung war eine große Freude. Aber ich stank weiter. Was soll's – wenn man zu neuem Leben erweckt wird, zankt man nicht um Kleinigkeiten. Also hatte ich die Olivenbäume und die Wolken wieder, auch den rostroten Schatten in den Mauerritzen, das tiefe Muhen der Kühe, die zur Tränke getrieben werden, den Geschmack von Brot, Milch und gebratenem Fleisch, die Schroffheit des Kieses und die Bandagen, aber ich stank weiter.

Anfangs kamen Gäste, um mit mir ein paar Worte zu wechseln, meinen Körper anzufassen, ob er wirklich warm war, und mit vorgehaltenem Ärmel zu fragen, ob ich dort nicht ihre Mutter, den Vater, den Onkel, das Kind, den Cousin Nehemia, die Oma getroffen hatte, die irgendwo einen Topf voll Münzen vergraben und es nicht mehr geschafft hatte, jemandem zu sagen wo. Doch bald erlosch der Wunderruhm, und ich stank weiter.

Maria sagte mir: Lazarus, Lazarus, du bist ein großes Wunder des Herrn, lass uns dieses Geheimnis betrachten, lass uns beten, aber jeder in der Stille seines Zimmers. Martha sagte mir: Lazarus, Lazarus, ich backe dir deinen Lieblingsfladen mit Schwarzkümmel und bereite dir einen Kapaun in Safran zu, aber iss ihn in der Stille deines Zimmers. Als ich ihnen zornig entgegnete: Nicht ich habe mich auf diese Welt zurück erbeten, antworteten sie: Lazarus, Lazarus, nicht schön. Sie antworteten: Lazarus, Lazarus, du lästerst. Und sie kehrten in ihre Zimmer zurück.

Dann bauten sie die Kammer im Garten aus und befahlen mir, dorthin zu ziehen, damit ich nicht zu nahe an der Küche lebte. Sie nannten die Kammer das Grabmal – erst unter sich, im Scherz, dann nicht mehr nur im Stillen vor mir. Sie kamen in den Garten hinaus und schrien: Lazarus, Lazarus, wir haben dir das Mittagessen vor die Grabmalpforte gestellt. Schließlich ließen sie den Eingang zumauern und reichten mir das Essen durch ein winziges Fenster herein.

Auf ihre alten Tage sagten sie, was hat uns nur geritten, diesen Scharlatan zu uns einzuladen!

Auf ihre alten Tage sagten sie: Wir waren jung und töricht.

London – Warschau, 2.-3.7. 2012

Sebastiano del Piombo – Wskreszenie Łazarza

Było z mojego wskrzeszenia wiele radości. Ale śmierdzieć nie przestałem. Co robić – jak ktoś cię przywraca do życia, nie wyklócasz się o drobiazgi. Więc znów miałem drzewa oliwne i chmury, i rdzawy cień w załamach murów, niskie muczenie krów pędzonych do wodopoju, smak chleba i mleka, i smażonego mięsa, szorstkość żwiru i bandaży, ale śmierdzieć nie przestałem.

Z początku przychodzili goście, którzy chcieli ze mną zamienić słowo, dotknąć ciała, że ciepłe, i, zasłaniając nos rękawem, zapytać, czy tam nie spotkałem ich matki, ojca, stryja, dziecka, kuzyna Nehemiasza, babki, która gdzieś zakopała garnce monet i nikomu nie zdążyła powiedzieć gdzie. Ale potem sława cudu przygasała, a ja śmierdzieć nie przestałem.

Mówiła mi Maria: Łazarzu, Łazarzu, jesteś wielkim cudem Pana, kontemplujmy tę tajemnicę, módlmy się, ale każde w cichości swojego pokoju. Mówiła mi Marta: Łazarzu, Łazarzu, tak, upieczę ci twój ulubiony placek z czarnuszką i przyrządę kapłona z szafranem, ale zjedz w cichości swojego pokoju. Kiedy rzucałem im w złości: nie prosiłem się z powrotem na ten świat, odpowiadały: Łazarzu, Łazarzu, jak nieładnie. Odpowiadały: Łazarzu, Łazarzu, bluźnisz. I wracały do swoich pokojów.

Potem wybudowały izbę w ogrodzie i kazały mi się do niej przenieść, żebym nie mieszkał zbyt blisko kuchni. Nazywały ją grobowcem – najpierw między sobą, w żartach, potem nie kryły się z tym i przede mną. Wychodziły do ogrodu i krzyczały: Łazarzu, Łazarzu, zostawiłyśmy ci obiad przed bramą grobowca. Wreszcie kazały zamurować wejście i podawały mi jedzenie przez małe okienko.

Na starość mówiły: co nas podkusiło, żeby zapraszać do domu tego szarlatana!

Na starość mówiły: byliśmy młode i głupie.

Łondyn – Warszawa, 2-3 VII 2012



Undank

Woher kam mir plötzlich das Bild in den Sinn: die Astgabel
 des Kirschbaums, der hinten im Garten wuchs?
 Wie willig er war – den tiefsten Ast ganz dicht am Boden
 lud er zum Aufstieg ein, nahebei ein anderer Ast,
 dann endlich die hohe Astgabel, wo der Fuß
 halt fand,
 um auf den Ast gestützt nach den tiefroten fast schon schwarzen
 Kirschen zu langen!

Vor ein paar Jahren fällt man ihn, gleich unterm tiefsten Ast,
 wer weiß ich nicht, wozu weiß ich nicht, was gäbe das Recht zu
 undank gegen den Baum, der so hingebungsvoll Früchte trug,
 die er so willig Sneakers und langen Jungenarmen darbot?

Und wo glitzert jetzt jenes himmelwärts wogende Laub,
 und wer setzt jetzt den Fuß in jene Gabel:
 beugt sich weit vor,
 scheinbar langt er nicht hin, doch es langt,
 drei pflückt er auf einmal
 und führt sie
 zum
 Mund.

Niewdzięczność

Skąd wrócił do mnie nagle ten obraz: rozwidlenie
 gałęzi czereśni rosnącej na końcu ogrodu?
 I to, jak uległą była – z najniższym konarem blisko ziemi,
 zapraszającym do wejścia, z kolejnym po drugiej stronie,
 wreszcie z tym wysokim rozwidleniem, gdzie można było
 oprzeć stopę,
 by, trzymając się jednej z gałęzi, sięgać po ciemnowiśniowe, niemal czarne
 czereśnie!

Ścięto ją parę lat temu, tuż pod najniższym konarem,
 nie wiem kto, nie wiem po co – bo jak wytłumaczyć
 niewdzięczność wobec drzewa, które z takim oddaniem rodiło owoce,
 które z takim oddaniem słało się pod trampki i chwytne ręce chłopców?

I gdzie indziej mieni się tamta pionowa ławica liści,
 i kto inny opiera stopę na tamtym rozwidleniu:
 wychyla się daleko,
 i zda się, że nie sięgnie, a sięga,
 zrywa trzy naraz
 i podnosi je
 do
 ust.

Warszawa, 14 V 2011

Die nette Ordnung des Bösen

Wieder Herbst und eine Reise, wieder draußen
 all ihre irdischen Dinge – Raine und Auen;
 wild wuchernd, unwegsam, wassersatt
 bis hin zum Totholz, das dem Wald entrinnt.

Und im Morast eine kleine Ordnung: Schnittholz
 ganz gleichmäßig unter der fahlen Plane gestapelt,
 ein Spalier geweißter Kirschbäume, ein geharkter Pfad.

Ein rüstiges Gesicht überm Lattenzaun wie eine späte Erdbeere:
 Er weiß längst, dass er allein auf weiter Flur gegen die Wirrnis
 und die mächtigen Weltmühlen da steht, in den Händen
 nur Rechen und Spaten. Und dass er an der Oberfläche kratzt,
 nicht in die Tiefe kommt. Dass die Tiefe aber wartet.

Warschau, 2008 -26. 10 2009

Miłe złego porządku

Znowu jesień i podróż, i znowu za oknem
 wszystkie ich ziemskie sprawy – pobocza i łąki;
 porośnięte, zmieszane, podsiąknięte wodą,
 aż po zwalone drzewa uchodzące z lasu.

I w tej mierzwie czyjś mały porządek: tarcice
 ułożone równiutko pod siwym brezentem,
 szpaler bielonych wiśni, gracowana ścieżka.

Czerstwa twarz pod kaszkietem jak późna truskawka:
 on już wie, że przeciwko całej niezborności
 i mocnym młynom świata staje, mając w rękach
 tylko grabie i szpadel. I skrobie po wierzchu,
 głębokiego nie rusza. A głębokie czeka.

Warszawa, 2008 -26 X 2009

Das Märchen vom Petersilienzüchter

Ein Petersilienverkäufer (Großhandel Einzelhandel Transport) investierte seine ganzen Ersparnisse in das geheime orphische Wissen, das ein über alle Maßen suspektes Subjekt feilbot. Auf diese Nachricht hin legten seine Freunde und Geschäftspartner ihre Stirnen in Sorgenfalten oder tippten sich dagegen – trotz alledem sprach der Petersilienverkäufer nach langen Jahren der Einweihung ins geheime Wissen so überzeugend, dass niemand ihm zu widerstehen vermochte. Seine Petersilie wurde, wenn er nur selbst verhandelte, mit Gold aufgewogen; wenn er am Rand seiner Petersilienpflanzung stand und den Hahnesang anstimmte, dann kam keiner der ihnen, um die Beete kahlzufressen; Politiker sandten ihre Sekretäre mit der Bitte zu ihm, er möge für sie Reden schreiben, und die Verleger ihre Agenten mit millionenschweren Verträgen; die Autos ließen ihn sogar bei roter Ampel passieren, und alle Frauen und alle Männer waren, wenn sie seine zu geheimnisvollen Konstellationen geordneten Worte hörten, bereit, mit ihm durchs Feuer oder doch zumindest mit ihm ins Bett zu gehen.

Er jedoch lernte nur für eine einzige Person – einen schweigsamen, langfingrigen Pharmazeuten mit leichtem Asperger-Syndrom, der sich als immun gegen die Magie der Sprache erwies.

Deshalb zuckte er, wenn man ihm sagte: „Sie besitzen eine kostbare Gabe!“, mit den Schultern und antwortete trübsinnig: „achwas“.

Omi, NY, 23 IX 2009

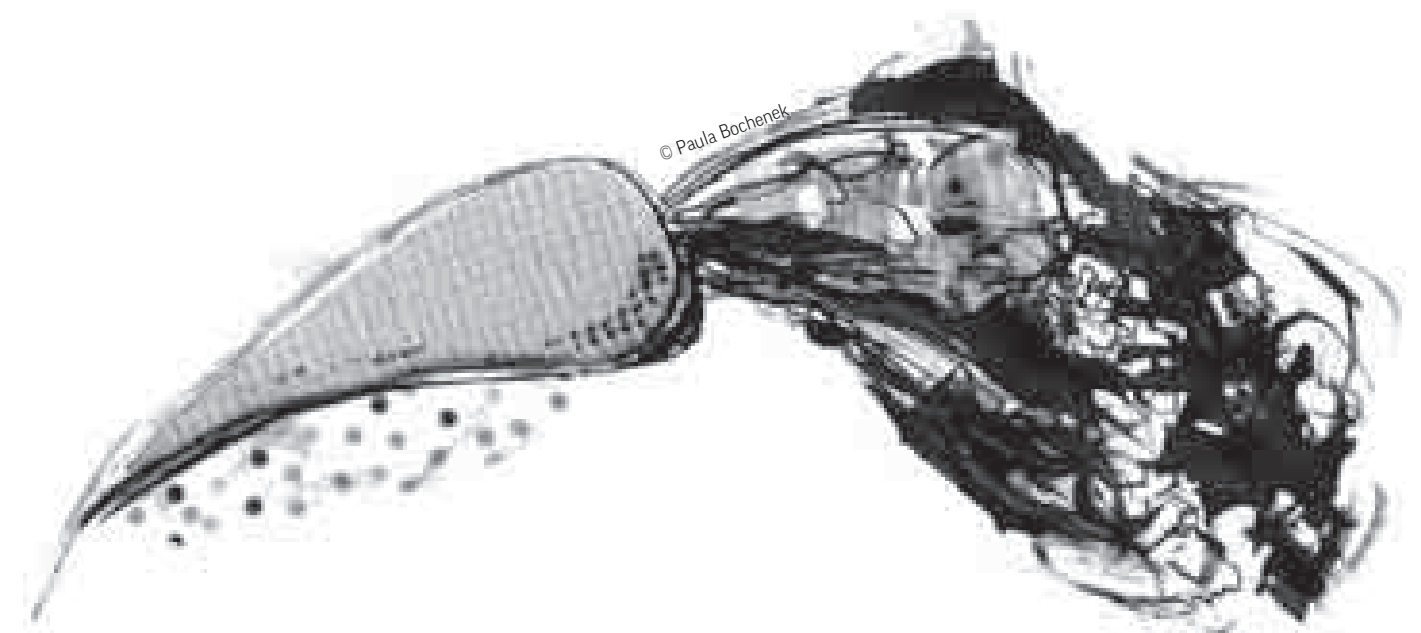
Bajka o hurtowniku pietruszki

Pewien sprzedawca pietruszki (hurt detal spedycja) całe swoje oszczędności zainwestował w sekretne nauki orfickie, oferowane przez nader podejrzanego indywiduum. Na wieść o tym jego przyjaciele i kontrahenci przybierali zatroskany wyraz twarzy albo pukali się w czoło – a jednak, po wielu latach wtajemniczeń, sprzedawca pietruszki zaczął przemawiać tak przekonująco, że nikt nie umiał mu się oprzeć. Jego pietruszka, jeśli tylko negocjował osobiście, osiągała ceny złota; kiedy stanął na skraju plantacji i zaśpiewał do zajęcy, żaden z nich nie przyszedł żerować na zagonach; politycy wysyłali swoich sekretarzy z prośbą, by pisał im przemówienia, a wydawcy – swoich agentów z milionowymi kontraktami; samochody przepuszczały go na przejściu nawet na czerwonym, a wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni, kiedy tylko usłyszeli jego słowa, ułożone w tajemne konstelacje, gotowi byli pójść za nim w ogień, a przynajmniej pójść z nim do łóżka.

On jednak uczył się dla jednej jedynej osoby – milkiwego, długopalcego farmaceuty z leciutkim zespołem Aspergera, który okazał się odporny na magię słowa.

Dlatego kiedy mówiono mu: „Posiada pan wielki dar!“, wzruszał ramionami i odpowiadał smutno: „Etam“.

Omi, NY, 23 IX 2009



Der Strom

Du gabst dich mir nicht zu erkennen, stiegst in die Wanne.
Erst von ihr, jenseits der Wand – denn im Traum war es
dieselbe Wand, war es dasselbe Bad darin –
hörte ich das tiefe, das zerreiende Weinen.

Bis ich daraus erwachte – und dich weckte,
dass ich den Traum hatte. Und dass es gut werde.
Du schliefst ein. Ich – dachte noch immer an jenes Du,
dass es jenseits der Wand, ins Schwarz versunken blieb.

Und im Liegen stand ich unterm Strom des Traums,
und warf mich in den Traum, um ihn zu retten.

Warschau, 30. Mai 2011

Nurt

Nie dae mi nic pozna; poszede do wanny.
Dopiero z niej, zza ciany – bo we nie ta sama
bya ciana, ta sama bya w nim łazienka –
słyszaem ten gboki, ten szarpiący płacz.

A si z tego zbudziem – i zbudziem ciebie,
e tak mi si przynio. I e bdzie dobrze.
Zasnae. Ja – mylaem wci o tamtym tobie,
e pozosta za cian, zanurzony w czer.

I, wci lec, stanem ponad nurtem snu,
i w ten sen si rzuciem, eby go ratowa.

Warszawa, 30 V 2011

[Übersetzung: Ursula Klemmer]



© Rostyslav Shpuk

ОЛЕНА ГЕРАСИМ'ЮК (1991, Україна) – поетка, лауреат конкурсу пам'яті Леоніда Кисельова (2012), українсько-німецької премії імені Олеся Гончара (2013), другої премії конкурсу видавництва «Смолоскип» (2013), учасник першої резиденції для молодих україномовних письменників «Станіславський феномен». Друкувалась у журналі «ШО», «Буковинському журналі», «Українській культурі». Окремі вірші перекладено англійською, литовською, грузинською, німецькою, італійською, сербською, білоруською мовами.

OLENA HERASYMJUK (1991, Ukraine) – Dichterin, Preisträgerin des Leonid-Kiseljow-Gedenk-Wettbewerbs (2012), ausgezeichnet mit dem deutsch-ukrainischen Oles-Hontschar-Preises (2013), Gewinnerin des 2. Preises im Wettbewerb des Somoloskyp-Verlages (2013), erste Autorin in Residence beim Stanislauer Phänomen. Publikationen in der Zeitschrift „Scho“, im „Bukowiner Journal“, in der „Ukrajinska kultura“. Einzelne Gedichte wurden ins Englische, Litauische, Georgische, Deutsche, Italienische, Serbische und Weißrussische übersetzt.

dieser wechselvolle Weg
und all sein Einsaugen
von Schritten und Stimmen
verkürzt die unsichtbare Distanz

und das Feld hüben und drüben führt
verführt
zermalmt ihn

und das Heer macht Halt
das Heer schweigt tausendfach

der Fluss bäumt sich auf
schwappt nicht spuckt nur
sich selbst nach
einschüchtern die Wunde einhegen

das Heer als Fluss
an den Ufern der halb durchscheinenden Menge

die Menge schweigt
das Warten schreckt sie

denn die Nacht klumpt wie Blut
verödet den Baum
jeder neue Ring wächst
aus dem uralten Nerv

und der General kommt
seine Arme fliegen wie Schlingen

und das Heer stürmt ins Feld
ergreift die Toten

die Gestalten türmen
schreien
– ich habe das letzte Wasser gesehen
und das Dunkel dahinter
habe es mit meinem Mund getrunken
in die Lungen geschluckt

– ich habe die Arme gesehen
die vor mir geflohen sind

ich habe den eigenen Kopf befühlt
mit groben Griffen

er wisperte
japste
rollte

wie spüre ich ihn
wie setze ich ihn
zwischen die Schultern zurück?

der General kommt
und wie Pferde fliegen die Tage dahin

das Heer erschießt
die wendigen knochigen Gäule

wie eine geschliffene Sichel
schneidet der Mond die Nacht entzwei

der Weg bäumt sich auf
und zieht ab

aber nicht zurück, nein,
er steigt höher
höher

nadelfeine Erinnerungen
weil alles verblasst
dem General nach schaut
die verkrüppelte Kirsche
lässt ihn nicht fort

цей шлях многогранний
і всяке його упивання
у кроки і крики
невидиму відстань скорочує

і поле пообіч веде його
зводить
ламає

і військо спиняється
військо мовчить многотисячне

так стане ріка на диби
не пролितись лиш плонуту
собі у сліди –
залякати зажити рану

і військо – ріка
в берегах півпрозорого натовпу

і натовп мовчить
і чекання його лякає

бо ніч загусає як кров
припікає дерево
що коло нове починає
прадавнім нервом

і йде генерал
його рухи злітають як петлі

і військо зривається в поле
хапає мертвих

і постаті хлинули
крикнули

– я бачив останню воду
і тьму що за нею
я пив її ротом
заковтував у легені

– я бачила руки свої
що тікали від мене

– я голову власну вимацував
грубими жменями

вона шепотіла
вона захилилась
котилася

а як я почую
а як прикручу я
на плечі її?

іде генерал
а дні пролітають мов коні

і військо відстрілює коней
вертких і кістлявих

ніч розсікає місяць
мов шабля заточений

дорога стає на диби
і вона відступає

о ні не назад
підіймається вище
вище

і спогади тонші за голку
бо все забувається

дивиться вслід генералу
покорчена вишня
не відпускає



Ich habe an meiner Seele geschraubt:
eine quietschende Mechanik
an den Stahlbolzen im Rücken gesetzt
und dem dünnhäutigen Körper eingepflanzt.

Weißt du noch, wie es beim letzten Mal war?
Wie war es?

Ich bin die Idee von Müllers Fliegen,
ich spüre noch die Schwere seines Körpers.
Ich bin die Idee von Vaucansons Vögeln,
ich spüre noch die Feinheit seiner Finger
und die schweren königlichen Harnische
aus den Federn der Adler vom Pontus Euxinus.
Ich bin die Idee von Paracelsius' Zeichen,
wie ich unter seiner Unfruchtbarkeit gelitten habe.

Und nun verlässt mich mein Hass nicht
entweicht nicht durch die Haut
mein Gott, er erstickt mich
mein Gott, er flutet mich

ich spüre wie deine unsichtbare Hand
mich an der Kehle packt
ich flamme wie die nächtlichen Himmel
fliehe vor den Händen, deinen Hunden
schreie ihre Namen, doch sie lassen nicht ab

reißen meine Haut meine Muskeln meine Adern
Gott, du weißt, dass ich nie mehr sterbe

in meinen beiden Augen
ein ausgerissener Bildkörper
die Ohren wachstarr
darin gefangen das Surren der Klänge
ich laufe auf Zehenspitzen
zehntausend Schritte pro Tag

du kannst dir nicht vorstellen
wie ich mich freue
wenn mein Rücken rostet
ich rieche den frischen Duft
ich rieche
den fallenden Regen.

Майстрував душу мою:
до сталевого стержня хребта
вшурпнув скрипучий важкий механізм
і помістив у тонкошкіре тільце.

Згадай, як було минулого разу?
Як було?

Я – делія комахи Мюллера,
пам'ятаю важкість його тіла.
Я – делія птахи Вокансона,
пам'ятаю ніжні його пальці
і важкі королівські лати
із пір'я орлів Евксинського Понту.
Я – делія знаків Парацельса,
як я страждала від його безпліддя.

І ненависть моя тепер не вийде з мене
не витече крізь шкіру
задихаюсь у ній о господи
просякаю ненавистю о господи

чую як незрима рука твоя
тримає мене за горло
багрянію як небеса вночі
тікаю від рук – псів твоїх
викрикую їх імена та вони не спиняються

рвуть шкіру мою м'язи мої жили мої
ти знаєш – я вже ніколи не помру о господи

в кожному оці моему
вивернуте тіло зображень
вуха залиті воском
в ньому застигли мушки звуків
ходжу кінчиками пальців
на десять тисяч кроків щодня

а ти навіть не уявляєш
як радію
коли іржавіє мій хребет
я чую свіжий запах
я чую
як іде дощ

Sommer das Bermudadreieck in einer Reihe
rechts links zurück – wohin denn
in dem Gefäß der Gebäude bei dir der groß Gewachsenen
des Wassers!
des gestiegenen Blutes

wozu die Tränen –
der Rauch als unausgesetzter Rauch
wozu die Musik unausgesetzt wie ein Traum
die kalten brüchigen Knie des schneeweißen Reifs
sollst du wärmen

könntest du nur
die Ränder rasant durchbrechen wie das Licht
die Lider und den ungezähmten Kopf durchlöchert
wer du auch sein magst – Mensch oder Tier
du lebst und stirbst allein

wer du auch sein magst – Wasser oder Wunde – die
alltägliche Qual fährt dir als Knüppel ins Kreuz
und da oben die unerreichbar hohe einflutende
Stille

es dämmt und verlicht das zerstückelte Sternengeflecht
und die gespannte Bewegung ist das Erwachen des Fisches auf
dem Grund
des sauberen Sees
in einem hohen weißen Rund

Hand in Hand, Wurzel um Wurzel eingeflochten
fällt der Reif schwillt sein Knirschen an
und die Erinnerung jagt wie der Eber im verwüsteten Wald

Літо бермудський трикутник що в лінію стане
направо наліво назад – завертати куди
у склянці будинків у тебе, висока,
води!
високої крові

бо що тобі сльози –
все дим безнастанний мов дим
бо що тобі музика вся безнастанна мов мрія
коліна холодні крижкі білосніжного інею
зігріти б тобі

тільки би край розірвати раптово як світ-
ло що роздирає повіки і голову дику
ким би не стати – твариною чи чоловіком
живеш і вмираєш один

ким би не стати – водою чи раною – вся
щоденна біда тобі костуром битиме в спину
а там угорі недосяжна висока наплинна
тишина

тьмяніє і гасне роззята грибниця зорі
і рух сторожкий – прокидання рибини на дні
у озері чистім
в високому білому колі

рука до руки – переплетений корінь у корінь
спадає роса наростає гнучкий її гомін
і пам'ять злітає як вепром розірваний ліс

Winter und Nacht und regloser Rauch
das Sisyphos-Rad treibt den Stein
das Mundloch leert sich – eine Fensterhöhle
zersprungenes Geschirr – ein hohler Ton

der Garten wippt zweiggleich
zertastet, zerbröckelt die Mauer
höhlt das Dunkel zum Gehäuse
wie eine Zitadelle – eine bebende Brust im Wind

ich bin die Zitadelle
zerstückeltes Glas zittert
die zerschlagene Stimme des verschlafenen Hahns
der Tag gähnt schwarz – das Rauchhaus des Alten
und all die Schwaden – dein Inneres

alles verraucht
steigt hoch
schwingt
in einem einzigen Ton – ein Donnern jahraus jahrein
du wächst aus den Windeln auf die Höhle zu
die jähe Trompete bricht das Glas

in Sprechgesang, Schluchzen, Stille,
Dämonenversen scharrt der Sand
du bist das Unbewegliche in Rauch
– Zeit

– Wand

und wieder rolle ich die Zeit wie den Stein
das Gesicht bröckelt in den dunklen Garten
lass wenigstens die Schwaden
im Rauchhaus des Alten
die wenigstens

Зима і ніч і нерухомий дим
і колесо-сізіф штовхає камінь
аж порожніє рот – віконна яма
як битий посуд – пустотілий дзвін

і розхитався сад – єдиногільно –
облапує, обламає стіну
у серцевину звурджує п'їтьму
як цитадель – жива груднина вітру

я – цитадель
дрижить здрібніле скло –
розбитий голос заспаного півня
чорніє день – це дідова копильня
і весь той дим – саме твоє нутро

усе здиміло
здибилось
звело
в єдиний звук – гримітиме віками
як із пелюшок виростеш у яму
судомною сурмою бите скло –

речитативом, тренем, тишиною,
бісівським віршем шамкають піски
ти – нерушимість – диму
– часу
– стін

і вкотре вік прокочую мов камінь
у темний сад зсипається лице
лиши лиш дим
у дідовій копильні
лиш це

ZACHARIA (Romanauszug)

ЗАХАРІЯ (Фрагменти)

► Zum ersten Mal im Leben schlief ich ein, bevor das Flugzeug abhob. Klaus hatte sich gerade in seinem Sitz zurückgelehnt und gesagt, dass er im Flugzeug immer schlief. Quasi als Entschuldigung dafür, dass er sich unterwegs nicht mit mir unterhalten würde. „OK“, sagte ich. Dann schalteten wir beide wie auf Kommando ab.

Das Flugzeug war fast leer, wir hatten uns die Plätze auszusuchen können. Klaus wollte unbedingt im hinteren Teil sitzen, weil es dort angeblich sicherer war. Dass würde uns im Falle eines Absturzes kaum nützen, erklärte ich ihm. Außerdem war im Gedrängel der anderen Fluggäste eh kein Durchkommen. Höchstens bis zu den Tragflächen. Klaus gab unwillig nach. Ich setzte mich ans Fenster, Klaus in die Mitte. Der Platz am Gang blieb frei. Dafür kam die Stewardess und fragte, ob wir uns nicht an den Notausstieg setzen könnten. Schläfrig wie ich war, begriff ich nicht gleich, worum es ging. Umso mehr war ich von Klaus' Reaktion überrascht: Er schreckte auf und sagte, dass wir das auf keinen Fall könnten. Die Stewardess entschuldigte sich und ging wieder. „Das gibt's doch nicht!“, regte sich Klaus fürchterlich auf. „Stell dir vor, es passiert was und alle stürmen plötzlich zum Notausstieg. Den muss dann natürlich jemand öffnen! Und wenn wir am Notausstieg sitzen, bin dieser jemand ich! Ich übernehme doch nicht die Verantwortung für all diese hundert Menschenleben! Warum bittet sie ausgerechnet uns, dass wir uns dahin setzen? Sehen wir wie Helden aus? Sehen wir aus wie jemand, der den Notausstieg öffnet und allen das Leben rettet? Ich übernehme diese Verantwortung nicht! Ich hab' so schon Angst vorm Fliegen!“

Der Zug aus Prag hatte zuverlässig eine halbe Stunde Verspätung und war erst kurz vor fünf da. Wir mussten mit dem Taxi zum Flughafen. Weil ich Polnisch sprach, war es nicht ganz so teuer. Der Fahrer fragte gleich, ob wir es wegen dem Flieger nach Kiew so eilig hätten. Als ich ja sagte, verzog er das Gesicht. „Dort ist es schlimm“, sagte er. „Ich hatte mal Kunden, die haben erzählt, dass dort alle korrupt sind und es keine Straßen gibt... Bleiben Sie lange da? Sie kommen doch zurück, oder?“ Die Frage fand ich sogar lustig. „Ja“, sagte ich, „wir kommen zurück.“ „Übernachten Sie im Hotel?“ „Nein, bei Freunden.“

„Das ist gut. Seien Sie bloß vorsichtig und passen Sie auf Ihr Geld auf... Eigentlich ist jetzt keine gute Reisezeit. Besser Sie würden warten, bis es wärmer wird“, sagte der Taxifahrer noch. „Wir müssen zu einer Beerdigung“, antwortete ich. Da sagte der Taxifahrer nichts mehr und beugte sich über 's Lenkrad wie ein Rennfahrer. Klaus hatte nichts von alledem verstanden und schaute mich fragend an. „Er denkt, ich bin aus Polen“, sagte ich und lächelte höflich.

„Schau mal, hier ist doch ein Dorf. Bist du sicher, dass das der Weg zum Flughafen ist?“ Klaus hatte auch im Auto Angst. „Der rast aber, kann er nicht langsamer fahren?“ Ich übersetzte es dem Fahrer. Der fragte nur, ob wir das Flugzeug wirklich noch erreichen wollten. Klaus antwortete mit einem ziemlich lauten Schnauben.

„Ich hatte mal einen Unfall“, sagte ich zu Klaus, der auf dem Beifahrersitz saß. Er drehte sich argwöhnisch zu mir um. „Ich saß mit einer Freundin in so einem alten Ikarus-Fernreisebus. Ich weiß gar nicht, warum sie den auf so einer gewöhnlichen Stadtroute eingesetzt hatten. Alina und ich saßen direkt hinter dem Fahrer. Wie in allen alten Autos stank es nach Benzin. Wir schwiegen, weil wir uns vorher gestritten hatten. Ich saß am Fenster und schaute auf die Straße. Plötzlich sah ich, wie von links ein Laster den Berg runter rollte. Er schlängerte ganz schön und mir war klar, dass er direkt auf uns zukam. Ich schaute kurz weg. Als ich wieder hinsah, war der Laster schon ganz nah. Da wusste ich hundertprozentig, dass er gleich in unseren Bus knallen würde. Das Ganze dauerte nur wenige Sekunden. Ich dachte noch, das war's jetzt wahrscheinlich. Dann spürte ich einen heftigen Stoß, knallte mit dem Kopf gegen die Fensterscheibe und war, glaube ich, kurz bewusstlos. Alina fiel von ihrem Sitz. Das war's. Ein paar Minuten später, mir war immer noch schwindlig, kletterten wir hinter den anderen Passagieren aus dem Bus, liefen nach vorn und betrachteten die riesige Delle, die der Laster hinterlassen hatte. Ein Krankenwagen wurde nicht gerufen. Seitdem habe ich keine Angst mehr vorm Fliegen.“ Klaus schaute mich nur schief an und sagte, dass man einen Bus nicht mit einem Flugzeug vergleichen könne.

Der Flug verlief ruhig. Ich war vor Klaus wach und bemerkte, dass er mit offenem Mund schlief und durch die verstopfte Nase schnaufte. „Beim Landeanflug wird es ihm den Kopf zerreißen mit diesem Schnupfen“, dachte ich. Aber diesen Hünen konnte höchstens das dankbare Klatschen der Passagiere wecken.

Klaus trat ins Zimmer. „Um die Aussicht bist du nicht gerade zu beneiden“. Es ärgerte mich, dass er die Schuhe nicht auszog. Ich hatte den Verdacht, dass Klaus, der Architekt war, alles nur anhand dieses einen Gebäudes beurteilte, das er vom Fenster aus sah. „Hier sind alle Häuser gleich.“ „Das ist eben Trojeschtschina, ein Schlafbezirk.“ „Wohnst du schon lange hier?“ „Mit Unterbrechungen 5 Jahre.“ „Gefällt es dir?“ „Klaus, ich wohne, wo ich wohne. Ich habe mir die Wohnungen nie ausgesucht.“ „Ich zeig dir was.“ „Was ist das?“ Klaus holte ein kleines Büchlein aus seinem Rucksack. Er setzte sich neben mich, legte das Buch auf den Schoss und blätterte darin herum. „Das ist ein Taschenbildband skandinavischer Architektur. Ich habe ihn immer dabei. Das ist das Ideal, das Höchste, ein Anker. Klar hat jedes Land seine Traditionen, aber das hier ist das Ideal. Wenn ich traurig bin oder mich nicht wohl fühle, dann blättere ich sehr gern darin. Schön, dass du so helle Wände hast. Weißt du, was das ist?“ Klaus brachte einen runden Hocker mit gekrümmten Beinen aus der Küche. „Das ist ein Hocker von Alvar Aalto. Es gefällt mir bei dir.“ „Zieh dir bitte die Schuhe aus. Dann können wir essen.“

Ich lag auf dem Bett und dachte an meine Mutter, wie sie an Weihnachten immer Frikadellen und Piroggen zubereitete: Große Strudel, Piroggen mit Äpfeln, Piroggen mit Kraut, Zimtbrötchen und kleine Piroschki gefüllt mit Äpfeln und Mohn. Mutter setzte einen Vorteig an, knetete alles durch und dann stellte sie den Teig in einem großen Topf, eingewickelt in eine karierte Decke an die Heizung, damit er aufging. Ich schaute immer wieder nach, wie es dem Teig dort so ging, und hatte große Angst, dass es so wie im Märchen käme und der Teig wegliefe. Das war mein absolutes Lieblingsmärchen in der Kindheit. Eine Frau knetet Teig und lässt ihn über Nacht stehen, damit er aufgeht. Der Teig geht sehr schnell auf, er drückt schon durch das Tuch, mit dem der Topf bedeckt ist, aber die Frau schläft noch. Da läuft der Teig in den Wald. Unterwegs schlägt er sich den Bauch mit Beeren voll, trinkt Wasser, wird müde und legt sich auf einen Baumstumpf, um auszuruhen. Da geht die Sonne auf, sieht den Teig, freut sich und bäckt daraus einen richtigen Festtagskuchen. Weil es so schön duftet, kommen Häslein, Füchlein und Igelein. Da wacht endlich auch die Frau auf und ist ganz bestürzt, weil der Teig fort ist. Ein Vögelchen kommt geflogen und trällert vom Teig auf der Waldlichtung. Als die Hausfrau den Festtagskuchen sieht, freut sie sich riesig! Da kommen auch schon die Tiere und betteln jedes um ein Stück vom Kuchen. Die gute Frau verteilt alles und hat selbst nichts mehr. Sie fängt an zu weinen. Da kommen die Igelein und bringen ihr Beeren und Pilze, das Eichhörnchen bringt Nüsse und die Füchsin Honig. Die Frau freut sich und läuft nach Hause um ihre Gäste zu empfangen. Das war's. Ehrlich gesagt hatte ich ziemlich große Angst, dass unser Teig wekommt. Denn

in unserer Chruschtschowka gab es niemanden, der ihn gerettet hätte. Also ließ ich ihn nicht aus den Augen. So ging das jahrelang: Ich sah meiner Großmutter zu, wie sie den Vorteig ansetzte, beobachtete meine Mutter, wie sie den Teig knetete und schaute dem Teig beim Aufgehen zu. Ich half Äpfel schneiden, Kirschen entkernen und Mohn mahlen, was sich jedes Mal als zu schwer für mich herausstellte. Ich bestrich die Piroschki vor dem Backen mit Ei und nach dem Backen mit Milch und legte den Tisch mit Zeitungen aus. Und wenn meine Mutter die heißen Bleche mit dem duftenden Gebäck gebracht und mit einem Tuch bedeckt hatte, fasste ich die Piroschki mindestens einmal pro Minute an, um herauszufinden, ob sie schon soweit ausgekühlt waren, dass man sie essen konnte. Und obwohl ich jetzt schon knapp dreißig bin, habe ich noch kein einziges Mal Piroggen vom ersten bis zum letzten Schritt selbst gebacken. Meine Mutter hatte mir das Bett bezogen und Essen gekocht. Und wie früher im Kindergarten während des Mittagsschlafs kämpfte ich gegen die Müdigkeit und wartete darauf, dass mich endlich jemand abholte.

„Zacharia?“, wir hatten uns endlich hingelegt. Irgendwie wurde ich das Gefühl nicht los, dass die Socken mir die Füße verbrannten. „Ja.“ „Wart ihr eigentlich eng befreundet, dass du herfliegen wolltest?“ Klaus lag nur einen Meter von mir entfernt. Seine Stimme klang aber so, als wäre sie weit, weit weg. „Wir waren mal sehr eng befreundet, während des Studiums.“ „Das ist aber schon lange her. Was ist dann passiert?“ „Wir waren jede mit sich selbst beschäftigt.“ „Na und?“ „Wir haben uns lange nicht gesehen. Sehr lange.“ „Aber sie muss dir sehr, sehr wichtig sein, wenn du alles stehen und liegen lässt und sogar damit einverstanden bist, dass ich bei dir übernachte, oder?“ „Ich habe sehr viel verpasst. Kurz vor meiner Abreise nach Polen hat sie eine Tochter geboren, Olesja. Sie rief mich an und lud mich zu sich ein. Ich hatte an dem Tag aber schon etwas vor und vertröstete sie auf ein anderes Mal. Dann packte ich und fuhr weg. Vorgestern habe ich die Nachricht erhalten, dass Alina einen Herzstillstand hatte. Ihre Tochter ist jetzt ein Jahr und sieben Monate alt. Ich habe sie noch kein einziges Mal gesehen.“ „Das tut mir sehr leid.“ „Mir auch.“

In der Nacht war es in Kiew fast minus dreißig Grad. Klaus schnaufte wegen des Schnupfens laut. Ich stand auf und holte ihm noch eine Decke. Ich selbst hätte mich am liebsten in eine Daunendecke gekuschelt. Oder wäre gern in einem warmen Land gewesen, nur für diese eine Nacht. Ich schlief schon fast und gab mir große Mühe, nicht an Alina zu denken. „Morgen“, sagte ich mir. In Gedanken war wieder Sommer.

Beim Frühstück erzählte Klaus auch noch von Buñuel. Ich hörte nur mit einem Ohr hin. Dieser weltbekannte Regisseur aus Spanien soll im Winter fast nackt, das heißt nur mit einem Mantel bekleidet, spazieren gegangen sein. Er habe die Kälte spüren wollen, bis in sein Innerstes die Kälte spüren wollen. „Der hatte ja keine Ahnung von richtiger Kälte! Davon, was ein richtiger russischer Winter ist!“ sagte Klaus. „Das hier ist nicht Russland.“, erwiderte ich. „Aber auch nicht Spanien!“, sagte Klaus beharrlich.

Ich erinnerte mich, wie er hier ankam: Jeans, leichte Tennisschuhe, eine Herbstjacke und dünne Lederhandschuhe, die absolut nicht warm halten. Er bestand darauf, dass er unbedingt „angemessene“ Schuhe brauchte. Ich schlug ihm vor, ihn ins Geschäft zu begleiten. „Ich war noch nie so weit im Osten.“ Klaus kriegte sich kaum ein. Es war kurz nach acht in der Frühe. Im Vorgefühl heldenhafter Taten nahm er meine kleine Küche völlig ein. Ich ging ins Zimmer und suchte mir meine wärmsten Sachen heraus: eine Daunenjacke, Pelzstiefel, dicke Unterhosen, Wollpullover, eine Ohrenmütze und Handschuhe. Klaus wühlte in seinem Koffer. Ich schwitzte schon und wurde wütend. Und obwohl es nicht unbedingt ein schöner Tag werden würde, wusste ich doch, dass es besser war als mit Klaus in der Wohnung sitzen zu müssen.

Erst nach zehn kehrte ich von meinen Eltern zurück. Klaus hatte ich meinen einzigen Schlüsselbund überlassen. Die Tür war nicht verschlossen. In der Küche standen drei leere Bierflaschen, Klaus lag in Sachen auf dem Sofa. Er war schon eingeschlafen. Im Zimmer roch es nach Alkohol und Zigaretten. Ich zog mich schweigend aus und ließ mir ein Bad ein. Ich blieb im Wasser, bis die Haut ganz runzelig war. Ich stieg aus der Wanne, wickelte mir ein Handtuch um den Kopf und schaute mich lange im Spiegel an. Ich zupfte mir die Augenbrauen, bis rechts

nur noch ein dünner Strich übrig war.

In der Nacht wachte ich von meinem eigenen Schreien auf: Klaus war vom Sofa aufgestanden und zu meinem Bett gekommen. Er hatte sich mit seinem ganzen Gewicht auf mich gelegt. Es war, als würde er mich ersticken oder erdrücken. Ich schrie und reagierte unheimlich schnell. Als mir klar war, dass ich mit den Armen nichts ausrichten konnte, wand ich mich und strampelte mit den Beinen. Plötzlich drehte er sich mürrisch ab und kehrte zum Sofa zurück. Dabei murmelte er etwas vor sich hin. Nach dieser Sache schlief ich überraschend schnell wieder ein. Am nächsten Morgen schien es, als ob nichts passiert wäre. Ich erzählte Klaus von seinem nächtlichen Überfall. Er sagte, dass er sich gar nicht daran erinnern könne. Während ich an meinem Tee nippte, sagte er noch, die Tatsache, dass er sich nicht erinnern könne, wäre seltsamer als der Überfall selbst.

Ich hatte mich wirklich lange beherrscht, aber jetzt explodierte ich. Ich stopfte Klaus' Sachen in den Koffer. Er schloss sich in der Toilette ein. Eine Stunde später fuhr er in ein Hotel, wo er die nächsten zwei Tage bis zur seiner Abreise nach Deutschland wohnen sollte. In zwei Tagen war Heiligabend.

[Übersetzung: Kati Brunner]

і всіх врятуємо, а я не хочу брати на себе такої відповідальності!
Я взагалі боюся літати!»

Надійний пражський поїзд із півгодинним запізненням прибув майже о п'ятій, тож нам довелося брати таксі до аеропорту. Із водієм домовлялась я – польською, – і він зробив нам знижку. Авто рушило, і таксист обережно запитав, чи ми поспішаємо на рейс до Києва. Я підтвердила, а він знітився. «Там страшно, – сказав водій, – мені клієнти розповідали, що там скрізь треба давати на лапу, що доріг немає... Ви ненадовго? Ви ж повернетесь?» Це питання мене трохи навіть розважило. «Так, – відповіла я, – повернемось». – «А житимете ви в готелі?» – «У друзів». – «Це добре, будьте уважні, вважайте на свої гаманці... А взагалі-то це не надто добрий час для подорожей, краще б ви почекали, доки потеплішає», – провадив таксист. – «Ми на похорон», – сказала я, і водій замовк, нахилившись над кермом, немов велогонщик. Klaus не розумів жодного слова, тож запитально на мене подивився. «Він переконаний, що я полька», – сказала я і ввічливо посміхнулась. «Глянь, ми їдемо по якомусь селу. Ти впевнена, що це дорога до аеропорту?» – Klaus нервував і в машині. – «Він несамовито жене, може, їхав би трохи повільніше?» Я переклала це зауваження водієві, а він натомість запитав, чи дійсно ми

хочемо встигнути на літак. Klaus у відповідь досить голосно фокнув.

«Я одного разу потрапила в аварію», – почала я. Klaus обернувся з переднього сидіння й подивився на мене з підозрою. «Якось ми з подругою їхали в автобусі, такому старому ікарусі для далеких подорожей, не знаю, чому його випустили на той звичайний міський маршрут. Ми з Аліною зайняли два місця одразу за водієм, у салоні смерділо бензином, як в усіх старих машинах. Їхали мовчки, бо перед тим трохи сварились. Я сиділа біля вікна й дивилася на дорогу. Раптом побачила, як з гори ліворуч спускається вантажівка. Хай вона трохи петляла, та я точно розуміла, що ця машина їде просто на нас. Я відвернулася й знову подивилась у вікно. Машина була ще ближче, і я вже точно знала, що вона вривається в автобус. Це тривало якихось кілька секунд. Я тільки встигла подумати, що це, мабуть, і все, як відчула дуже сильний поштовх – мене вдарило головою у вікно, у вухах задзвеніло. Схоже, я на якийсь час знепритомніла, Аліна впала з сидіння. І на цьому все закінчилося. Минуло кілька хвилин, мене ще трохи нудило, але ми вибралися з автобуса слідом за шерогою інших пасажирів, обійшли його спереду й втупились у величезну вм'ятину, яка лишилася після удару вантажівки. Навіть швидко ніхто не викликав. Відтоді я не боюся літати». Klaus тільки скосяв погляд на мене й зауважив, що різниця між автобусами й літаками колосальна. Та подорож минула без пригод. У літаку я прокинулася швидше за Клауса і побачила, що спить він із відкритим ротом, сопе через закладений ніс. «Зараз ми почнемо знижуватись, і йому розриватиме голову від нежитю», – подумала я. Однак розбудити цього здорованя могли хіба що оплески вдячних пасажирів.

«Красивду не позаздриш», – Klaus зайшов до кімнати. Він не зняв черевиків, і мене це роздратувало. Я підозрювала, що Klaus як архітектор оцінить будинок, що його видно з вікна – лише його. «Тут усі будинки однакові». – «Це Троєщина». – «Ти давно тут живеш?» – «П'ять років із перервами». – «Тобі подобається?» – «Клаусе, я завжди живу там, де живу, я ще ніколи не обирала собі помешкання». – «Я тобі щось покажу». – «Що це?» – Klaus витягнув із рюкзака невеличку книжку, сів поряд зі мною і розгорнув її в себе на колінах. – «Це кишеньковий альбом скандинавської архітектури. Я завжди маю його при собі, це ніби ідеально, для мене це як нуль, себто як точка відліку. Звісно, в кожній країні свої традиції, але для мене це ідеал. Я люблю гортати цей альбом, коли мені стає сумно або незатишно. Гарно, що в тебе такі світлі стіни. Ти знаєш, що це? – Klaus приніс із кухні круглу табуретку на гнутих ніжках. – Це табуретка Алвара Аалто. Мені у тебе подобається». – «Роззуйся, будь ласка, і поїмо».

Я лежала і думала про маму, котлети й пироги, які вона зазвичай пече на Різдво: великі штруделі,

пиріг з яблуками, з капустою, булочки з корицею і маленькі пиріжки з яблуками й маком. Мама замішувала опару, потім тісто, воно підходило біля батареї у великій каструлі, загорнутій у картатий плед. Я ходила дивитись, як воно там поживає, дуже боялася, що буде, як у казці – й тісто втече. У моїй улюбленій дитячій казці жінка замішує тісто й лишає його на ніч доходити. Тісто підходить швидко, його вже видно з-під рушника, що ним накрито діжку, а господиня все пить. Удосвіта тісто втекло до лісу. Дорогою воно досхоchung наїлося ягід, напилося води, втомилося і лягло на пеньку подрімати. Вийшло сонечко, побачило тісто, зраділо й спекло з нього справжнісінький коровай. На запах свіжого хліба збіглися зайчики, лисички, їжачки. Нарешті прокинулася жінка й дуже засмутилася, коли не знайшла тіста. Прилетіла пташечка й наспівала, що воно в лісі на галявині. Господиня побачила духмяний коровай і страшенно зраділа! Аж тут збіглися звірята й попросили кожен по шматочку. Добра жінка роздала малятям по окрайцю, а сама лишилася ні з чим. Сіла вона й заплакала. Тоді прибігли їжачки й принесли ягід та грибів, білочка – горіхів, лисичка – меду. Втішилася господиня й побігла додому зустрічати гостей. Ось і казці кінець. Насправді ж я дуже боялася, що наше тісто загине, бо в хрущовці рятувати його було би нікому, тож постановила не спускати з нього ока. Так було роками: я стежила за бабусею, яка заводила опару, стежила за мамою, яка замішувала тісто, стежила за тістом, яке підходило, помагала різати яблука, чистити вишні від кісток і терти мак, що завжди виявлялося заняттям непосильним. Я помагала мазати сирі пироги яйцем, а готові – молоком, застеляла стіл газетами й ховалася, коли мама несла гарячі дека із розпашілим печивом, накривала їх рушником і шохвилини мацала, перевіряючи, чи воно вже достатньо встигло, аби його нарешті можна було їсти. Ось мені майже тридцять, я сама ще ніколи не робила пирогів від початку до кінця, мама застелила мені ліжко й приготувала обід, а я, немов у дитсадку, борюся з тихою годиною попри страшну втому й чекаю, коли ж мене нарешті заберуть додому.

«Захаро?» – ми нарешті повлягались, я не могла позбутися враження, ніби шкарпетки печуть мені ноги. – «Я тут». – «Ви були дуже близькі, якщо ти так прилетіла?» – Klaus лежав за метр від мене, але його голос звучав ніби здалеку. – «Ми були дуже близькі, коли вчилися в університеті». – «Але ж це було вже досить давно, що потім?» – «Потім кожна з нас була зайнята своїми справами». – «І що?» – «І ми довго не бачились, дуже довго». – «Але ж вона для тебе дуже важлива, якщо ти так усе покинула й навіть погодилася прийняти мене?» – «Я дуже багато пропустила. Якраз перед моїм від'їздом до Польщі вона народила дівчинку, Олесю, подзвонила й запросила в гості, але в мене вже були якісь плани, тож я сказала, що іншим разом. Потім зібралася й поїхала. Ну а позавчора мені написали, що в Аліни зупинилося серце. Зараз її доньці рік і сім місяців, я її жодного разу не

бачила». – «Мені дуже шкода». – «Мені також». Вночі у Києві майже мінус тридцять. Клаус через нежить голосно сопе уві сні, я встаю, щоб дістати ще одну ковдру для нього. Мені самій зараз хотілося б укритись пуховою периною. Або навіть опинитись у якійсь теплій країні – бодай на одну сьогоднішню ніч. Уже майже засинаючи, докладаю всіх зусиль, аби не думати про Аліну. «Завтра», – кажу я собі. Та подумки повертаюсь до літа.

За сніданком Клаус розповідав ще й про Бунюеля, я слухала його одним вухом. Він казав, що цей всевітньовідомий режисер любив узимку в Іспанії розгулювати в самому лишені плащі на голе тіло, бо хотів відчутти холод, який би сягав самих його нутрошів. «Але він не навіть не підозрював, що таке справжній холод! Що таке справжня російська зима!» – вигукнув Клаус. «Але ж це не Росія!» – заперчила я. «Але ж і не Іспанія!» – не вгавав Клаус. Я згадала, в чому він приїхав: джинси, легесенькі, достоту тенісні черевики, осіння куртка, тоненькі шкіряні рукавички, що аж ніяк не рятували від холоду. Він наполягав, що йому конче потрібне «відповідне взуття», я зголосилася запровадити його до магазину. «Я ще ніколи не їздив так далеко на схід!» – не вгавав Клаус. Щойно минула восьма ранку, а він аж шкварчав у передчутті героїчних звершень, заповнюючи собою всю мою маленьку кухню. Я повернулася до кімнати й збрала найтепліший одяг, що в мене був: довгий пуховик, хутряні чоботи, вовняні підштанки і светр, шапку-вуханку й рукавиці. Швидко вдяглась, а Клаус усе копирсався у валізі. Я вже спітніла й починала злитися. Можна було б сказати, що мені не хотілось,

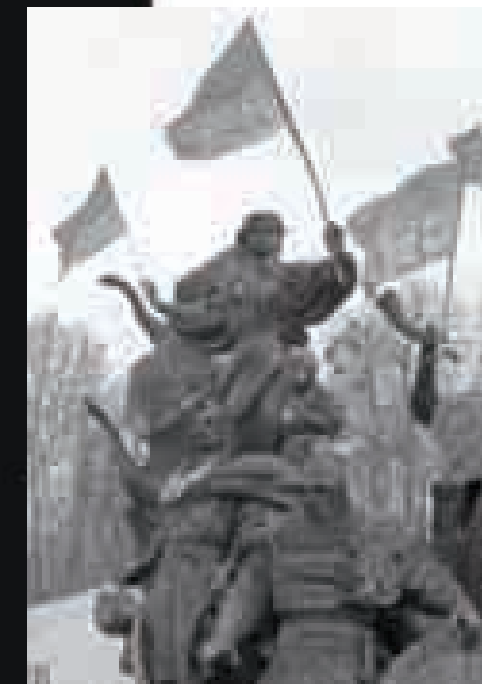
аби цей день минав, себто щоб він і далі собі розгортався, адже я навіть уявити не могла, що на мене чекає, та сидіти із Клаусом вдома було несила.

Від батьків повертаюся вже по десятій вечора. Я віддала Клаусу свій єдиний комплект ключів. Двері виявились незамкнені. В кухні на столі стоїть три порожні пляшки з-під пива, Клаус вбраний лежить на дивані – він уже заснув. Кімната смердить алкоголем і тютюновим димом. Я мовчки роздягаюся й напускаю ванну, лежу у воді, аж доки тіло не вкривається зморшками. Вилажу, обгортаю голову рушником і довго дивлюсь на себе у дзеркало. Починаю вищипувати брови й зупиняюсь тільки тоді, коли від правої лишається половина. Серед ночі прокидаюся від власного крику: Клаус встав з дивана, підійшов до мого ліжка й навалився на мене всім своїм тілом, душачи й стискаючи в обіймах. Я скрикую й реаую неймовірно швидко, і збагнувши, що в руках сили недостатньо, викручуюсь та відштовхую його ногами. Раптом Клаус нехотячи підводиться й повертається на диван, на ходу мурмочучи собі щось під ніс. Після цього всього я несподівано легко засинаю, а зранку все так, немов нічого не сталося. Розповідаю Клаусу про його нічну навалу, він відказує, що не пригадує нічого подібного. Я аж похлинула чаєм, коли він додав, що найбільше його дивує не сам факт того, що сталося, а те, що він цього не пам'ятає. Я весь час стримувалася, а зараз вибухаю і починаю сама пакувати його валізи – просто на льоту. Клаус замикається в туалеті. Ще за годину він забереється до готелю, де проведе наступні два дні – до свого повернення в Німеччину. Післязавтра Святвечір.

KSENJA CHARTSCHENKO (1984, Ukraine) – Autorin, Übersetzerin und Redakteurin, Absolventin des Instituts für Journalistik der Nationalen Taras-Schewtschenko-Universität Kiev. 2006 veröffentlichte sie die Erzählung *Geschichte*, die von der Zeitschrift „Sutschasnist“ ausgezeichnet und in Auszügen ins Polnische, Deutsche, Tschechische, Finnische und Russische übersetzt wurde. Ihre Texte wurden in den Zeitschriften „Sutschasnist“, „Potjah 76“, „Kurjer Krywbasu“, „Lichtungen“, „Korespondencja z ojcem“, „RADAR“ und „PLAV“ veröffentlicht, einzelne Erzählungen in verschiedenen Anthologien. Chartschenko hat an internationalen Literaturfestivals in der Ukraine, Polen und Finnland teilgenommen sowie an den Programmen *Homines Urbani* (Villa Decius, Krakau 2007), *Kurzstipendium* (IHAG, Graz 2008) und *Gaude Polonia* (Wrocław 2012). Von 2008 bis 2014 arbeitete sie als Katalogredakteurin, Programmkoordinatorin und Moderatorin für das Internationale Dokumentarfilmfestival zum Thema *Menschenrechte Docudays UA*.

КСЕНЯ ХАРЧЕНКО (1984, Україна) – письменниця, перекладачка та редакторка, випускниця Інституту журналістики Київського національного університету імені Тараса Шевченка. У 2006 році опублікувала повість *Історія*, яка була відзначена нагородою журналу «Сучасність». Фрагменти повісті були перекладені польською, німецькою, чеською, фінською та російською мовами. Друкувалася в часописах «Сучасність», «Потяг 76», «Кур'єр Кривбасу», «Lichtungen», «Korespondencja z ojcem», «RADAR», «PLAV». Окремі оповідання увійшли до антологій *Сновиди* (А-ба-ба-га-ла-ма-га, 2010) та *Ludzie, miasta* (Halart, 2008), а також збірки *Зростає собі квітка* (Грані-Т, 2008). Учасниця міжнародних літературних фестивалів в Україні, Польщі та Фінляндії, а також програм *Homines Urbani* (Villa Decius, Краків, Польща, 2007), *Kurzstipendium* (IHAG, Грац, Австрія, 2008) і *Gaude Polonia* (Вроцлав, Польща, 2012). З 2008 до 2014 року як редакторка каталогу, програмна координаторка та модераторка співпрацювала з Міжнародним фестивалем документального кіно про права людини *Docudays UA*.

© Rostyslav Shpuk



MAKSIM TANK

MAKSIM TANK (1912-1995, Belarus) – eigtl.: Jaühien Ivanavič Skurko, Lyriker und Übersetzer. Erste Gedichte erschienen 1932 in der Zeitschrift *Pratom*. Zu seinen zahlreichen Lyrikbänden zählen auch mehrere Kinderbücher. Tank übersetzte u.a. Werke von Alexander Puschkin, Wladimir Majakowski, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Julian Tuwim und Tadeusz Różewicz ins Belarussische. Von 1945-1948 war er Literaturredakteur bei der Zeitschrift *Vožyk*, von 1948-1966 Chefredakteur der Zeitschrift *Poľymia*. Von 1967-1990 stand er dem Verband belarussischer Schriftsteller vor. Der Nationaldichter der BSSR (1968) wurde 1972 Mitglied der Belarussischen Akademie der Wissenschaften. 1959 erhielt er den Janka-Kupała-Literaturpreis, 1987 wurde ihm die Ehrenbürgerwürde der Stadt Minsk verliehen.

МАКСІМ ТАНК (1912-1995, Беларусь) – сапр.: Яўген Іванавіч Скурко, паэт і перакладчык. Друкавацца пачаў у 1932 годзе ў часопісе *Пралом*. Пасярод шматлікіх кніг паэзіі маюцца таксама кнігі для дзяцей. Пераклаў на беларускую мову асобныя творы Аляксандра Пушкіна, Уладзімера Маякоўскага, Адама Міцкевіча, Юльёша Славацкага, Юльяна Тувіма, Тадэвуша Ружэвіча і іншых. У 1945-1948 гадох працаваў літаратурным рэдактарам часопісу *Вожык*, у 1948-1966 гадох – галоўным рэдактарам часопісу *Польмя*, у 1967-1990 гадох быў першым сакратаром Саюзу беларускіх пісьменьнікаў. Народны паэт БССР (1968), акадэмік АН Беларусі (1972). Ляўрэат літаратурнай прэміі Янкі Купалы (1959), ганаровы грамадзянін Менску (1987).

Klassiker

Auch Klassiker sind letztlich Menschen,
nur, weiß der Teufel, etwas delikate.
Was sie nicht husten – Ahs, Applaus, Attention,
was sie nicht schreiben – ausnahmslos Zitate.

1962

Класік

Класік – гэта чалавек таксама,
Толькі – чорт вазьмі! – нейкі адумыславаты.
Што ні чыхне – апладысменты, рэклама,
што ні напіша – цытаты.

1962

Што викликала яе гнеў –
 Мне ўжо нецікава і знаць.
 Адчуваю, што пачаўся на зямлі
 Чарговы ледавіковы перыяд,
 І я, як мамант, умарзаю
 У ледзяную глыбу маўчання.

1970

Der Auslöser für ihren Zorn
 spielt keine Rolle mehr für mich.
 Ich spür, auf Erden ist
 die nächste Eiszeit angebrochen
 und frier, ein Mammut, mich ein
 in den Eismantel des Schweigens.

1970

Пракладаючы новую дарогу,
 Я ўсё збіраюся прайсці
 Праз пушчу сваіх вершаў
 І пакінуць толькі тыя,
 На якіх шчэрбіцца
 Сякера часу.

1973

Bahne ich mir einen neuen Weg,
 suche ich im Urwald meiner Verse
 stets einen Pfad,
 der nur stehen lässt,
 was Scharfen schlägt
 in die Zeitaxt.

1973



© Rostyslav Shpuk

Эпітафія

Не наракайце на непамыслоты ў жыцці,
На сцежкі, якімі бывае нялёгка ісці.
Не скардзіцеся на свае мазалі і на пот,
Каб смерць не пачула, не вызваліла ад турбот.

*1982***Epitaph**

Schimpft nicht auf das mühselige Leben,
auf die Wege, die so oft nicht eben,
auf den Schweiß, die Schwielen an den Händen,
sonst kommt noch der Tod, die Mühsal zu beenden.

1982

【Übersetzung: Thomas Weiler】

RECHT AUF RHYTHMUSSTÖRUNG ПРАВА НА АРЫТМІЮ

► Viele sowjetbelarussische Lyriker kann man auch mit geschlossenen Augen lesen. Es käme ihnen sogar ganz gelegen, wenn wir zur rechten Zeit beide Augen zudrückten. So sind nun einmal die Spielregeln. Für den professionellen Blinden, den die literarischen Okulisten hierzulande in jedem belarussischen Leser sorgsam herangebildet haben, ist es ein Leichtes, vor bestimmten Gedichten die Augen zu verschließen – ein wenig guten Willen und einen Schimmer Patriotismus auf der Hornhaut vorausgesetzt. Nur kann es leider vorkommen, dass von einem Dichter nichts mehr übrig bleibt, wenn man die Augen endlich wieder öffnet. Dann hat er offenbar fast ausschließlich nämliche Gedichte geschrieben. Beispiele dafür gibt es genug, aber die Leseraugen fallen schon ganz von alleine zu; ob aus Höflichkeit, aus Ehrerbietung oder aus Angst vor dem Spiegelbild, sei dahingestellt.

Glücklicherweise kann man bei der Lektüre eines Maksim Tank auf okulistische Praktiken getrost verzichten. Selbst wenn man alles aussortieren wollte, was der bekennende Kommunist über Lenin, die Partei, die Flagge und über Moskau zusammengeschrieben hat (was ausreichend Material für einen eigenen Band ergäbe), bliebe noch so viel Wahrhaftiges und Gelungenes, dass auch dem professionellen Blinden die Augen übergehen. Tank ist die Ehrenrettung der sowjetbelarussischen Poesie. Ein Philosoph mit Parteibuch, ein Denker, dessen Naivität an Weisheit grenzt, dessen Bodenständigkeit etwas Weltläufiges hat und umgekehrt. Ein Autor, der sich kaum ergründen lässt, vielleicht gar nicht.

Wer staunen kann, kommt schon beim jungen Tank auf seine Kosten. Das Staunen beginnt freilich beim Pseudonym (tank: der Panzer), das etwas irreführend ist und sich drastisch von den kläglichen Namen der übrigen lebenden und toten Klassiker abhebt, harmlosen, unscheinbaren Pflänzchen im Schulstadium. Mit seinem einsilbigen Pseudonym ist ihm das Kunststück gelungen, gleichzeitig schwergewichtig und raumgreifend zu klingen. Staunen machen auch die Texte, die mit dem künstlichen Pseudonym so gar nicht harmonieren wollen. Tank war ein lyrischer, nachdenklicher Dichter, auch wenn

er sich selbst eher mit Donnerstimme und Warnschrei in Verbindung gebracht hat. Er war ein Neuerer, beständig auf der Suche nach einer Form, die ihn nicht beengt. Ich erinnere mich noch genau, wie beeindruckt wir in den 1980er Jahren waren, dass es belarussische Klassiker gab, die in freien Versen schrieben. Nach den endlosen immergleichen Reimereien hatten Tanks freie Versuche den Klang einer klaren menschlichen Stimme, die im Dauergerummel eines stickigen Zimmers aufhorchen lässt. blieb nur noch die Frage, was diese Stimme zu sagen hat.

Tank hat sich schon auf die Suche nach seiner eigenen Stimme begeben, als er noch weit von dem hohen Sockel entfernt ist, nach dem nur noch Vaterland und ZK kommen. Fast hat es den Anschein, die Reime hätten ihn von Beginn an eingeschränkt. Je weiter er sich als Dichter entwickelt, desto seltener reimt er, vor allem, so scheint es, noch zu offiziellen Anlässen, um keine Zweifel an seiner politischen (und poetischen) Loyalität aufkommen zu lassen. Wenn man Tanks gesammelte Werke querliest, fällt einem irgendwann auf, dass seine traditionellen, gereimten Verse größtenteils etwas ältlich wirken. Wo er sich jedoch von der starren Form gelöst hat, ist er immer noch gut lesbar und wird es auch bleiben, hatte er doch etwas zu sagen.

Im Jahr 1959 spürte Tank bereits, dass er dem Ziel seiner Suche näher war als je zuvor:

*Ich muss mich nicht mehr ängstlich ducken
vor Reimen, Wörtern, die sich mucken,
vor Regel- und Gesetzeshütern
mit Eselsohren und -gemütern.*

Auch wenn der Autor sich dessen noch nicht vollständig bewusst gewesen sein mag – dies ist sein Manifest. Die Ankündigung eines neuen Tank, wiewohl noch gereimt. Dreißig Jahre später wird er beiläufig bemerken, dass er den rechten Weg gewählt hat.

*Ich brauchte einst lediglich
Jamben, Trochäen,*

*gezirkelte Zeilen
im Takt.*

*Nun schreibe ich
im Rhythmus meines
arhythmischen Herzens.*

In der Poesie erweist sich das Arhythmische als das Gegenteil des Anämischen. Tanks freie Verse sind bis ins Letzte ausgefeilt, sie klingen aus sich selbst heraus wie eine Muschel, sie sind so weit verdichtet, dass kein Wort, ja kein Laut zu viel ist.

*Der Blinde geht, behutsam
tippt sein Stock die Erde an,
als fürchte er,
sie könnte auf sein Klopfen
erwidern:
„Herein ...“*

Hier zeigt Tank sein ganzes Können. Und er hat zahllose Verse dieser Güte hinterlassen, ohne dass die Qualität unter der Quantität leidet. Sonderbar, aber die denkbar unpoetischen Wörter „Quantität“ und „Qualität“ fügen sich in einen Text über Tank ganz harmonisch ein. Vielleicht, weil auch er ein Freund der Dinge war und sie ganz ungezwungen in seine Gedichte integrierte, weil er keine Scheu davor hatte, das „Niedere“ mit dem „Hohen“ zu vermengen. Auch ein einfacher Stock kann mit der ganzen Erde ins Gespräch kommen. Ich weiß nicht, was

► Чытаць шмат каго зь беларускіх савецкіх паэтаў можна і з заплішчанымі вачыма. Пагатоў, гэтыя паэты і самі былі б ня супраць, каб мы ветліва замружваліся там, дзе трэба. Такія правілы гульні. Прафэсійнаму сьляпому, якога так старанна выходзілі ў кожным беларускім чытачы нашыя акулісты ад літаратуры, зусім няцяжка заплішчыць вочы на пэўныя вершы – было б жаданьне і трохі патрыятызму на рагавіцы. Бяда толькі ў тым, што калі вочы нарэшце адплішчыць, ад паэта можа нічога і не застацца: кніжка скончылася. Аўтар, як высвятляецца, пераважна з такіх вершаў і складаўся. Прыкладаў хапае – але чытацкія вочы ўсё адно мружацца; зь ветлівасці, павагі ці проста ад страху перад люстэркам – пытаньне іншае.

На шчасьце, кнігі Максіма Танка можна разгортваць, не змушаючы сябе да гэтых карысных практыкаваньняў, і смела ўчытвацца ў кожны радок. Бо нават калі прыбраць усё тое, што ён, шчыры камуніст, пананісваў пра леніна, партыю, сыяг і Маскву (а гэтага хопіць на цэлую асобную кніжку), застанеца столькі сапраўднага і файнага, што і прафэсійны сьляпы міжволі празерыць. Tank – апраўданьне беларускай савецкай паэзіі, яе права так называцца. Філёзаф з партбілетам, думаньнік, наіўнасьць якога мяжуе з мудрасьцю, а местачковасьць часам дасягае маштабаў касмапалітызму – ці наадварот. Літаратар, разабрацца ў якім няпроста – а можа, і немагчыма.

Tank für ein Mensch war, aber er ist ein sehr menschlicher Dichter. Tank ist in vielerlei Hinsicht untypisch. So sehr er Belarusse war und sich in seiner Heimat verwurzelt sah – er unterschied nicht allein nach nationalen Kategorien zwischen heimisch und fremd. Aus Tanks Gedichten geht hervor, dass er der gesamten Welt und auch dem Weltlichen zugetan war, dass er sich erstaunlich frei in der europäischen Kultur, ja der Weltkultur bewegte und aus dem Vollen zu schöpfen verstand. In der sowjetbelarussischen Dichtung hat es kein Zweites zu einer solchen Vielzahl versteckter und direkter Anspielungen gebracht. Seine späten Gedichte sind mit Zitaten gespickt, neben Tanks geliebtem Latein finden sich Französisch, Deutsch, Italienisch, Spanisch, Griechisch, Polnisch und diverse „Sprachen der Völker der Sowjetunion“, sogar Chinesisch. In einem Gedicht aus dem Spätwerk ruft der Dichter ein als argloses belarussisches „Ai!“ getarntes chinesisches „ich liebe“. Tank bekundete Sympathien für Japan und spürte wohl instinktiv die Nähe seiner Poetik zur traditionellen japanischen Dichtung. So nimmt es nicht wunder, dass er zum Ende seines Lebens anfang, Haikus zu schreiben.

Quelle: Alhierd Bacharevič: Prava na arytmiuju. In: ders.: Hamburski rachunak Bachareviča. Lohvinau 2012, S. 251-259. (Für die deutsche Übersetzung wurde der Text gekürzt.)

[Übersetzung: Thomas Weiler]

Таго, хто гатовы здзіўляцца, Tank здзіўляе яшчэ ў юнацтве. Спачатку, ясная справа, сваім псэўданімам: трохі недарэчным і абсалютна незвычайным сярод жаласьлівых і бяскрыўдных, як кусьцікі на школьным стадыёне, імёнаў іншых жывых і мёртвых праграмных клясыкаў. Рэдкая, дарэчы, зьява: кароткі псэўданім Танка гучыць цяжка і грувастка. І ўжо затым – сваімі тэкстамі, якія з гэтым штучным псэўданімам ніяк не стасуюцца: Tank – паэт лірычны і задумнены, што б ні казаў пра тое, што ён уяўляе сябе громам і крыкам папярэджаньня. Паэт-наватар, які адшукаў для творчасці тую форму, у якой ня песна. Памятаю, як у васьмідзясятых нас зь сябрамі ўразіла тое, што на сьвечу ёсьць беларускія клясыкі, якія пішуць вэрлібрам. Узрушэньне! Пасьля бясконцых аднолькавых рымаванак Танкавы вольныя спробы гаварыць па-свойму гучалі так, як быццам у душным пакоі сярод аднастайнага мармытаньня пачуўся раптам нармальны, ясны чалавечы голас. Засталося разабраць, што ж ён гаворыць.

Задоўга да таго, як ён стаў начальнікам, вышэй за якога толькі Радзіма і ЦК, Tank ужо спрабаваў гаварыць па-свойму. Ёсьць адчуваньне, што рымы заўсёды яго скоўвалі, і па меры свайго разьвіцьця ён карыстаецца імі ўсё радзей і, здаецца, зьявртаецца да іх у асноўным зь нейкіх афіцыйных нагодаў: каб не ўзьнікала сумневу ў яго палітычнай

– і паэтычнай – ляльнасьці. Гартаючы збор твораў, у пэўны момант заўважаеш: рымаванае, традыцыйнае ў Танка збольшага ўсё ж састарэла, а вось там, дзе ён пачуваўся вольным ад навізанай яму формы, Танк і цяпер чытаецца, і праз стагодзьдзе будзе – бо меў што сказаць.

У 1959 годзе Танк напіша, адчуваючы, што як ніколі блізка да таго, каб знайсці сваё:

*«Даўно я перастаў баяцца
Непаслухмяных рыфм і слоў
І розных там заканадаўцаў
З вушамі, з норавам аслоў».*

Гэта – яшчэ да канца не ўсьвядомлены аўтарам, але маніфэст. Пакуль яшчэ рымаваны. Абвяшчэньне прыходу новага Танка. Праз трыццаць гадоў Танк, нібы мімаходзь, заўважыць, што пайшоў правільнай дарогай.

*«Калісьці хапала мне ямбаў, харэяў,
Адмераных, строгіх радкоў.
А зараз пішу ў рытме свайго арытмічнага сэрца».*

Як высвятляецца, у паэзіі арытмія – супрацьлегласьць анэміі. Танкавых вэрлібраў – адточаных амаль да дасканаласьці, напоўненых унутраным гудзеньнем, нібы ракавінкі, сьціснутых да такога стану, калі ў вершы не застаецца нават ніводнага лішняга гуку, ня кажучы ўжо пра лішняе слова.

*«Ідзе сьляпец, асьцярожна
Пастукае кавенькай,
Быццам баючыся,
Каб на яго стук
Зямля не адказала:
«Калі ласка...»*

Гэта, як кажуць, найвышэйшы піятаж. А такога ў Танка процьма – і гэта нячаста бывае, каб колькасьць не псавала якасьць. Вось жа, дзіўным чынам у дачыненні да Танка гэтыя непаэтычныя словы «колькасьць» і «якасьць» гучаць неяк натуральна. Можа, таму, што паэт Танк любіў рэчы і ўводзіў іх у вершы спакойна, не баючыся зьмяшаць «нізкае» з «высокім». Бо нават адна прыватная кавенька можа размаўляць з цэлай зямлёй. Ня ведаю, які Танк быў чалавек, але паэт ён дужа чалавечны.

Танк – цэлая чарада нетыповасьцяў. Пры ўсёй ягонай беларускасьці, уросласьці ў гэтую зямлю, сыстэма распазнаваньня «свой-чужы» для Танка не будавалася выключна на нацыянальным. Вершы сьведчаць, што Танк увесь сьвет лічыў сваім, набыткаў ягоных не цураўся – і карыстаўся напоўніцу з эўрапейскай і сусьветнай культуры, досыць вольна ў іх пачуваючыся. Па колькасьці прамых і прыхаваных алюзіяў ён, відаць, абсалютны чэмпіён у беларускай савецкай паэзіі. Яго пазьнейшыя вершы стракацяць цытатамі – тут табе і любімая ім лаціна, і французская, і нямецкая, і італьянская, і гішпанская, і грэцкая, і польская, і розныя «мовы народаў СССР», і нават кітайская – у адным з позьніх тэкстаў нявіннае беларускае слова «Ай!» выкрываецца паэтам як замаскаванае кітайскае «люблю». Танк з сымпатыяй піша пра Японію, падсьвядома адчуваючы блізкасьць сваёй паэтыкі да традыцыйнай японскай – і нічога дзіўнага няма ў тым, што пад канец жыцьця ён сам пачынае пісаць хоку, да гэтага ўсё і ішло...

(тэкст публікуецца з скарачэньнямі)

Альгерд Бахарэвіч: Гамбурскі рахунак Бахарэвіча. Логвінаў 2012, 251-259.

ALHIERD BACHAREVIČ (1975, Belarus) – Autor und Übersetzer. Er veröffentlichte mehrere Romane, sowie Erzähl- und Essaybände (*Verdammte Hauptstadtgäste, Die Elster auf dem Galgen, Schabany. Geschichte eines Verschwindens; Bacharevičs kleine medizinische Enzyklopädie*). Er wurde ausgezeichnet mit dem „Hliniany Viales“ (dem seinerzeit einzigen unabhängigen belarussischen Literaturpreis), sowie zweifach als zweiter Preisträger des Jerzy-Giedroyc-Preises. Das belarussische Internetportal *Novaja Europa* kürte ihn 2006 zum Autor des Jahres. Im Jahr 2010 erschien der Roman *Die Elster auf dem Galgen*, Leipziger Literaturverlag, 2013 erschienen in seiner Übersetzung die gesammelten Märchen der Brüder Grimm erstmals auf Belarussisch. Seit 2011 schreibt er regelmäßig für den belarussischen Dienst von Radio Svaboda (Radio Liberty).

Kontakt: alhierdb@gmail.com

АЛЬГЕРД БАХАРЭВІЧ (1975, Беларусь) – пісьменьнік і перакладчык. Аўтар некалькіх раманаў і зборнікаў апавяданьняў і эса (*Праклятыя госьці сталіцы, Сарока на шыбеніцы, Шабаны. Гісторыя аднаго зьнікненьня, Малая мэдычная энцыклапэдыя Бахарэвіча*). Ляўрэат прэміі «Гліняны Вялес», двойчы ляўрэат другой прэміі Ежы Гедройца, аўтар году-2006 паводле беларускага інтэрнэт-парталу *Новая Эўропа*. У 2010 годзе раман *Сарока на шыбеніцы* выйшаў у перакладзе на нямецкую мову (*Die Elster auf dem Galgen*, Leipziger Literaturverlag). У 2013 годзе ў перакладзе Бахарэвіча па-беларуску ўпершыню выйшлі выбраныя *Казкі братоў Грымаў*. З 2011 году пастаянны аўтар сайту беларускай службы Радыё Свабода.

Кантакт: alhierdb@gmail.com



© Rostyslav Shpak

PAPUSZA (Auszug)

PAPUSZA (fragment)

3. Jemand klopft an die Tür. Mit einem tiefen Seufzer steht Papusza auf. Zur Tür ist es nicht weit, vielleicht drei Meter. Schwere, gleichmäßige Schritte. Sie schiebt den Riegel zurück. Die Tür knarrt. Auf dem Band ist eine Frauenstimme zu hören, sie möchte, dass Papusza ihr weissagt. Papusza entschuldigt sich, heute könne sie nicht empfangen. Bevor sie sich wieder setzt, legt sie Äpfel auf den Tisch. Sie sind noch nass, „frisch gewaschen unterm Wasserhahn“. Was Küche und Kammer fasst. Sie rückt den kleinen Schemel näher an den Ofen und zündet sich eine Zigarette an. Sie sagt: „Wenn eine Zigeunerin heute klüger ist, kann sie besser weissagen, ist sie dumm, kann sie das nicht mehr. Sie redet irgendein Zeug, um Geld zu verdienen, und weiter geht's. Ich zum Beispiel weissage psychisch: Ich erkenne, wenn jemand schlecht gelaunt ist, verliebt und liebestoll, und ich sehe an der Stirn, was das für ein Mensch ist, ein guter oder ein böser, ein kluger oder ein dummer, ob er einen starken Willen hat oder sein Wille gebrochen ist. Wenn ich Karten lege, mache ich eine ernste Miene und weissage in ernster Weise. Das ist wie beim Dichter, denke ich. Es muss ein Geist, ein Hauch, da sein, und schon weiß man alles. Dieser Hauch hängt aber von vielen Dingen ab. Am meisten vom Geld. Wenn ich Geld sehe, fährt sofort etwas in mich, und später erfahre ich, dass alles wahr war, was ich gesagt habe. Früher kamen mehr. Jetzt schaut selten jemand bei mir vorbei. Ich habe angefangen, mir selbst zu weissagen, aber das war so traurig, also habe ich es aufgegeben. Für die anderen legt man gute Karten. Bei mir waren es nur schwarze. Dreimal Eichel und Eichel. Gott, was kann das bloß bedeuten?

Hauptsache meinem Sohn ist nichts geschehen. Mein Sohn ist nämlich mein ein und alles. So viele Jahre wohnt er nun schon nicht mehr bei mir. Er ist ins Auto eingestiegen und davongefahren. Er versprach: «Ich werde dich nie vergessen». Wenn er das gesagt hat, wird er mich

* Wenn Papusza Sehnsucht nach ihm hat, setzt sie sich ans Fenster und holt aus ihrer Schürze ein in Folie gewickeltes Bild, „damit es nicht feucht wird“, und betrachtet es. Auf dem Bild sind alle sonntäglich gekleidet. Rechts, der mit dem Schnurrbart, im dunklen Jackett, das ist Dyżko. Ein helles Gesicht, graues Haar. „Er sah wie ein Herr aus. Nicht wie ein Zigeuner. Sie wählten ihn sogar zum Vorsteher, damit er mit den Behörden spricht, den Tabor anmeldet.“ Links auf dem Bild, das ist sie. In einem Faltenrock, über die Schultern ein Tuch. An den Grautönen der Fotografie lässt sich nur schwer ablesen, welche Farbe es hat. Sie betrachtet den Jungen, der in der Mitte steht. Er ist höchstens acht Jahre alt. Er trägt kurze Hosen mit Hosenträgern, ein weißes Hemd und ein Jackett, das ihm zu groß ist. Er blickt nicht ins Objektiv. „Das ist Tarzan, mein Sohn. (Ihre Stimme klingt zärtlicher denn je). Ich gab ihm diesen Spitznamen, als ich den Film sah, wie er mit der Frau auf dem Baum saß und sie fütterte.“ Tarzan, Władek. Er war ein knappes Jahr alt, als Papusza und Dyżko ihn zu sich nahmen. Gleich nach dem Krieg stand der Tabor in der Nähe von Mielec. Eine Polin, die nach einer Affäre mit einem Zigeuner¹ einen Jungen zur Welt gebracht hatte, kam zu ihnen. Sie wollte ihn nicht, denn sie hatte schon zwei Kinder. Im Lager flüsterte man hinter vorgehaltener Hand, Papusza habe auch Kinder geboren, aber ihre Kinder „hat der Wald gefressen“. („Eine Strafe, oder was?“). Eine Zigeunerin „mit einem vertrockneten Mutterleib“ ist nicht viel wert. Sie nahmen den Jungen sofort.

* Im selben Jahr gleich nach dem ersten Frühlingsgewitter versammelten sich die Ältesten des Tabors, um die Wanderroute festzulegen. Möglichst, wo man lange nicht

¹ Zum Gebrauch des Wortes „Zigeuner“ schreibt die Autorin im Nachwort des Buches u. a.: „Ich schreibe von Papusza als einer Zigeunerin. Das hat nichts mit fehlendem Respekt zu tun, ich bezeichne sie als Zigeunerin, weil Papusza es selbst wollte, dass man sie so nannte. Es gibt eine Aufnahme, auf der sie in Lachen ausbricht, als sie das Wort «Rom» hört.“

mehr gewesen war. Wo die Zigeuner es zumindest etwas leichter hatten. Sie wurden unterschiedlich behandelt nach dem Krieg. Zum Beispiel gaben die Behörden in Łódź im Juni 1945 verschiedenfarbige Meldezettel heraus: weiße für Polen, gelbe für Deutsche, Juden und Zigeuner (am 14. Juni 1945 erklärte das Ministerium für Öffentliche Verwaltung diese Praxis für unzulässig und ordnete an, nur weiße Meldezettel zu benutzen). Im Oktober desselben Jahres verschickte der Posener Woiwode das Rundschreiben Nr. 98, Bekämpfung der umherziehenden Zigeunerlager. Darin heißt es: „Die Zigeuner sind aufgrund der von ihnen betriebenen Bettelei und Landstreicherei sowie verschiedener damit verbundener Arten der Kriminalität, wie Diebstahl, Raub usw., in den Gegenden, in denen sich Wanderlager befinden, eine Plage – in diesem Milieu tummeln sich häufig auch ausländische Agenten. Es ist unstrittig, dass die Zigeuner keine produktiven Individuen sind und als solche schädlich für den Staat. Es ist folglich die Pflicht der Behörden, diese Personengruppe loszuwerden und ihren Zustrom zukünftig zu verhindern. Im Zusammenhang mit dem oben Gesagtem empfehle ich den Bürgern Landräten, Stadtpräsidenten und Kreisbevollmächtigten gemeinsam mit den Sicherheitsorganen unverzüglich Maßnahmen zu ergreifen, die auf dem Gebiet des Landkreises beziehungsweise der Stadt befindlichen Wanderlager aufzulösen.“ (Im Dezember ordnete das Ministerium für Öffentliche Verwaltung an, das Rundschreiben zurückzunehmen, da es, „dem Geist und Inhalt nach, nicht mit dem Grundgesetz und den gültigen Rechtsvorschriften vereinbar ist“, und „Unrecht und Verluste, sofern sie auf das Rundschreiben zurückzuführen sind, wiedergutzumachen“). Mehr als ein Jahr später. Die Sonderkommission zum Kampf gegen Wirtschaftsvergehen und -sabotage (am 23. Dezember 1954 per Dekret aufgelöst) organisierte in Polen Arbeitslager. Sie funktionierten nach dem Muster der sowjetischen Lager. Außer Spekulanten und bestechlichen Individuen sollten in ihnen auch Zigeuner untergebracht werden. „In getrennten Objekten.“ Es wurde immer schwieriger sichere Lagerplätze zu finden. Man beschloss, nach Westen in die „Wiedergewonnenen Gebiete“ zu ziehen. Den ganzen Weg über trug Papusza Tarzan in einem Tuch an ihrer Brust. Sie fütterte ihn mit Kuhmilch aus einer alten Wodkaflasche. Wenn er weinte, schüttete sie Zucker in einen sauberen Lappen, band ihn mit einem Faden zusammen und gab ihn dem Jungen zum Saugen. War es kalt, wärmte sie ihm das Gesicht mit ihrem Atem. Machten sie Rast, hängte sie das Leinentuch an einer Stange auf und deren Enden über zwei benachbarte Wagen. Eine Zigeunerschaukel. Sie nahm das Kind überallhin mit, sogar zum Weissagen.

* „Vielleicht lege ich es besser weg“, Papusza spricht zu sich selbst, Folie raschelt. „Ich habe das Bild gerne in meiner Nähe. Ich glaube, Herr Ficowski hat es gemacht. Damals kannten wir uns schon gut. Es muss Frühling gewesen sein. Die Akazie blühte. Er machte das Bild und sagte: «Sie sind talentreich, Sie bringen etwas hervor wie einst ein gewisser Herr Mickiewicz. Sie müssen unbe-

dingt schreiben». Irgendetwas hatten sie in mir gefunden. Es gab da noch Herrn Tuwim. Ein großes Talent hatten sie gefunden. Solche Liedchen, wie sie welche haben wollten, konnte ich damals Millionen machen. Ich ging über Berge, durch Wälder. Im nächsten Augenblick hatte ich schon eins. Herr Jerzy sagte, es seien Gedichte, aber das waren keine Gedichte. Es waren Lieder. Gedichte sind anders. Man muss reimen, mit Liedern ist es einfach. Das Lied ist niedriger, das Gedicht hoch, dafür braucht es gebildete Leute. Das geht nicht ohne Universität, ich aber bin nicht ein Jahr zur Schule gegangen. Ich kann keine Gedichtschreiberin sein. Von Herzen? Ah, von Herzen, das schon. Herr Ficowski hat mich zu einer Gedichtschreiberin gemacht. Ich erzähle Ihnen, wie es war. Ich muss mich nur ein bisschen ausruhen.“

* Sie versinkt in Gedanken, murmelt etwas auf Romani. Sie versucht, sich den Sommer des Jahres 1949 ins Gedächtnis zurückzurufen. Ein Zaun nahe Stargard Szczeciński. Nach dem Abendessen. Einige Frauen sitzen in der Hocke, sie schrubben Töpfe mit Sand. Andere fegen in gebückter Haltung den Lagerplatz. Papusza sitzt am Feuer und bessert die Zeltplane aus. Ab und zu nimmt sie einen Stock und facht die Glut an. Dyżko und Tarzan haben ein paar Igel gefangen. Sie hat sich geärgert, schließlich sind die Igel am besten im Herbst, wenn sie fetter sind. Sie hat sie trotzdem ausgenommen und mit Lehm bestrichen, jetzt braten sie. Sobald der Panzer platzt, sind sie fertig. Aufregung unter den Männern. Es ist ein Brief vom Poruczniko gekommen. Er teilt mit, dass er mit seinem Neffen kommt. Der Poruczniko, das ist Edward Czarnecki, ein ehemaliger Offizier des Tatarenregiments. Vor dem Krieg hatte er ein Haus in der Nähe von Krzemieniec. Er erlaubte den Zigeunern, in seinem Garten ihre Zelte aufzuschlagen, er verwandte sich bei den Behörden für sie. Er nahm sie auf wie Brüder. Einen Teil des Krieges zog er mit dem Tabor durch Wolhynien. Später landete er als Zwangsarbeiter in Deutschland. Papusza: „Er war sehr für uns. Einmal, gleich nach dem Krieg, rasteten wir. Wir spielten auf den Harfen, die Zigeunerinnen gingen durchs Dorf weissagen. Ich blieb und eine ältere Zigeunerin, sie kümmerte sich um Tarzan. Da kamen Uniformierte und sagten: «Ihr Diebe!» Und wollten schon losprügeln. Im Zelt schlief Herr Czarnecki und hörte, was geschah. Er zog seine Uniform an, seine Mütze, kam aus dem Zelt. Und die stehen vor ihm stramm und salutieren. Und entschuldigen sich bei uns, wegen der unschönen Szene. Herr Czarnecki aber schrieb keine Gedichte und gehörte auch nicht zur großen Literatur, zu den Dichtern, er war ein Musiker. Er spielte auf dem Banjo, reparierte uns die Harfen. Er hatte kleine, ein wenig gebrochene Hände. Krumme Finger.“ Die Zigeuner schreien durcheinander. Jemand will sich prügeln. Der Poruczniko will einen Fremden mitbringen. Eher werden sie einen Tisch essen, als so jemandem zu trauen. Dyżko spricht ein Machtwort: Wenn der Poruczniko einer von uns ist, dann ist es auch sein Neffe. Sie können kommen. Man muss nur aufpassen und darf kein dummes Zeug reden. Bei Sonnenaufgang bauen sie wie geplant das Lager ab. Für den Poruczniko hinterlassen sie an jeder Weggabelung einen Wegweiser: einen am Telegrafmast

befestigten Besen, geknickte Äste, einen kleinen Strohhalm oder einen Knochen mit Einkerbungen. Die Gadsche, die Nicht-Zigeuner, rühren diese nicht an, sie haben Angst vor den magischen Kräften der „Teufelsbrut“. Aber wer sich auskennt, übersieht diese Zeichen nicht. Papusza schreibt Czarniecki einen Brief.

2. August 1949

Wir haben Ihren Brief erhalten für den ich mich bedanke. [...] Nehmen sie also kein Zelt mit denn für die Herren findet sich [...] Platz.

*

Der Tabor stand an der angegebenen Adresse: auf der Lichtung, am Ufer des Waldsees. Zuerst betrat der Poruczniko das Lager. Ein Herr in abgetragener Kleidung mit nur noch wenigen Haaren. In seinem Schatten ein junger Mann. Ein großer, weißer Hemdkragen bedeckte die Jackenaufschläge. Auf dem Kopf eine schwarze Baskenmütze mit einem Stummel. Jerzy Ficowski. Dichter. Er war fünfundzwanzig Jahre alt. Er begrüßte. Vielleicht sogar auf Romani. Er hatte es von Warschauer Zigeunerinnen im Sächsischen Garten gelernt. Ficowski gab ihnen Geld, und sie sangen. Er schrieb sich jedes neue Wort auf. Er fragte, was es bedeute, aber sie wollten es ihm nicht sagen. Nur manchmal verriet ein Kind etwas für Süßigkeiten. Die Zigeuner empfingen sie wie Könige. Es gab Musik, Tänze und Borschtsch mit frischen Sauerkirschen. Die Männer stießen an. Das erste Gläschen: „Auf den Poruczniko!“ Das zweite: „Auf den Dichter!“ Beim zehnten gaben sie Ficowski eine Trommel und forderten ihn auf zu spielen.

*

Papusza war bis dahin noch keinem Dichter begegnet, und Ficowskis Gewohnheiten überraschten sie ein ums andere Mal. „Er schreibt, ohne aufs Blatt zu schauen“, schwärmte sie im Stillen. Er notierte sich die abendlichen Erzählungen: Märchen, neue Wörter, was mit dem Tabor in Wolhynien geschehen war. Er sammelte Informationen über die Schoah. Auf diese Weise hatte er Czarniecki kennengelernt. Er verschickte Briefe an die Zeitungen. Er bat die Zeugen des Zigeunermordes, mit ihm Kontakt aufzunehmen. Es meldete sich der Poruczniko. Das war kurz nachdem die Staatssicherheit Ficowski freigelassen hatte. Aus einem Brief, der nach seinem Tod gefunden wurde: „Am 3. Mai 1948 abends wurde ich in Włochy, wo ich wohnte, von zwei Zivilisten aus der elektrischen Vorortbahn EKD geholt und in eine nahe (hinter dem Bahnübergang) gelegene graue Villa abgeführt, wo man mich mehrere Tage und Nächte im Keller mit stehendem Wasser und Ratten festhielt. Nachts holte man mich mindestens ein paar Mal und tagsüber nicht minder oft aus dem Keller und brachte mich zum Verhör. Es war

das Sicherheitsamt oder der militärische Nachrichtendienst. Ich wurde von Zivilisten verhört, ich schlief nicht. Sie drohten, ich würde an Ort und Stelle sterben (einer von ihnen spielte mit einer Pistole...) oder im Gefängnis verrotten, zuerst aber würde ich gestehen. Sie unterstellten mir, nach dem Krieg konspirativ tätig gewesen zu sein und verlangten, ich solle meinen Decknamen preisgeben (nach meiner Rückkehr aus dem deutschen Lager 1945 hatte ich nicht konspiriert). Mein Leugnen stieß auf Drohungen, ich würde meine Familie nicht wiedersehen, und die Ankündigung, sie hätten Methoden, mit denen sie mich schon «zum Singen» bringen würden. Nach meinem Gefängnisaufenthalt im Pawiak (1943), dem Aufstand, den Lagern in Deutschland (1944-45) und der nach der Kapitulation Mokotóws im September 1944 wie durch ein Wunder entgangenen Erschießung durch die SS war ich nervlich in einem desolaten Zustand. Das Schicksal meiner Waffengefährten (Deportation in die UdSSR, Lager, Gulag) war mir bekannt. Ich sollte ihr Los teilen. Am nächsten Tag stellte sich heraus, dass sie von mir Spitzeldienste verlangten. Meine – relativ primitive – Erklärung, es sei selbstverständlich meine Bürgerpflicht, z. B. die Miliz zu rufen, wenn ich einem Dieb oder Banditen begegne, dafür müsse man keine speziellen Verpflichtungen eingehen, wurde mit Verärgerung, ja Empörung aufgenommen, nicht darum gehe es, wurde mir erklärt, es gehe um die Feinde der Volksrepublik Polen. Einen Tag (am dritten oder vierten) beziehungsweise eine Nacht später wurde mir mitgeteilt, man würde mich zwecks Bestrafung an die sowjetischen Behörden überstellen oder – falls eine solche Entscheidung getroffen werde – einer «Untersuchung» unterziehen. Man legte ein Blatt Papier vor mich hin und diktierte. Der zweite Zivilist saß stumm da, mit der Hand an der Pistole, die auf dem Schreibtisch lag. Ich schrieb, dass ich mich verpflichte, erhalte ich über «antipolnische Machenschaften» Kenntnis, dies zu melden. Sie diktierten mir meinen Decknamen: «Jerzyk», «Jeżak» oder «Jerzak». Sie forderten mich auf zu unterschreiben. Ich hätte Widerstand leisten, das heißt die Drohungen wahr werden lassen können. Ich beschloss, falls sie mich freilassen, zu fliehen.“ Czarniecki schlug Ficowski vor, bei den Zigeunern Unterschlupf zu suchen. Da sie misstrauisch sind, kam er auf die Idee, ihn als Neffen auszugeben.

*

Ficowski gewöhnte sich schnell an das Lagerleben. Jede aufgerauchte Zigarette (und er rauchte viel) trat er fest in die Erde und streute Sand darüber. Er wusste, dass man „im Wald das Feuer wie einen Hund an die Kette legen muss. Das Lagerfeuer muss vor dem Schlafengehen gelöscht werden. Man darf nicht warten bis Regen kommt.“ Er spielte mit den Kindern: Er goss sich Wasser ins Ohr und ließ es zum Mund wieder raus. Tarzan wich ihm nicht von der Seite. Dyżko verlor im Kartenspiel gegen ihn. Die ersten Tage hielt Papusza sich von ihm fern. Sie beobachtete heimlich wie Ficowski jeden Morgen einen Spiegel ins Astwerk schob. Er schärfte die Klinge an einen Radreifen. Dann riss er sich ein Haar aus. Er hielt es zwischen den Fingern in die Luft, gegen das Licht, und schnitt. Er rasierte sich, seifte sich wieder ein und

rasierte sich noch einmal. *Das Blut stillte er mit etwas wie einem Kristall.* Sie durchsuchte seine Tasche. Mehrere Bleistifte, ein Federhalter. Ein Notizbuch. Nichts Interessantes. Nur in den *Zinnsoldaten*, dem Gedichtbändchen, das er 1948 herausgegeben hatte, blätterte sie lange. Nicht ein Mal hörte er, wie Papusza sang. Im Wald. Vom Feuer, das wunderschön funkelt. Vom Stampfen der Pferde. Von Zigeunern, die schlafen. Dyżko fragte sie damals missbilligend: „Wieso singst du wie ein Kind zu den Bäumen?“ Die Zigeuner begannen Ficowski zu vertrauen. Und als sie erfuhren, dass er auf der Flucht vor der Staatssicherheit war, achteten sie ihn noch mehr. Sie baten ihn sogar, die Gesundheitsbücher der Pferde zu fälschen („Da er selbst Bücher schreibt“). Denn bei den Zigeunern drehte sich alles um die Pferde. Und ohne Gesundheitsbuch verkauft man kein Pferd. So wie der Fahrzeugschein beim Auto. Es steht alles im Büchlein: die Fellfarbe, das Alter, woher das Pferd stammt. Schließlich war es nicht immer käuflich erworben worden. Ficowski verriet nie, ob er der Bitte der Zigeuner nachgekommen war. Dafür erzählte Czarniecki stolz, wie er aus Holz Amtsstempel geschnitzt hatte. Mehr als ein Pferd verjüngte er. Mit jedem geht das. Das graue Fell um die Augen kann man mit Henna übermalen, die Hufe in dickflüssiges Öl oder zerschmolzenen Talg eintauchen, die Mähne und den Schwanz stutzen wie bei einem Jungtier. Unbedingt die Zähne feilen. War das Pferd zu mager, gaben die Zigeuner ihm ein paar Tage vor dem Markt ungelöschten Kalk ins Futter. (Es verendete später, aber schon in den Händen des neuen Besitzers). Hinkte es auf dem linken Vorderbein, verletzt man sein rechtes. Taten ihm beide Beine weh, hinkte es eine Zeitlang überhaupt nicht. War das Pferd bockig, gaben sie ihm Brennspritus zu trinken. Nach zweihundert Millilitern wurde es ruhiger. Die Polen auf den Jahrmärkten waren nicht dumm, sie kannten diese Tricks. Trotzdem fand sich immer wieder einer, der auf sie hereinfiel. Ein Zigeuner verdient an einem Pferd immer etwas.

*

Abends saßen sie neben Ficowskis Zelt. Papusza, Dyżko, Czarniecki. Einige Zigeuner legten sich auf die Erde, die Köpfe auf die Ellbogen gestützt. Der Poruczniko erzählte Geschichten von den blinden ukrainischen Wandermusikern, die auf der Drehleier spielten, und von den Bettlerkönigen. Davon, wie sie von Dorf zu Dorf wanderten und um einen Teller Suppe oder ein Stück Brot baten.

3

Ktoś puka do drzwi. Papusza wstaje z głębokim westchnieniem. Do przejścia ma niewiele, jakieś trzy metry. Jej kroki są ciężkie, miarowe. Odsuwa skoble. Skrzypią drzwi. Na nagraniu słycać kobiecy głos z prośbą o wróżbę. Papusza przeprasza, ale „dzisiaj nie może przyjąć“. Zanim znów usiądzie, położy na stole jabłko. Jeszcze mokre, „świeżo wymyte pod kranem“. Czym chata bogata.

Niemand wies sie ab. Denn man glaubte, sie haben gute Beziehungen zum Herrn. An diesem Abend (er war jetzt schon zwei Wochen im Tabor) trug Jerzy Ficowski Gedichte vor. Er erklärte, wie man sie schreibt und woher sie kamen. Plötzlich meldete sich Tonio, Dyżkos Bruder, zu Wort: „Mein Herr, wir haben im Tabor auch eine Dichterin.“ Er zeigte auf Papusza. „Was für schöne Gesänge sie aus ihrem Kopf hervorbringt, gegenüber ihnen ist die Welt klein und unbedeutend.“ „Was denn für Gesänge! Ich habe gehört, die Sirenen bringen Gesänge hervor, nicht die Menschen. Vielleicht bin ich also eine Waldsirene.“ Dyżko spielte auf der Harfe. Die Frauen summten dazu. Alte Zigeunerweisen. Von Wagen und während der Fahrt knarrenden Rädern. Wieder ergriff Papusza das Wort: „Ich mag es gerne, wenn die Räder beim Fahren singen und wenn der Regen auf die Wagenplane trommelt, während ich nicht schlafe. Das ist meine Musik und manchmal kommen mir ganz von selbst die Wörter dazu... Manchmal, wenn es besser ist, leise zu fahren, werden die Achsen eingeschmiert. Haben wir nichts zum Einschmieren, schmieren wir sie mit Pilzen ein, Butterpilzen, und schon drehen sich die Räder als wären sie stumm. Mein Lied ist eine stille Träne. Ich singe vor mich hin, nicht für jemanden. Von Kind an war mit mir etwas nicht in Ordnung. Ich hatte Angst, denn ich wusste nicht, woher diese Wörter kamen, wer hatte sie mir beigebracht. Wir sagen «Blatt», «Vogel», «Gras», aber ist das wahr, was wir sagen? Vielleicht hat Gott dafür gesorgt, dass wir uns auf ein solches Sprechen verständigt haben?“ Ficowski sagte zu Dyżko: „Sie haben eine Dichterin zur Frau.“ Die Zigeuner lachten. „Jetzt lachen sie“, sagte Papusza. „Und was ist das, mein Herr, diese Dichterin?“, fragte ich damals. Ich wusste das nicht einmal. Wirklich nicht. Und bis heute weiß ich es nicht genau.

*

Der August ging zu Ende, als Ficowski abfuhr. Er fragte Papusza, wo ihre Lieder seien. „Sie sangen und flogen wie Vögel davon.“ Er bat sie, sie einzufangen, aufzuschreiben und nach Warschau zu schicken. Sie versprach: Ich werde schreiben. Vielleicht schon bald.

[Übersetzung: Andreas Volk]

Przysunie zydelek bliżej pieca, zapali papierosa. Mówi: – Dziś jak która Cyganka mądrzejsza, to umi lepiej wróżyć, a która głupia, to już nie potrafi. Gada byle co, aby zarobić i iść dalej. Ja na ten przykład wróżę psychicznie: poznają, kiedy człowiek w niedobrym humorze i kiedy rozkochany i zakochany, i poznają z czoła, co to może być za człowiek; czy dobry, czy zły, czy mądry, czy głupi, czy ma wolę silną, czy złamaną. Kiedy stawiam karty, to ja

wtedy robię minę poważną i z powagą wróżę. To jak z poetą, ja myślę. Musi być jakiś duch, jakiś tchnienie i wtedy człowiek wszystko wie. A to tchnienie zależy od wielu rzeczy. Ale najbardziej od pieniędzy. Jak ja widzę pieniądze, to od razu we mnie wstępuje coś takiego i potem się dowiaduję, że powiedziałam samą prawdę. Dawniej więcej przychodzili. Teraz rzadko kto do mnie zajrzy. Sobie zaczęłam wróżyć, ale pełno smutku było, więc rzuciłam. Dla ludzi karta dobra się wykłada. A koło mnie same czarne. Trzy razy żołądź i żołądź. Boże, co to może znaczyć?

Byle tylko mojemu synowi nic nie było. Bo syn to moje wszystko. Już tyle lat, jak ze mną nie mieszka. Wsiadł w samochód i odjechał. Obiecał: „Nigdy o tobie nie zapomnę”. Jak tak mówił, to na pewno nie zapomniał.

*
Kiedy Papusza za nim tęskni, siada przy oknie, z kieszeni fartucha wyciąga zdjęcie, owinięte w folię, „żeby nie zawilgło”. I patrzy.

Wszyscy na nim odświeżnie ubrani. Ten z wąsem po prawej, w ciemnej marynarce to Dyżko. Jasna twarz, siwe włosy.

– Po pańsku wyglądał. Jak nie Cygan. Na wójta go nawet wybrali, żeby z władzą gadał, tabor chodził meldować. Po lewej stronie ona. W fałdzistej spódnicy, z chustą na ramionach. Z szarości fotografii trudno odgadnąć, jakiego koloru. Patrzy na chłopca, który stoi pośrodku. Ma nie więcej niż osiem lat. W krótkich portkach na szelkach, białej koszuli i za dużej marynarce. Nie patrzy w obiektyw.

– To Tażaniu, mój synek. (Jeszcze nigdy nie było takiej czułości w jej głosie). Tak go przezwałam, jak obejrzałam film, co on siedział z tą kobietą na drzewie i tak karmił ją. Tarzan, Władek. Miał niecały rok, gdy Papusza z Dyżkiem go przygarnęli. Zaraz po wojnie stali z taborem w okolicach Mielca. Przyszła do nich Polka, która po romansie z Cyganem urodziła chłopca. Nie chciała go, bo miała już dwoje.

W taborze szeptali, że Papusza też rodziła, ale jej dzieci „las pożera”. („Kara jaka czy co?”).

Cyganka z „wyschniętym łonem” jest niewiele warta. Więc od razu go wzięli.

*
Tamtego roku wiosną, tuż po pierwszych grzmotach zebrała się starszyzna taboru, żeby wyznaczyć trasę wędrowki. Tam, gdzie dawno nie byli. Gdzie choć trochę Cyganom łatwiej.

Bo różnie traktowano ich po wojnie.

Na przykład w czerwcu 1945 roku w Łodzi władze lokalne wydały karty meldunkowe w dwóch kolorach: białym dla Polaków, żółtym dla Niemców, Żydów i Cyganów (14 czerwca 1945 Ministerstwo Administracji Publicznej odwołało tę decyzję i nakazało wydawanie tylko kart białych).

W październiku tego samego roku wojewoda poznański rozesłał okólnik numer 98: Zwalczanie wędrownych obozów cygańskich. „Cyganie z uwagi na uprawiane żebractwo i włóczęgostwo, połączone z różnego rodzaju przestępczością, jak kradzież, rozbój itp., są plagą dla ludności okolic, gdzie znajdują się ich obozy, często wśród tego elementu znajdują się agenci międzynaro-

dowi. Faktem niezaprzeczalnym jest, że Cyganie nie są jednostkami produktywnymi, i jako tacy są szkodliwi dla państwa. Jest więc obowiązkiem władz tego elementu się pozbyć i nie dopuścić w przyszłości do jego napływu. W związku z powyższym polecam Ob. Starostom, Prezydentom, Pełnomocnikom Obwodowym niezwłoczne podjęcie akcji wspólnie z organami bezpieczeństwa w celu zlikwidowania znajdujących się na terenie powiatu, względnie miasta, wędrownych obozów cygańskich”. (W grudniu Ministerstwo Administracji Publicznej nakazało odwołanie okólnika „jako z ducha i treści sprzecznego z obowiązującymi ustawami zasadniczymi i przepisami prawnymi” oraz „zadośćuczynienie krzywdom i stratom, o ile takie na skutek stosownego okólnika zaistniały”).

Ponad rok później. Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym (zniesiona dekretem z 23 grudnia 1954 roku) zorganizowała w Polsce obozy pracy. Funkcjonowały na wzór radzieckich łagrów. Oprócz spekulantów i łapówkarzy nakazano umieszczać tam Cyganów. „W osobnych obiektach”. Coraz trudniej było znaleźć bezpieczne miejsce na obozowisko.

Uradzono: tabor ruszy na Ziemię Odzyskane.

Papusza całą drogę niosła Tarzana w chuście na piersi. Karmiła krowim mlekiem z butelki po wódce. Kiedy płakał, nasypywała do czystej szmatki cukier, wiązała nitką i dawała chłopcu do ssania. Gdy było zimno, chuchała mu w twarz. Na postoju zawieszala lnianą szmatę na drągu opartym o dwa wozy. Taka cygańska kołyska. Nie zostawiała go nawet, kiedy szła na wróżby.

*
– To może ja już schowam? – Papusza nie czeka na odpowiedź, od razu szeleści folia. – Lubię mieć to zdjęcie blisko. To chyba pan Ficowski robił. Już my się dobrze znali. Chyba wiosna była. Akacja kwitła. Robił i mówił: „Pani jest talentliwa i pani tworzy coś takiego jak kiedyś jakiś pan Mickiewicz. Niechże pani pisze”. Coś we mnie znaszli. Bo pan Tuwim jeszcze. Znaszli jakiś wielki talent. A ja takich piosenek, co oni chcieli, to mogła kiedyś miliony zrobić. Szłam górami, lasami. Jeden moment i już. Pan Jerzy mówił, że to wierze, ale to nie byli wiersze. Piosenki. Wierszy są inni. Trzeba rym składać, a piosenka to prosta. Piosenka to niżej. A wiersz wysoko, trzeba kształconych ludzi. Musi być uniwersytet, a ja nie mam ani jednej klasy kończącej. Nie mogę być wierszopisarka.

Ze serca? A, ze serca to tak. To pan Ficowski zrobił mnie wierszopisarką. Opowiem jak. Tylko kapkę odpocznę.

*
Zamyśliła się, mamrocze coś po cygańsku. Wygrzebuje z pamięci tamto lato 1949 roku. Płoty niedaleko Stargardu Szczecińskiego.

Już po kolacji. Kilka kobiet siedzi na piętach, szoruje garnki piaskiem. Inne zgięte wpół zamiatają obozowisko. Papusza przy ognisku łąta dziury w płachcie namiotu. Co jakiś czas bierze kij i rozgarnia żar. Dyżko z Tarzanem złapał kilka jeży. Była trochę zła, najlepsze są przecież dopiero jesienią, bardziej tuste. Ale wypatroszyła, oblepiła gliną, teraz się pieką. Jak skorupa pęknie, będą gotowe. Wśród mężczyzn poruszenie. Przyszedł list od Porucznika. Zawiadamia, że przyjeżdża z bratankiem.

Poruczniko to Edward Czarnecki, dawny oficer Pułku Tatarskiego. Przed wojną miał dom pod Krzemieńcem. Pozwalał Cyganom rozbijać namioty w ogrodzie, wstawał się za nimi u władzy. Gościł jak braci. Przez część wojny wędrował z taborem po Wołyniu. Później trafił na roboty do Niemiec.

Papusza: – Bardzo był za nami. Razu jednego, zaraz po wojnie, stalimy obozem. Gramy na arfach. Cyganki pojszli po wsi wróżyć. Ja została i jedna starsza Cyganka, bawiła Tażania. A tu podchodzą mundurowi i mówią: „A wy złodziej!” . I dawaj do bicia. W namiocie spał pan Czarnecki i usłyszał, co się dzieje. Włożył mundur, czapkę, wyszedł z namiotu. A ci przed nim stoją na baczność i salutują. I przepraszają nas, że tak nieładnie wyszło. Ale pan Czarnecki nie pisał wierszy ani nie należał do literatury wielkiej, do poetów, tylko muzyk był. Grał na bandzi. Naprawiał nam arfy. Miał takie rączki połamane trochę. Palcy krzywy.

Cyganie krzyczą jeden przez drugiego. Ktoś rwie się do bójki. Poruczniko chce przyprowadzić obcego. Prędzej stół zjedzą, niż takiemu zaufają.

Sprawę rozstrzygnął Dyżko: skoro Poruczniko jest swój, to i jego bratanek też. Niech przyjeżdżają. Trzeba tylko uważać i nie palnąć jakiegoś głupstwa. O wschodzie słońca zwiną obóz, jak planowali. Dla Poruczniko na rozstaju dróg zostawią śperę, cygański drogowskaz: miotłę przyczepioną do słupa telegraficznego, nadłamane patyki, kłębek ze słomy albo kość z nacięciami. Gadzie tego nie ruszą, boją się uruku i „czarciego nasienia”. A ten, kto się zna, nie przeoczy.

Papusza napisała do Czarneckiego list.

2 sierpnia 1949 roku

Pana list otrzymali za który dziękuję panu. [...] Więc proszę niebrać ze sobą namiotu bo dla panów znajdzie się [...] miejsce.

*
Tabor stał pod wskazanym adresem: na polanie, nad brzegiem leśnego jeziora. Pierwszy do obozu wszedł Poruczniko. Łysiejący, w znośnym ubraniu. Pół kroku za nim młody chłopak. Na wyłogach marynarki duży, biały kołnierz koszuli. Na głowie czarny beret z antenką. Jerzy Ficowski. Poeta. Miał dwadzieścia pięć lat. Przywitał się. Może nawet po cygańsku. Uczył się od warszawskich Cyganek. Przychodziły do Ogrodu Saskiego. Ficowski płacił im, a one śpiewały. Zapisywał każde nowe słowo. Pytał, co to znaczy, ale nie chciały powiedzieć. Czasem tylko jakiś dzieciak zdradził coś za słodycze.

Cyganie przyjęli ich po królewsku. Była muzyka, tańce i barszcz zakwaszony świeżymi wiśniami.

Kieliszek krążył wśród mężczyzn.

Piją pierwszy:

– Za Poruczniko.

Drugi:

– Za poetę.

Przy dziesiątym dali Ficowskiemu bęben i kazali grać.

*
Papusza nie znała dotąd żadnego poety i zwyczajnie Ficowskiego czasem ją zaskakiwały. „Pisze i nie patrzy na kartkę?”, zachwycała się cichutko. Notował wieczorne opowieści: bajki, nowe słowa, co dzia-

ło się z taborem na Wołyniu. Zbierał informacje o Zagładzie. Tak zresztą poznał Czarneckiego. Posłał listy do gazet. Prosił o kontakt wszystkich, którzy byli świadkami mordów na Cyganach. Odezwał się Poruczniko.

To było krótko po tym, jak Ficowskiego wypuściła bezpieka. Z listu znalezionej po jego śmierci: „Dnia 3 maja 1948 r. wieczorem zostałem wyciągnięty z kolejki elektrycznej EKD we Włochach, gdzie mieszkałem, przez dwóch cywilów i odprowadzony do pobliskiej (za przejazdem kolejowym PKP) szarej willi, gdzie trzymano mnie przez kilka dni i nocy w piwnicy ze stojącą wodą i szczurami. Co najmniej kilka razy w ciągu każdej nocy i równie często w ciągu dnia wyprowadzano mnie na przesłuchania. Było to UB lub informacja wojskowa. Przesłuchiwali mnie cywile, nie sypiałem. Grozili, że zginę na miejscu (bawił się jeden z nich pistoletem...) lub zginę w więzieniu, ale wprawdzie przyznam. Wmawiali mi powojenną konspirację i żądali podania pseudonimu (nie konspirowałem po powrocie z niemieckiego obozu w 1945 r.). Zaprzeczenia moje spotykały się z pogroźkami i zapowiedziami, że już rodziny nie zobaczę i że mają sposoby, abym zaczął „śpiewać”. Po Pawiaku (1943), powstaniu i obozach w Niemczech (1944–45), a także m.in. po cudem unikniętym rozstrzelaniu przez SS we wrześniu 1944 r. po kapitulacji Mokotowa – byłem rozbity nerwowo. Losy moich towarzyszy broni (zsyłki do ZSRR, obozy, gułag) nie były mi nieznane. Miałem podzielić ich los. Kolejnego dnia okazało się, że żądają ode mnie usług agenturalnych. Moje – dość prymitywne – oświadczenia, że oczywiście moim obowiązkiem obywatelskim jest np. wezwanie milicji, gdy dostrzegę złodzieja czy bandytę, i nie ma potrzeby w tym celu podejmować specjalnych zobowiązań – przyjmowano z irytacją i wyjaśnieniem, zgorznięciem, że nie o to chodzi, że chodzi o wrogów Polski Ludowej. Kolejnego (trzeciego lub czwartego) dnia, a raczej nocy oświadczone mi, że zostaną przekazany władzom radzieckim w celu „ukarania” lub – jeśli taka zapadnie decyzja – poddany zostanie „śledztwu”. Podsunięto mi papier i dyktowano. Drugi cywil siedział, milcząc, z dłonią na pistolecie leżącym na biurku.

Pisałem jakiś tekst, że będę zobowiązany do przekazania wszelkich znanych mi wiadomości o „antypolskich knowaniach”. Podyktowali mi pseudonim „Jerzyk” czy „Jeżak” lub „Jerzak”. Kazali się podpisać. Mogłem wybrać opór, czyli – spełnienie pogroźek. Postanowiłem, że jeśli mnie wypuszczą, ucieknę”. Czarnecki zaproponował Ficowskiemu schronienie u Cyganów. Są nieufni, więc wymyślił, że przedstawi go jako bratanka.

*
Ficowski szybko uczył się taborowego życia. Każdy niedopałek papierosa (a dużo palił) starannie wdeptywał w ziemię i przysypywał piaskiem. Wiedział, że „ogień trzeba trzymać w lesie uwiązany jak psa. Trzeba gasić ogniska na dobranoc. Nie czekać, aż deszcz to zrobi”. Bawił się z dziećmi: wlewał sobie wodę z butelki do ucha i wypuszczał ustami.

Tarzan nie odstępował go na krok. Dyżko ogrywał w karty. Papusza przez pierwsze dni trzymała się z daleka. Przyglądała się z ukrycia, jak Ficowski każdego dnia wsuwał lustro pomiędzy gałęzie. Ostrzył brzytwę na obręczy koła. Potem wyrwał włos z głowy. Trzymał

w dwóch palcach. I w powietrzu, pod światło, ciął. Golił się, znów mydlił i znów golił. A krew tamował czymś jakby kryształ.

Przeszukała mu torbę. Kilka ołówków, pióro. Notes. Nic ciekawego. Jedynie tomik jego wierszy Ołowiani żołnierze (wydał w 1948 roku) kartkowała długo.

On nie raz słyszy, jak Papusza śpiewała. W lesie. Jak pięknie ogień błyszczący. Jak konie z tupotem jadą. Jak Cyganie śpią.

Dyżko karciał ją wtedy: „Co tak śpiewasz do drzew jak dziecko?”

Cyganie zaczęli ufać Ficowskiemu. A kiedy dowiedzieli się, że ucieka przed bezpieką, szanowali go jeszcze bardziej.

Prosilili nawet, żeby fałszował książeczki dla koni („Skoro sam książki pisze”). Bo w taborach wszystko kręciło się wokół nich. A bez książeczki konia się nie sprzedaje. To jak rejestracja dla samochodu. Wszystko w niej jest: maść, wiek, skąd się koń wziął. Nie zawsze był przecież kupiony. Ficowski nigdy się nie przyznał, czy spełnił prośbę Cyganów. Za to Czarnecki z dumą opowiadał, jak strugał z drewna urzędowe pieczętki.

No i niejednego konia odmłodził. Bo każdego się da. Siwą sierść wokół oczu można pomalować henną, kopyta zamoczyć w gęstej oliwie lub roztopionym łożu, grzywę i ogon przyciąć jak u młodego. Obowiązkowo spłować zęby. Jeśli koń był za chudy, Cyganie kilka dni przed targiem dosypywali mu do karmy niegaszonego wapna. (Zdychał później, ale już w rękach nowego właściciela). Gdy kulał na przednią nogę, ranili go w prawą. Bolały go dwie, więc przez pewien czas nie kulał wcale.

Jeśli koń był narowisty, poili go denaturatem. Spokojniał po dwustu gramach.

Polacy na jarmarkach niegłupi, znali te triki. Ale ten albo tamten dawał się oszukać.

Cygan na koniach zawsze zarobi.

*

Wieczorami siadali obok namiotu Ficowskiego. Papusza, Dyżko, Czarnecki. Kilku Cyganów kładło się na ziemi, podpierając na łokciu. Porucznik opowiadał historię

o ślepych ukraińskich lirnikach, o królach dziadów prozalnych. O tym, jak tułali się z wioski do wioski, prosząc o miskę zupy albo kawałek chleba. Nikt im nie odmawiał. Wierzono, że mają „chody” u Najwyższego.

Tamtego wieczora (był już ze dwa tygodnie w taborze) Jerzy Ficowski recytował wiersze. Tłumaczył, jak się je pisze. I skąd się biorą.

Nagle odezwał się Taniu, brat Dyżka:

– Panie! To my mamy taką poetkę w taborze. – Wskazał Papuszę. – Jak ona pięknie układa z głowy pieśni, to świat jest mały przed nimi.

– Jakie tam pieśni! Ja słyszałam, że syreny układają pieśni, nie ludzie. To może ja jestem syrena z lasu?

Dyżko zagrał na harfie. Kobiety nuciły. Stare cygańskie śpiewki. O wozach i kołach skrzypiących w czasie jazdy. Znów odezwała się Papusza:

– Ja bardzo lubię, jak śpiewają koła, kiedy jedziemy, i jak deszcz stuka w budę, kiedy nie śpię. To jest moja muzyka i czasem same słowa się mi układają do niej... Czasem, jak lepiej jechać czemuś tam po cichu, to się osie smaruje. Nie mielimy czym, to się grzybami smarowało, tymi maślaczkami, i już koło się kręciło jak oniemiało.

Moja piosenka to jest cicha łza. Ja śpiewam sobie, nie komuś. Ze mną od dziecka coś było nie tak. Bałam się, bo nie wiedziałam co, skąd się takie słowa biorą, kto nauczył mnie. My mówimy „liść”, „ptak”, „trawa”, a czy to prawda, co mówimy? Może to Bóg sprawił, że my się do takiego mówienia umówili?

Ficowski powiedział do Dyżka:

– Pan ma żonę poetkę.

Cyganie zaczęli się śmiać.

– I teraz się śmieją – mówi Papusza. – „A co to jest, panie – ta poetka?”, pytałam wtedy. Ja nawet nie wiedziała.

Naprawdę nie. I do dziś dobrze nie wiem.

*

Kończył się sierpień, kiedy Ficowski odjeżdżał.

Pytał Papuszę, gdzie są jej piosenki.

– Zaśpiewały i jak ptaki poleciały.

Prosił, żeby je schwyciła, zapisała i przysłała do Warszawy. Obiecała: napisze. Może już niedługo.



© Dorota Gawryszewska

ANGELIKA KUŹNIAK (1974, Polen) – Autorin der biographisch-literarischen Reportagen *Marlene* (Verlag Czarne 2009) und *Papusza* (Verlag Czarne 2013), Mitautorin von zwei Reportagen, die in dem zum polnischen NIKE-Literaturpreis 2008 nominierten Band von Włodzimierz Nowak *Obwód głowy* (dt.: Die Nacht von Wildenhagen) erschienen. Dreimal mit dem polnischen Journalistenpreis Grand Press ausgezeichnet und mehrmals für den Deutsch-Polnischen Journalistenpreis nominiert. Für ein Gespräch mit Herta Müller erhielt sie 2010 den Barbara-Łopieńska-Preis für das beste Presse-Interview.

ANGELIKA KUŹNIAK (1974, Polska) – autorka opowieści reporterskich *Marlene* (Wydawnictwo Czarne 2009) i *Papusza* (Wydawnictwo Czarne 2013) oraz współautorka dwóch reportaży zamieszczonych w nominowanym do Nagrody Literackiej NIKE 2008 tomie Włodzimierza Nowaka *Obwód głowy*. Trzykrotnie uhonorowana nagrodą Grand Press, kilkakrotnie nominowana do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej. Za wywiad z Hertą Müller otrzymała w 2010 roku Nagrodę im. Barbary Łopieńskiej.



© Ania Jaworska-Kruk

БАЎМЕ ДРЭВЫ

Die Bäume vor meinem Fenster, Espen und eine Kirschkpflaume, gehören nicht zu den edelsten Arten, und doch ist es schön, dass sie da sind. Die Espen verbergen meinen Balkon vor fremden Blicken aus dem Haus gegenüber und schützen vor Staub, ihre Blätter spenden bei Hitze Schatten, erfrischen morgens die Luft und beruhigen mich nachts mit ihrem Rauschen. Die Kirschkpflaume ist erst in diesem Jahr über mein Fensterbrett hinausgewachsen, mit der Hand konnte ich ihre Blüten berühren, selbst mit der Nase kam ich heran. Inzwischen haben sich

kleine, grüne Fruchtknoten gebildet. In den Espen haben sich kürzlich erste Parasiten eingestekt, sie werden von Spatzen und Meisen gejagt, die zwitschern und tschilpen vom frühesten Morgen bis in den späten Abend hinein – danach bleibt nur die relative Stille der Stadt und grünliches Licht, das durchs Blätterdach schimmert.

Von Zeit zu Zeit lassen die Behörden die Espen und die Kirschkpflaume herunterschneiden. Weggeschnitten wird dabei, wie ich finde, das Beste, was es vor meinem

Fenster überhaupt gibt: grünes, duftendes Laub, der Schatten in der Hitze des Sommers, die Vögel, die Blüten und später die Früchte der Kirschkpflaume. Gestutzt werden die Bäume, weil die Nachbarin aus dem Erdgeschoss zu wenig Licht bekommt, obwohl ihre Fenster gar nicht unter der Espe, sondern seitlich, etwas weiter entfernt davon sind. Sie schreibt Beschwerden und erfährt darauf, dass es ohne ein Schreiben vom Gesundheitsamt zwar nicht ginge, dass die Bäume aber laut irgendwelchen Verordnungen heruntergeschnitten würden, wenn sie zu dicht an die Fenster heranreichen und zu hoch werden. Eine Woche nach dem Schnitt sprießen dann an die zwanzig neue Triebe aus dem Stumpf, die mit jedem Jahr einen Meter in die Höhe wachsen, manchmal sogar noch mehr.

Mit der Kirschkpflaume ist es nicht anders, nur dass sie auch ohne Beschwerden beschnitten wird, weil sie bis ans Fundament heranwächst, was ebenfalls gegen irgendeine Bestimmung verstößt. Deshalb wird die Kirschkpflaume viel häufiger beschnitten, aber auch sie treibt immer wieder aus, und man könnte meinen, sie wüchse mit jedem Mal schneller – oder ist es nur meine Zeit, die inzwischen schneller verläuft? Wie dem auch sei, die Kirschkpflaume lässt sich nicht unterkriegen. Bei meiner Mutter im Dorf dagegen wurden keine Kirschkpflaumen, sondern ganze Alleen gewaltiger Linden geköpft, jede von ihnen zwei Umarmungen stark. Ungewöhnlich langgezogen ist das Dorf, auf drei Kilometern erstreckt es sich entlang des alten *Katharinenwegs*, die Bäume dort waren an die zweihundert Jahre alt. Wie durch einen Tunnel fuhr man durchs Dorf, und nur die Bienen summten und die Störche klapperten in ihren Nestern.

Inzwischen sieht man kaum noch Storchenpaare im Dorf, mit dem Abholzen der Bäume haben die Vögel ihr Zuhause verloren. Die Dorfbewohner wollten die Bäume nicht fallen lassen, obwohl nach jedem Gewitter irgendwo ein Ast abgerissen oder eine ganze Baumhälfte weggebrochen war – Linden sind oft stark ausgehöhlt, und manche Löcher sind so gewaltig, dass nicht nur Fledermäuse, sondern auch Menschen hineinpassen. Jedenfalls tauchten bald irgendwelche Chefs von den Stromnetzen im Dorf auf, um die Bewohner zu bitten, einzuschüchtern, zu überreden: Lasst uns alle Bäume fällen, sie zerreißen uns die Stromleitungen und die Reparaturen kosten zu viel. Aber die Leute wollten nicht, und so zog sich das mehrere Jahre hin, bis der Dorfvorsteher sagte: Wenn ein Baum auf irgendein Haus stürzt, könnt ihr keine Hilfe von mir erwarten, neuen Dachschiefer bekommt ihr auch nicht. Daraufhin dachten die Leute im Dorf gut nach, spuckten aus und willigten ein: Sollten sie doch die Bäume fällen.

Es ist ungemütlich und leer geworden bei meiner Mutter im Dorf: „Kasachstan“ sagen die Menschen dort. Doch sie wären keine Belarussen, würden sie anstelle der mit ihrem Einverständnis gefällten Bäume nicht selbst wieder neue pflanzen. Und so stehen da nun kleine, zierliche junge Linden, an Stöcke gebunden – in gut 20 Jahren werden sie zu anständigen Bäumen herangewachsen sein. Im Hof meines fünfstöckigen Elternhauses dagegen, im Stadtteil Kamaroŭka, wo meine Kindheit verlief, sind die Bäume längst über vierzig Jahre alt. Gemeinsam hatten die Hausbewohner sie gepflanzt und sich später abwechselnd um sie gekümmert. Inzwischen gibt es viele

edle Arten dort: Ahorn, Akazien, Kastanien, Eschen, Eichen; die interessantesten Bäume aber, Bäume mit Geschichte, sind eine alte Birke und eine Weißbuche. Die Birke war der einzige Baum, der schon da war, als wir einzogen. Darunter stand ein altes Holzhaus, und der Mann, dem es gehörte, wollte es nicht aufgeben, obwohl er in unserem Fünfgeschosser eine Wohnung erhalten hatte. Er zog auch nicht aus, über ein Jahr lang hielt er durch. Dann wurde sein Haus abgerissen, seine Birke aber verteidigte er mit dem Messer in der Hand. Und rettete sie. Sie steht immer noch dort, während er längst nicht mehr am Leben ist. Mit der Weißbuche hat es eine andere Bewandnis. Sie war von allein aus einem Baumstumpf getrieben, der gewaltig, vielleicht zweihundert Jahre alt, und so groß war, dass wir als Kinder darauf Panzerfahrer spielen konnten. So stand er da, wurde schwarz, morsch, bis er auf einmal wieder ausschlug und ein Dutzend neue Triebe brachte. Inzwischen ist nichts mehr von dem Stumpf übrig, die neue Weißbuche steht heute an seinem Platz, ebenmäßig und stark.

In Minsk gibt es nicht allzu viele hundertjährige Bäume, und diejenigen, die es gibt, werden nicht extra in Listen geführt und haben auch keinen besonderen Status. Und obwohl jeder weiß oder zumindest ahnt, dass sie lebendige Geschichte sind, Naturdenkmäler oder einfach nur schön, verschwinden ständig alte Bäume aus der Landschaft der Stadt. Verschwunden sind die prächtigen alten Linden von der Straße der Revolution, von einem ganzen Ensemble uralter Weißbuchen am Schloss der Vaŭkovičy sind nur wenige übriggeblieben, gefällt wurde auch der mächtige Riesenahorn an der Kirche des Hl. Joseph. Die Eichen in Hrušaŭka werden ebenso abgeholzt. So geht das überall in Belarus. Bisweilen fühlt man sich an Szenen aus dem *Herr der Ringe* erinnert, wo das Böse in verschiedener Gestalt grundlos und wie besessen nichts anderes tut: Es zerstört Bäume.

Der berühmte Fotograf Jan Bułhak, der eigentlich für sich betrachtet werden könnte und sollte, schreibt in seinen Memoiren *Land der Kindheitsjahre* viel und detailliert über das traditionelle Verständnis des *Schönen* in seiner Heimatregion Navahrudak – beim Kleinaldel, dem er entstammte, aber auch bei den Bauern. Erwähnung verdient, dass sich die Interpretation des *Schönen* in diesen unterschiedlichen sozialen Schichten im Grunde nicht allzu sehr voneinander unterschied: „Das traditionelle Haus der Belarussen ist in das natürliche Umfeld integriert.“ Über das Haus der Adelsfamilien schreibt Bułhak (ich zitiere aus dem Gedächtnis): „Das traditionelle Haus der Szlachta – das ist Würde, Bescheidenheit und Einheit mit der Natur.“

Ohne Eile, in aller Ausführlichkeit geht Bułhak auf das Bauernhaus ein, und den Raum, der es umgibt, weshalb ich mir eine eigene Interpretation gestatte: Die Lieblingsblumen des belarussischen Bauern sind seine Bäume. Edle, große Bäume: Eiche, Ahorn, Linde, Weißbuche, Ulme, Lärche, seltener auch Eberesche, Schneeball und Birke. Die Bäume auf dem eigenen Hof wurden nie gefällt, schufen (und schaffen) sie doch mit ihrer Anwesenheit ein Band zwischen Nachfahren und Vorfahren, zwischen der gesamten Familie und dem Kosmos: Erde, Himmel und Universum. Betrachtet man ein belarussisches



Dorf aus der Ferne, erahnt man gleich, wo es am ältesten ist: dort, wo die höchsten Bäume stehen.

Bäume auf dem Hof und entlang der Wege sind aus der traditionellen belarussischen Landschaft nicht wegzudenken. In beiden Fällen durchbrechen sie vertikal die Einförmigkeit der Landschaft, geben ihr Konturen und organisieren den Raum. Um sich herum (und unter sich) „versammeln“ die Bäume des Anwesens gleichsam Haus, Wirtschaftsgebäude und Hof, sie bilden die räumliche Dominante und lenken den Blick auf sich. Sie setzen Größenmaßstäbe: Die Gebäude daneben sehen kleiner aus, als sie tatsächlich sind – sie mögen ein integraler Bestandteil der Landschaft sein, ihr wichtigstes Element sind sie nicht. Der Wohnraum des Menschen rivalisiert nicht mit der Natur, er verschmilzt vielmehr mit ihr.

Im Grunde verkörpern diese Kompositionen eines der



У мяне за вакном растуць дрэвы: з аднаго боку асіны, з другога алыча, – не самыя лепшыя гатункі, а ўсё адно прыемна. Асіны засланяюць мой балкон ад позіркаў з дома насупраць і пылу; іх лісце кідае цень у спёку, дадае свежага паветра ранкам і шолахам супакойвае ўначы. Алыча толькі сёлета падрасла вышэй за падваконнік, і да яе кветак можна было не толькі дацягнуцца рукой, але і носам. Цяпер там ўжо маленькія зялёныя завязі ягад. А на асінах нядаўна з’явіліся першыя паразіты, за імі палююць вераб’і і сініцы, яны чыгрыкаюць і папісваюць, пачынаючы ад самае ранняе раніцы і да гадзіны дванаццатай, потым толькі ўмоўна гарадская ціша і зялёнае, праз лістоту святло.

Час ад часу асіну і алычу спілоўваюць камунальнікі. Як па мне, дык яны спілоўваюць лепшае, што ёсць і што можа быць за маім вакном: зялёнае пахучае лісце, цень ў летнюю спёку, птушак, і кветкі алычы разам з будучымі пладамі. Спілоўваюць таму, што суседцы з першага паверхі, вокны якой нават не пад асінай, а крыху далей, збоку, замала святла. Яна піша заяўкі, ёй адказваюць, што не маюць права без ліста ад санэпідэма, але, калі дрэва дараствае заблізка да вокнаў і робіцца завысокім, то яго паводле нейкіх нарматываў спілоўваюць. І тады, праз тыдзень вакол камля спілаванага дрэва з’яўляецца штук дваццаць ягоных атожылкаў, якія за год вырастаюць на метр, а то і болей.

З алычой тое самае, толькі пілююць яе проста так, без заяўкі, бо расце яна ўпрытык да падмурка, а гэта нейкае нечага там парушэнне. Таму алычу пілююць значна часцей, але і яна кожнага разу хутка прарастае наноў, і такое ўражанне, што кожнага разу яна падрастае ўсё больш інтэнсіўнымі тэмпамі, ці то проста мой час пачаў прыспешвацца. Так ці інакш, алыча дае сабе рады, а вось у мамы на вёсцы не алычу спілавалі, а прысады з магутных ліпаў, кожная ў два абхваты. Вёска нетыпова доўгая, на тры кіламетры,

Modelle unserer Auffassung von Harmonie und räumlicher Eintracht. So sehen in unserer Tradition *Ordnung* und *Schönheit* aus. Was übrigens keine ausschließlich belarussische Harmonie des Raumes ist; mit kleineren Variationen ist sie für mehr oder weniger alle „Waldvölker“ Europas charakteristisch.

Eigentlich sollte dieses Gefühl für das Schöne Teil unseres kollektiven Unterbewusstseins sein, doch immer öfter erinnern unsere Landschaften an eine weite offene Steppe, in der es immer weniger Bäume gibt, und immer öfter wollen wir Sonne statt Blattwerk und Schatten. Wir beginnen, in einer anderen, einer fremden Landschaft zu leben und uns daran zu gewöhnen. Und unsere Kinder werden diese Landschaft lieben. Oder bestenfalls fragen: „Wozu habt ihr das alles abgeholt?“

[Übersetzung: Steffen Beilich]

стаіць уздоўж старога Кацярынінскага тракту, і дрэвы там былі такія ж старыя, гадоў па дзвесце. Ехалася праз вёску, як у тунэлі, толькі пчолы гудзелі і буслы ў буслынях клекаталі.

Цяпер іх толькі некалькі параў на ўсю вёску засталася, не хочуць яны там жыць, пасля таго як дрэвы спілавалі. Людзі не давалі дрэвы пілаваць, хаця пасля кожнай навалніцы, то сук абломіцца, то палова дрэва, – ліпы ж дуплістыя вельмі, часам такое дупло бывае, што не толькі кажан, але і чалавек змесціцца. І вось пачалі да іх на вёску начальнікі з электрасетак ездзіць, прасіць, палохаць, угаворваць: давайце мы ўсе дрэвы спілуем, бо нам лініі перадач рве, і надта дорага рамантаваць пасля. А людзі не пагаджаліся, і так некалькі гадоў цягнулася, пакуль старшыня не сказаў: калі дрэва на хату якую заваліцца, то дапамагаць не буду і шыферу не дам. Людзі тады падумалі добра, плынулі і пагадзіліся: хай ужо пілююць.

Цяпер на мамай вёсцы няўтульна і пуста: “Казахстан”, як гавораць мясцовыя. Але не былі б то беларусы, каб замест спілаваных з уласнай згоды дрэваў не пасадзілі сваімі ж рукамі новыя. Стаяць там цяпер кволя маладзенькія ліпкі, да кіёчкаў падвязаныя, гадоў праз 20 будуць з іх акуратныя ліпы. А вось на падворку бацькоўскага пяціпавярховіка, што на Камароўцы, там, дзе прайшло маё дзяцінства, дрэвам ужо гадоў пад сорок з хвосцікам. Іх талакою саджалі і потым па чарзе даглядалі жыхары дома. Цяпер там шмат розных шляхетных гатункаў: клён, акацыя, каштан, ясьень, дуб, але самыя цікавыя, з гісторыяй, – гэта старая бяроза і граб.

Бяроза была адзіным дрэвам, якое там расло, калі мы засяліліся. Пад бярозай стаяў стары драўляны дом, гаспадар якога не хацеў са свайго дома з’язджаць, хаця атрымаў кватэру ў нашым пяціпавярховіку. І не з’язджаў, пратрымаўшы год з гакам. Потым дом знеслі, а бярозу сваю ён выйшаў з нажом рата-

ваць. І уратаваў. Расце ягоная бяроза, а яго самога даўно няма на гэтым свеце. З грабам іншая гісторыя: ён сам з камля вырас. Быў пень аграмадны, гадоў мо на дзвесце, такі, што мы на ім у танкістаў гулялі. Ён стаяў, чарнеў, тухлеў, а потым раптам стрэліў тузінам парасткаў і яны пачалі расці. Зараз ад пня ані следу не засталася, а новы граб стаіць на ягоным месцы, зграбны такі і моцны.

У Менску не так шмат векавых дрэваў, а тыя, што ёсць, аніякім адмысловым спісам не ўлічаны і спецыяльнага статусу не маюць. І хаця ўсе ведаюць, альбо прынамсі здагадваюцца, што гэта жывая гісторыя, помнік прыроды і проста прыгожа, старыя дрэвы няўхільна знікаюць з гарадскога краявіду. Зніклі раскошныя старыя ліпы на Рэвалюцыйнай, ад цэлай групы старасвецкіх грабаў ля сядзібы Ваньковіча толькі пару штук засталася, спілаваны магутны волат-клён ля касцёла святога Язэпа. Пілююцца дубы на Грушаўцы. І так па ўсёй Беларусі. Часам гэта нагадвае сцэны з Уладара Пярсцёнкаў, дзе Зло ў розных іпастасях беспрычынна і апантана займаецца тым жа – нішчыць дрэвы.

Ян Булгак, славуты фатограф, пра якога можна і трэба пісаць асобна, ў кнізе мемуараў “Край Дзіцячых гадоў” шмат і падрабязна піша пра традыцыйнае разуменне “прыгожага” на роднай Наваградчыне, як у шляхецкім асяродку, з якога паходзіў, гэтак і сярод сялянаў. Варта адзначыць, што трактоўка прыгожага ў гэтых розных сацыяльных групах не надта розніцца ў галюўным: “традыцыйны Беларускі дом інтэраваны ў прыроднае асяроддзе”. Вось што Булгак кажа пра дом нобіляў (цытую па памяці): “традыцыйны шляхецкі дом – гэта годнасць, сціпласць і аднасць з прыродай”.

Пра дом сялянскі і прастору вакол яго Булгак разважае нетаропка і шматслоўна, таму дазволю сабе аўтарскую інтэрпрэтацыю: любімыя кветкі беларуска-

га селяніна – гэта дрэвы. Прычым дрэвы шляхетныя, дужыя: дуб, клён, ліпа, граб, вяз, лістоўніца; радзей гэта магла быць арабіна, каліна, бяроза. Свае прысядзібныя дрэвы ніколі не пілаваліся, яны звязвалі (і звязваюць) сваёй прысутнасцю нашчадкаў і продкаў, а ўвесь род з космасам – зямлэй, небам і Сусветам. Калі глянуць на беларускую вёску здалёк, то можна адразу дагадацца, дзе яе найстарэйшая частка, – яна там, дзе вышэйшыя дрэвы.

Прысядзібныя і прыдарожныя дрэвы – неад’емная частка традыцыйнага беларускага краявіду. У абодвух выпадках яны разбіваюць аднастайнасць ландшафту вертыкальнымі аб’ёмамі, надаючы яму сілуэтнасць і арганізуючы прастору. Прысядзібныя дрэвы як бы “збіраюць” вакол сябе (і пад сабой) дом, гаспадарчыя пабудовы і падворак; яны – прасторавага дамінанта, прывязка. Апроч гэтага, дрэвы задаюць маштаб, і будынкі побач з імі выглядаюць меншымі, чым ёсць на самой справе, пабудовы з’яўляюцца інтэраванай часткай краявіду, а не яго галюўным элементам. Чалавечае жытло не спрачаецца, а спалучаецца з прыродай.

Па вялікім рахунку, гэтыя кампазіцыйныя прыёмы ўвасабляюць адну з мадэляў нашага разумення гармоніі і прасторавага ладу. Так у нашай традыцыі выглядаюць “парадак” і “прыгажосць”. Зрэшты, гэта не выключна беларускі прасторава лад; з нязначнымі варыяцыямі, ён больш ці менш уласцівы для ўсіх “лясных” народаў Еўропы. Па ідэі, гэтае адчуванне прыгожага павінна сядзецца ў нашай калектыўнай падсвядомасці, аднак усё болей наш краявід нагадвае адкрыты наскрозь стэп, усё меней у ім дрэваў, усё болей нам хочацца сонца замест лістоты і ценю. Мы пачынаем жыць у іншым, чужым краявідзе і звыкаем з ім. А нашыя дзеці будуць гэты краявід любіць. Ці ў найлепшым выпадку, зададуцца пытаннем: «А нафіга было пілаваць?»

MICHAŁ ANIEMPADYSTAŹ (1964, Belarus) – Designer, Grafiker, Fotograf, Dichter, Übersetzer und Publizist. Mitglied des Belarussischen Designer-Verbandes, seit 2011 auch Vorstandsmitglied, Mitglied des Belarussischen P.E.N.-Clubs. Arbeiten im Bereich der angewandten Grafik, Illustration, Plakatkunst und Fotografie. Mitwirkung an verschiedenen Gemeinschafts- und Einzelausstellungen in Belarus und im Ausland. Rockpoet der 1990er Jahre. Lieferte die Idee und Texte zum Kult-Musikprojekt „Narodny album“ (1997), Michał AniempadystaŹs Texte werden von Bands wie Novaje Nieba, N.R.M. und IQ48 vertont. Bücher: *Atekstacyi*. PaetŹychny zbornik, Minsk, Kowtscheg 1998; *Narodny Album*, Szenarium, Białystok, Kartki 2000; *Narodny Album*, Drama (gemeinsam mit Lavon Volski), Minsk, Medisont 2008; *Hlyboka-hlyboka, na dne filizanki kavy* (“Tief, ganz tief am Boden einer Kaffeetasse”) Minsk, ŁohvinaŹ 2013.

Kontakt: vierszalin@gmail.com

МІХАЛ АНЕМПАДЫСТАЎ (1964, Беларусь) – дызайнэр, графік, фатограф, паэт, перакладчык і публіцыст. Сябра Беларускага Саюза Дызайнераў, а з 2011 сябра яго праўленьня. Сябра Беларускага ПЭН-клубу. Працуе у жанрах ужыткавай графікі, ілюстрацыі, пляката, фатаграфіі. Удзельнічаў у калектыўных і персанальных выставах за мяжой і на Беларусі. Рокпаэт 90-х. Аўтар ідэі і тэкстаў культавага музычнага праекту «Народны альбом» (1997); песні на вершы Міхала Анемпадыстава выконваюць гурты Новае Неба, N.R.M., IQ48. Аўтар кніг: *Атэкстацыі паэтычны зборнік*. Менск, Ковчег 1998. *Narodny Album*, scenariusz, Biały-stok, Kartki 2000, *Narodny Album*, п’еса (у сааўтарстве з Лявоном Вольскім) Minsk, Medisont 2008, *Глыбока-глыбока, на дне філіжанкі кавы* Менск, Логвінаў, 2013.

Кантакт: vierszalin@gmail.com



Viktar Žybul Віктар Жыбуль

DER HANTELFALL, ODER SCHRUBBER AUF DEN BOCK ШТАНГАЙ ПА НАЗЕ, АЛЬБО НАКРЫЙ КАЗЛА МАТАМ

► *Sportpsychologische Clownade in einem Akt*

PERSONEN:

TRAINER.

SPORTLER: DER NEUE. ZAUSEL. SCHÄDEL. KÄPPI.

PUTZFRAU.

ERSTER SANITÄTER.

ZWEITER SANITÄTER.

ERSTER MILIZIONÄR.

ZWEITER MILIZIONÄR.

Die gesamte Handlung spielt sich in einem Sportklub ab. Die ganze Bühne muss deshalb aber nicht mit Sportgeräten eingerichtet sein. Im Gegenteil, es gibt nichts außer einem Loch, und selbst das ist nicht sehr groß im Durchmesser.

Im Hintergrund eine Wand mit aufgemalten Sportlersilhouetten und zahlreichen sportlichen Losungen, die zu den höchsten Rekorden anspornen. Darüber die Ehrentafel: eine Reihe von Porträts mit der leuchtenden Überschrift „Sie starben gesund“. Die Wand hat zwei Türen, zwischen ihnen steht ein Mineralwasserautomat (noch ist unklar, ob er Wasser enthält oder nicht). Neben der linken Tür ist eine Garderobe, an der ein paar Jacken und Mützen hängen.

In der Bühnenmitte stehen die Sportler Zausel und Schädel einander gegenüber. Zwischen ihnen etwa 3-4 Meter Abstand. Ihre Hände sind leer, doch die Sportler machen mit ernstem Gesichtsausdruck Bewegungen, als spielten sie Tischtennis. Im Hintergrund befestigt Sportler Käppi die abgerissene Sohle seines Turnschuhs mit Draht.

SZENE I

Zausel, Schädel, Käppi.

Käppi (*den Kopf hebend*). Und? Wie steht's?

Zausel (*weitspielend*). Fünf-zwei.

Käppi. Für wen?

Zausel. Für mich, ist doch klar! (*Spielt mit Nachdruck weiter*).

Käppi (*zu Schädel*). Und du, warum verlierst du gegen den?

Zausel. Ha! Dieser Hänfling kann doch nicht mal den Schläger halten.

Schädel. Und selbst?

Zausel. Wie – selbst? Guck doch, wie ich ihn halte, und wie du! Blöde Scheuche! (*Macht abrupt einen Sprung nach vorn*). Sechs - zwei! Ha-ha! Da hast du's!

Schädel (*hebt scheinbar den Ball auf*). Vielleicht halte ich ihn ja wirklich falsch? Egal, das lerne ich schon noch!

Rhythmische Musik erklingt. Einige Minuten setzen Zausel und Schädel ihr Spiel fort, wobei Schädel ständig verliert und nach dem unsichtbaren Ball läuft. Sportler Käppi repariert noch immer seine Turnschuhe.

SZENE II.

Dieselben und der Neue.

Die linke Tür geht auf und der Neue tritt herein, winterlich gekleidet mit Pelzmantel und Sportmütze, und steht unentschlossen beim Eingang herum. Die Sportler beachten ihn nicht und gehen weiter ihren Beschäftigungen nach. Die Musik verstummt.

Zausel (*springt vor Freude*). Neun – zwei! Hurra! Strike!

Schädel stampft vor Wut mit dem Fuß auf und knirscht mit den Zähnen. Der Neue betrachtet die Sportler mit tiefstem Unverständnis, schaut sich fassungslos um und verbirgt sich dann wieder hinter der Tür, die er ungeschickt zuschlagen lässt.

Käppi (*zuckt zusammen, hebt den Kopf*). Was sich hier so rumtreibt!

Zausel. Nicht wahr?... Ha! Zehn - zwei! Yes! Yes! Yes! Super hab ich den besiegt! Wer will als nächster?

Käppi. Ich nicht. Bin beschäftigt.

Zausel. Wer nicht will, der hat schon. Dann spielen wir eben noch mal. (*Begleitet von Musik beginnt er mit Schädel ein neues Spiel, ab und zu den Spielstand ausrufend*).

SZENE III.

Dieselben und die Putzfrau.

Die linke Tür öffnet sich und eine Putzfrau mit Besen führt den verwirrten, schamesroten Neuen herein. Die Musik verstummt.

Putzfrau (*deutet mit dem Besen auf die Sportler*). Bist schon richtig. Du hast dich nicht geirrt. Das hier ist der Sportklub. (*Geht schnell ab, die Tür laut hinter sich zuschlagend.*)

Der Neue schaut den Spielern einige Zeit lang mit hervortretenden Augen und heraushängender Zunge zu. Dann versucht er, die Tür zu öffnen, doch sie gibt nicht nach.

Der Neue (*mit den Fäusten an die Tür trommelnd*). Macht auf! Macht auf! Hallo, ist da wer! Hilfe! (*Nimmt Anlauf und tritt mit dem Fuß gegen die Tür.*) Ich bin hier falsch!

Zausel (*fröhlich*). Vier – eins!

Schädel (*verbissen*). Macht nichts! Ich zeig's dir schon noch!

Der Neue (*sich gegen die Tür werfend*). Sie geht nicht auf! Zum Teufel mit ihr... (*Geht hinüber zum Mineralwasserautomaten und beginnt, auf den Knöpfen herumzudrücken.*) Warum kommt hier nichts?! (*Beginnt mit Händen und Füßen daran zu rütteln.*)

Käppi (*hebt den Kopf*). Was fällt dir ein! Das ist doch keine Tür. Die Tür ist dort (*Zeigend.*)

Der Neue (*nimmt Anlauf*). Nicht doch, ich will doch nur... (*Winselt, als er sich den Fuß schmerzhaft am Wasserautomaten stößt.*)

Käppi. Ah, du suchst die Toilette? Erstens ist die hinter dieser Tür und zweitens schon lange außer Betrieb.

Der Neue. Nein, nicht das, ich will trinken.

Käppi. Hast du was dabei?

Der Neue. Ich will doch nur Wasser...

Käppi. Gibt es nicht. Wurde abgestellt.

Der Neue. Aha, so ist das also... (*Geht ein Stück zurück und tritt unvermittelt mit dem Fuß in ein Loch.*) Oh, was habt ihr denn hier?

Käppi. Siehst du das nicht? Ein Loch.

Der Neue. Und warum habt ihr da ein Loch?

Käppi. Siehst du das nicht? Der Fußboden ist vergammelt, also ist ein Loch entstanden. Jetzt verwenden wir es als Toilette. (*Repariert weiter seine Turnschuhe.*)

Der Neue (*beugt sich vornüber, schnuppert*). Oho! Und ich hab mich schon gewundert, wonach es hier so riecht! So ist das also, weiß Bescheid! (*Tritt näher zu Käppi, schaut sich ängstlich um und fragt im Flüsterton, auf Zausel und Schädel deutend.*) Was machen die denn da?

Käppi (*hebt den Kopf*). Siehst du das etwa nicht?

Der Neue. Nein.

Käppi. Bist du jetzt auch noch blind?

Der Neue. Aber nein. Ich sehe ja alles, aber begreifen kann ich es einfach nicht.

Käppi. So sollte es auch sein. Man kann bei Weitem nicht alles begreifen, was man sehen kann. Also ist es nicht immer Pflicht...

Der Neue. Doch, für mich ist es Pflicht! Ich muss doch wissen, wo ich hier hineingeraten bin.

Käppi. Um das herauszufinden, braucht es ja nicht viel. Wo wolltest du denn hineingeraten?

Der Neue. Wie wohinein? In einen Sportklub.

Käppi. Gut. Und was machen die Leute in einem Sportklub wohl?

Der Neue. Sport treiben, versteht sich!

Käppi. Was machen also diese Leute dort?

Der Neue. Hm... Sie treiben also Sport... Ich verstehe nur nicht, welchen.

Käppi. Sie sind zu zweit. Einer von ihnen gewinnt, einer verliert. Was ist es also?

Der Neue. Ein bisschen erinnert es an Boxen... Aber sie stehen zu weit auseinander... Haben sie denn Angst, näher aufeinander zuzugehen? Und sie rufen immer seltsame Zahlen... Nein, das ist eher ein Spiel.

Käppi. Ja, ein Spiel. Und welches?

Der Neue. Keine Ahnung.

Käppi. Denk doch mal nach. Welche Assoziationen hast du?

Zausel (*zu Käppi*). Nun quäl den Jungen nicht! Tennis spielen wir!

Der Neue (*verwundert*). Tennis? Und wo ist euer Netz?

Zausel. Siehst du denn nicht – es ist doch Tischtennis!

Der Neue. Trotzdem braucht ihr doch ein Netz! Es sollte quer über den Tisch gespannt sein.

Käppi. Nun überleg doch! Bemühe dein logisches Denken! Wie kann man ein Netz über einen Tisch spannen, den es nicht gibt?

Der Neue. Hm... Da ist was dran... Und warum spielt ihr ohne Schläger?

Zausel. Was nützen sie denn? Woran sollen wir schlagen, wenn wir keinen Ball haben?

Der Neue (*scharrt verzweifelt mit den Füßen*). Aber was macht ihr denn dann?

Zausel und Schädel (*im Chor*). Wir spielen Tennis!

Zausel (*zum Neuen*). Spielst du mit?

Der Neue. Ich kann das nicht.

Zausel. Macht nichts. Wir bringen es dir bei.

Der Neue. Mit Schläger und Ball kann ich wohl spielen, aber so – nicht. Ihr habt recht, ich muss es lernen.

Zausel. Was gibt es da zu lernen? Du musst dir nur Tisch, Schläger und Ball ganz klar vorstellen.

Der Neue. Interessant... Aber so komplett ungewohnt. Warum spielt ihr denn überhaupt so?

Zausel. Stell keine sinnlosen Fragen. Da kommt der Trainer – er wird dir alles erklären – wie, was, warum.

Der Neue (*stampft ungeduldig auf*). Na, diesen Trainer möchte ich mal sehen!

SZENE IV.

Dieselben und der Trainer.

Aus der rechten Tür kommt unvermittelt der Trainer.

Trainer (*zum Neuen*). Sehen willst du mich? Dann sieh. So einer bin ich! Vorderansicht. (*Dreht sich.*) Seitenansicht. (*Kehrt allen den Rücken zu.*) Und die Rückansicht. So, fertig geschaut – reicht! Das fehlte noch, dass ich hier kostenlos Vorstellungen liefere! (*Geht ab, mit der Tür knallend.*)

SZENE V.

Dieselben ohne Trainer.

Der Neue. Schlecht erzogener Typ!

Käppi. Hat dir etwas nicht gefallen? Du hast doch selbst den Wunsch geäußert ihn zu sehen!

Der Neue. Das stimmt: ich habe den Wunsch geäußert ihn zu sehen; habe ihn gesehen; das Gesehene analysiert; die Analyse des Gesehenen laut geäußert. So viel zum Algorithmus meiner Handlungen. Was ist nun daran falsch?

Käppi. Dass man die Älteren respektvoll behandeln soll! Der Neue. Ich werde ihn respektieren, wenn er es verdient! (*Geht nach hinten und tritt wieder mit dem Fuß in das Loch.*)

Käppi (*zum Neuen*). Du machst alles kaputt! Hol doch eine Matte und deck das Loch zu!

Der Neue. Und wo ist diese Matte?

Käppi (*zeigend*). Dort hinten in der Ecke.

Der Neue (*verwundert*). Aber ich sehe gar keine!

Käppi. Du siehst sie nicht? Dann komm, wir ziehen sie gemeinsam her! (*Geht in die Ecke, greift sich eine unsichtbare Matte und tut so, als würde er ziehen. Dreht sich zum Neuen um.*) Hilf mir doch! Fass an der anderen Seite an!

Musik setzt ein. Der Neue fasst scheinbar an der anderen Seite an und beide ziehen die Matte zum Loch und legen sie darüber. Zausel und Schädel spielen nach wie vor Tischtennis. Käppi begutachtet seine reparierten Turnschuhe, zieht sie schließlich an und beginnt, mit unsichtbaren Sportgeräten zu trainieren: springt mit einem unsichtbaren Springseil, hebt unsichtbare Hanteln, dribbelt mit einem unsichtbaren Basketball und wirft Körbe usw. Der Neue legt Mantel, Schal und Mütze ab und hängt sie an die Garderobe. Dann verstummt die Musik.

Der Neue. Oh nein! Ich hab meine Turnschuhe vergessen! Was nun?

Käppi. Macht nichts! Stell dir einfach vor, du hättest Turnschuhe anstelle der Winterstiefel an. Und dann Sport frei...

Der Neue. Aber meine Stiefel sind so schmutzig...

Käppi. Ist es hier etwa sauber?

Der Neue (*begutachtet den Fußboden*). Hm, hast recht...

Zausel (*zum Neuen*). Wirf mal bitte her!

Der Neue. Was werfen?

Zausel. Den Ball. Er ist hinter das Fitnessgerät dort gerollt (*Zeigt.*)

Der Neue (*dreht die Augen hervor*). Hinter welches Fitnessgerät denn? Hier gibt es keine Fitnessgeräte!

Zausel. Ach, ich vergaß: du kennst noch nicht die ganze Ausstattung unseres Sportklubs! Dann hole ich ihn selbst. (*Kriecht mit ausgestrecktem Arm über den Fußboden, schließt dann die Finger, als würde er etwas greifen, und kehrt an seinen Platz zurück.*)

Käppi (*beobachtet den verwirrten Neuen*). Mach dir keine Gedanken. Der Trainer wird dir gleich alles erklären!

Der Neue (*mit Abscheu*). Mir reicht schon, dass er mir erklärt hat, wo bei ihm hinten und wo vorn ist!

Käppi. Und was hast du dabei Interessantes gelernt?

Der Neue. Dass der Hintern bei ihm hinten und die Fresse vorn ist.

Käppi. Denkst du denn, dass es andersherum besser wäre?

Der Neue. Ist mir doch egal! Ich gebe einen Dreck darauf, was bei ihm hinten ist und was vorn! Hauptsache, alles erfüllt die richtige Funktion!

Käppi. Ehrlich gesagt, es kommt schon vor, dass Hintern und Vorn bei ihm die Funktionen tauschen: wenn er nämlich zu viel getrunken hat, kommt er hier immer mit dem Hintern voran herein.

SZENE VI.

Dieselben und der Trainer.

Durch die rechte Tür tritt der Trainer ein, mit dem Hintern voran.

Zausel. Da hast du's. Hat er's wieder übertrieben.

Der Neue (*macht einen entschlossenen Schritt auf den Trainer zu*). Herr Trainer! Ich verlange eine Erklärung!

Trainer (*dreht sich abrupt und macht einen Sprung nach vorn*). Ha-ha-haa! Hab ich euch erwischt! Ich bin ja gar nicht betrunken. Habe heute überhaupt noch keinen Alkohol angerührt... Nur Drogen. Ha-ha-ha! (*Lacht.*)

Der Neue (*noch entschlossener*). Ich verlange eine Erklärung!

Trainer (*betrachtet den Neuen eindringlich*). Und das ist wohl unser neuer Sportler?

Zausel. Ja, genau der.

Trainer. Ein bisschen verrückt. Kaum ist er da, schon trägt er irgendwelche Befindlichkeiten vor.

Der Neue (*streng, jedes Wort betonend*). ICH VERLANGE EINE ERKLÄRUNG!

Trainer. Ich höre. Worum geht es?

Der Neue. Warum wird hier Tischtennis ohne Tisch, Ball und Schläger gespielt? Warum gibt es hier an Sportaustattung nur einen Mineralwasserautomaten, und selbst der funktioniert nicht?

Trainer. Aber das geht dich doch gar nichts an!

Der Neue. Und wen dann?

Trainer. Und mich auch nicht.

Der Neue. Aber wen denn dann?

Trainer. Die, die über uns stehen.

Der Neue. Wie, über uns steht jemand?

Trainer. Natürlich! Und die sind es, diese Hunde, die uns kein Geld für Ausstattung geben. Der Sport ist ja leider Futter für allerlei Diebesgesindel geworden. In einen Hort der Bereicherung und Korruption wurde er verwandelt. Also müssen wir jetzt alles von unserem Geld kaufen.

Der Neue. Aber haben Sie denn Geld?

Trainer. Woher sollte ich denn? Aber ich denke, bald kommt es. Ich will ja ab dem nächsten Monat Gebühren einführen. Heute kümmere ich mich noch um diese Sportler, also um euch, wie sagt man so, Perlen vor die Säue, oder so ähnlich. Also sagt immer schön Danke, dass ich noch nichts dafür verlange. Und erfreut euch an dem, was da ist.

Zausel. Besser gesagt, an dem, was nicht da ist, Herr Trainer.

Trainer. Werd nicht vorlaut, Hosenscheißer!

Der Neue. Ich werde nicht in einem Klub trainieren, in dem es nichts gibt!

Käppi. Aber mit diesem Nichts kann man alles machen!

Der Neue. Euer „Alles“ kann mich mal! (*Spuckt aus.*)

Käppi. Spuck nicht.

Der Neue. Wieso?

Käppi. Weil man nicht spucken darf.

Der Neue. Ich spuck drauf, dass man nicht spucken darf.

Käppi. Und ich spuck drauf, dass du drauf spuckst, dass man nicht spucken darf.

Der Neue. Und ich spuck drauf, dass du drauf spuckst, dass ich drauf spucke, dass man nicht spucken darf.

Käppi. Und ich spuck drauf, dass du drauf spuckst, dass ich drauf spucke, dass du drauf spuckst, dass man nicht spucken darf.

Der Neue. Und ich spuck drauf, dass du drauf spuckst, dass ich drauf spucke spucke spucke spucke...

Trainer (schreit). Zick! Klappe halten! Beide! Jetzt sofort! Ich spuck drauf, dass ihr auf irgendwas spuckt! Wer noch mal so schreit, den werf ich raus!

Die Sportler Käppi und der Neue gehen in entgegengesetzte Ecken davon und setzen sich dort voneinander abgewandt hin. Die anderen beobachten sie schweigend. Nach einiger Zeit wenden Käppi und der Neue einander langsam die Gesichter zu und starren einander an.

Der Neue (unsicher). Vielleicht darf man ja wirklich nicht spucken?

Käppi (gleichgültig). Ich spuck drauf...

Trainer. Jetzt reicht's! Los, wir spielen Fußball!

Der Neue. Aber ich kann das doch nicht!

Trainer. Unmöglich!

Der Neue. Also, ich kann es schon, aber nur mit Ball.

Trainer (spöttisch). Wer hat dich denn zum Spielen aufgefordert? Du wirst unser Schiedsrichter!

Der Neue (erschrocken). Was?! Das hat ja gerade noch gefehlt!

Trainer. Genug gejammert! Sei froh, dass wir nicht Schach spielen!

Der Neue. Nein, nein, nein! Ich will kein Schach, aber auch nicht Schiedsrichter sein! Dann lieber ins Tor!

Trainer. Warum nicht gleich so! Dann bin ich der Schiedsrichter. Und jetzt alle – angetreten, Marsch!

Zausel, Schädel und der Neue stellen sich mit Blick zum Publikum in Reih und Glied auf. Käppi steht am Rand und versucht, eine nicht existierende Hantel zu heben.

Trainer. Richt' euch! (*Die Sportler richten sich*). Weitermachen! Füße zusam-men! Hände an die Sei-te! Rich-tig! Richt' euch! Stillgestan-den! Zu zweien abzäh-len!

Zausel. Eins.

Schädel. Zwei.

Der Neue. Eins. Abzählen beendet.

Trainer. Die Einsen – einen Schritt vor! (*Zausel und der Neue machen einen Schritt nach vorn. Der Trainer schaut aufmerksam nach rechts und nach links*). Mir scheint, Mannschaft eins ist doppelt so groß wie Mannschaft zwei, daher muss die Hälfte der Spieler sie verlassen. Los, schnell!

Zausel und der Neue blicken sich unnachgiebig an, dann machen beide Anstalten loszugehen, kehren aber, als sie sehen, dass der andere dasselbe tut, auf ihre Plätze zurück. In der Ecke ächzt Käppi, als er scheinbar eine Hantel hochhebt. Seine Gesichtszüge zeugen von titanischer Anstrengung. Unvermittelt öffnen sich seine Hände, die Arme fallen abrupt herab und er stürzt mit

wildem Geschrei auf den Boden.

Käppi (schreit). A-a-a! Mein Fuß! Mein Fuuuuuuuuuu! Alle. Was? Was ist passiert?

Käppi. Die Hantel ist mir auf den Fuß gefallen! Aua, au, tut das weh! (*Stöhnend windet er sich auf der Bühne.*)

Trainer. Na, das hatten wir alles schon. Beachten wir ihn nicht. Das Spiel soll beginnen.

Käppi (jammert). Mein Fuß! Ruft die Rettung! Einen Arzt! Einen Arzt!

Trainer (zu den anderen Sportlern). Wegen ihm bin ich schon ganz durcheinander, wer nun in welcher Mannschaft ist! Noch einmal antreten! (*Zausel und Schädel stellen sich auf.*)

Käppi (hysterisch). So helft doch! Oh, mein Fuß! Mein Fuuuu! Ich sterbe!!!

Der Neue. Was steht ihr herum?! Hier stirbt ein Mensch und ihr...

Trainer (ohne ihn zu beachten). Richt' euch! Weitermachen...

Der Neue. Solche seid ihr also! (*Läuft vollkommen außer sich kreuz und quer über die Bühne.*) Einen Arzt! Einen Arzt! Den Rettungswagen!

Käppi. A-a-a! Der Fuuuu! Der Fuuu! Ich sterbe! A-a-a!

Trainer. Richt' euch! Weiterma-chen!.. Richt' euch!

Weiterma-chen!.. Richt' euch! Weiterma-chen!.. (*Zausel und Schädel befolgen unablässig die Kommandos.*)

Der Neue. Einen Arzt! Einen Arzt!

Käppi. Mein Fuß! Mein Fuß!

So geht es einige Zeit weiter: Der Trainer mustert Zausel und Schädel; der Neue, nach dem Arzt rufend, läuft zwischen den beiden Türen hin und her; Käppi wälzt sich stöhnend über die Bühne. Schließlich tritt der Neue mit dem Fuß die linke Tür auf und läuft hinaus.

SZENE VII.

Dieselben ohne den Neuen.

Trainer. Richt' euch!.. Stillgestan-den!.. Zu zweien abzäh-len!

Zausel. Eins.

Schädel. Zwei. Abzählen beendet.

Trainer. Die Einsen treten vor! (*Zausel macht einen Schritt nach vorn.*)

Käppi. Mein armer Fuß! Rettet mich!

Trainer. Nun hat offenbar jede Mannschaft die gleiche Anzahl Spieler. Wir können beginnen... Obwohl... Obwohl ich durch sein Geschrei (*Zeigt auf Käppi.*) schon vergessen habe, was wir eigentlich spielen. Wer sagt es mir?

Zausel. Basketball.

Schädel. Und ich dachte, Wasserball...

SZENE VIII.

Dieselben und die Putzfrau.

Durch die linke Tür kommt die Putzfrau mit einem Schrubber gerannt.

Putzfrau (erschrocken). Was ist hier passiert. Wer braucht Hilfe?

Zausel und Schädel (auf die Putzfrau zeigend). Das ist es, Hockey! Da kommt schon der Schläger!

Trainer. Dann eben Hockey! Hockey spiele ich auch sehr gern gegen mich selbst. Alle antreten! (*Zausel und Schädel nehmen Aufstellung. Käppi kriecht stöhnend in Richtung Tür.*)

Putzfrau (auf Käppi zeigend). Warum macht er nicht mit?

Trainer. Ach, das ist unser Fan. Sehen Sie: das Spiel hat noch gar nicht begonnen, und er schreit schon wie am Spieß! Ich weiß nur nicht, für welche Mannschaft. Na dann, richt' euch! (*Zausel, Schädel und die Putzfrau treten an.*) Weiterma-chen! Richt' euch! Weiterma-chen... (*So geht es einige Male weiter.*) Richt' euch! Stillgestanden! Zu zweien abzäh-len!

Zausel. Eins.

Schädel. Zwei.

Putzfrau (pocht mit dem Schrubber auf den Boden). Drei!

Zausel (flüstert). Nicht drei, sondern eins!

Putzfrau (laut). Nicht drei, sondern eins!

Trainer. Die Einsen treten vor! (*Zausel und die Putzfrau machen einen Schritt nach vorn.*) Lin-ks um! Gleichschritt Marsch! (*Zausel und die Putzfrau gehen los.*) Oho! Wieder ist eine Mannschaft größer! Und wie! Aber was soll's, irgendwie werdet ihr schon spielen..

Schädel. Herr Trainer! Ist das denn gerecht, dass wir für zwei Mannschaften nur einen Schläger haben, und dann noch mit so einem Lumpen dran?

Trainer. Eure Probleme...

Käppi erreicht unter Wehgeschrei die Tür, versucht, sich daran hochzuziehen, doch in diesem Moment fliegt die Tür auf und er landet wieder auf dem Boden.

SZENE IX.

Dieselben, der Neue und zwei Sanitäter.

Durch die linke Tür kommt der Neue herein.

Der Neue (schreit). Hierher! Hierher! Schnell! Schnell!

Zwei Sanitäter kommen mit einer Trage gelaufen, darauf ein weißer Koffer mit einem roten Kreuz.

Käppi (stöhnt). Sanitäter! Sanitäter! Der Fuß! Der Fuß!

Erster Sanitäter. Was ist mit Ihrem Fuß?

Käppi. Die Hantel ist drauf gefallen.

Erster Sanitäter. Welche Hantel? War sie schwer?

Käppi. Na diese dort (*zeigt mit dem Finger auf eine leere Stelle*). Oh-weh-oh-weh! Es tut so weh! So helft mir doch schon!

Zweiter Sanitäter. Wo ist denn nun diese Hantel? Er hat wohl auch noch Halluzinationen! Da tut wirklich schnelle Hilfe not!

Die Sanitäter holen verschiedene medizinische Utensilien aus dem Koffer, legen eine Schiene an Käppis Bein an, verbinden es schnell, legen ihn auf die Trage und bringen ihn hinaus.

Putzfrau (den Sanitätern nachlaufend). Warten Sie doch! Ich begleite Sie! (*Nimmt den Sanitätskoffer und geht ebenfalls. Der Trainer und die Sportler schauen ihr nachdenklich hinterher.*)

SZENE X.

Trainer, Zausel, Schädel, der Neue.

Zausel. Mir scheint, unsere Reihen haben sich gelichtet.

Schädel. So.

Trainer. Macht nichts, großer Sport verlangt seine Opfer. Ich liebe den Sport sehr, er ist meine beste Eigenschaft. Sport ist ja insgesamt eine schwierige Angelegenheit. Er verformt die Menschen, und er formt sie zugleich. Mich zum Beispiel hat der Sport einst ziemlich stark verformt, doch dann hat er mich auch wieder hingeformt. Das war vor langer Zeit, als es in unserem Sportklub noch Bälle und Netze, Geräte und Matten, Gewichte und Hanteln, Pucks und Schläger gab, und auch Hantelstangen... Aber Trainer war ich damals noch nicht...

Der Neue. Aber wo sind denn all die Sachen hin?

Trainer. Keine sinnlosen Fragen mehr! Ich weiß, dass wir hier nicht die Möglichkeit haben, Wettbewerbe in Unterwasserschach oder Moto-Kickboxen auszutragen, doch wie ich das sehe, seid ihr alle, oder fast alle, klug genug, euch in eurer Fantasie jedes beliebige Sportgerät vorzustellen und mit ihm zu trainieren! Also vorwärts, macht, was euch gefällt: Gewichtheben, Baseball, Hula-Hoop, Diskuswerfen, Bockspringen...

Der Neue. Ja, das geht! Einen Bock haben wir! (*Nimmt Anlauf und springt über den Trainer, dem es noch gelingt sich zu ducken.*)

Trainer (sich aufrichtend). Wer?

Der Neue. Wie – wer?

Trainer (wütend). Wer ist der Bock?

Der Neue. Der, der fragt.

Trainer. Na warte, du Rüpel! (*Geht mit geballten Fäusten auf den Neuen los.*) Für den Bock wirst du büßen! Jetzt boxen wir! Tut mir leid, dass es keine Handschuhe gibt, die brauchen wir jetzt auch nicht! (*Beginnt auf den Neuen einzuschlagen, dieser versucht, die Hände des Trainers abzuwehren.*) Nimm das! So! Und das!

Der Neue (versetzt dem Trainer einen Stoß).

Und du, nimm das!

Zausel. Brauchst du vielleicht Hilfe? (*packt den Trainer von hinten, alle drei fallen auf den Boden und raufen dort weiter.*)

Schädel (steht da und beobachtet aufmerksam den Kampf).

Tja... Vielleicht sollte ich mich auch beteiligen! (*Wirft sich in die Menge. Aus dieser sind Rufe zu hören: "A-a-a!", "Hilfe!", "Ich stecke fest!", "Da hast du! Da!", "Siehst du!", "Nimm das!" usw.*)

SZENE XI.

Dieselben sowie Käppi, die Sanitäter, die Putzfrau, Milizionäre.

Durch die linke Tür kommt humpelnd Käppi herein, den linken Fuß im Gips.

Käppi. Hurra! Für das Vaterland! (*Wirft sich in die kämpfende Menge.*)

Die zwei Sanitäter kommen gelaufen, werfen die Tragbahre in die Ecke und stürzen sich ebenfalls in den Kampf. Die Rauferei geht weiter. Alle wälzen sich drunter

und drüber auf dem Boden hin und her; jeder schreit etwas, jammert oder stöhnt.

Trainer. Sie töten mich!
Der Neue. Es lebe die Freiheit!
Schädel. Hurra! Umsturz!
Käppi. Revolution!
Zausel. Oje! Meine Hand ist zerquetscht!

Durch die linke Tür kommt die Putzfrau mit dem Schrubber herein.

Putzfrau. Was ist das für ein Lärm? (*Erblickt die Schläge-*

rei.) Was geht hier vor? Oh, welche Schande! Hört auf zu kämpfen, hört ihr?! (*Läuft zu der Menschentraube hin und drischt mit dem Schrubber darauf ein, egal wen und wohin sie trifft.*) Hooligans! Mörder! Wo ist die Miliz? Miii-liiiiiiz!!!

Sirenen erklingen. Zwei Milizionäre mit Trillerpfeifen und Schlagstöcken kommen gelaufen und stürzen sich ebenfalls in die Menge.

Vorhang

[Übersetzung: Tina Wünschmann]

▶ *Спартыўна-псыхалягічная клаунада ў адной дзеі*

Дзеючыя асобы:

Фізрук.
Спартоўцы: Навічок. Калматы. Стрыжаны. У кепцы.
Прыбіральныхчыца.
Першы санітар.
Другі санітар.
Першы міліцыянт.
Другі міліцыянт.

Уся дзея адбываецца ў спартовым клубе. Гэта, аднак, ня значыць, што ўся сцэна павінна быць застаўлена спартовымі снарадамі. Наадварот, на ёй няма нічога, акрамя адной дзіркі, дый тая ня надта вялікая ў дыямэтры.

А вось на заднім пляне – сцьяна з намаляванымі сілуэтамі спартоўцаў ды рознымі спартовымі лезунгамі, якія заклікаюць імкнуцца да найвышэйшых рэкордаў. Уверсе – дошка гонару: шэраг партрэтаў з яркім надпісам: “Яны памерлі здаровымі”. У сцьяне – двое дзвярэй, а паміж імі стаіць аўтамат з газаванай вадой (хаця шчэ не вядома, ці ёсьць у ім вада, ці не). Побач зь левымі дзвявярыма – вешалка, на якой вісяць некалькі куртак ды шапак. Пасярод сцэны стаяць спартоўцы Калматы й Стрыжаны, адзін насупраць аднаго. Паміж імі – дыстанцыя ў тры-чатыры мэтры. Рукі ў іх пустыя, але спартоўцы з даволі сур’ёзным выглядам робяць рухі, нібыта гуляюць у настольны тэніс. На заднім пляне – спартовец У кепцы прывязвае дротам да красоўкі адарваную падэшву.

ЗЬЯВА I.

Калматы, Стрыжаны, У кепцы.

У кепцы (*падняўшы галаву*). Ну што? Які лік?
Калматы (*працягваючы рухацца*). Пяць: два.
У кепцы. На чыю карысьць?
Калматы. Ну вядома ж, на маю! (*З імпэтам працягвае рухацца*).
У кепцы (*да Стрыжанага*). Ну а ты чаго яму прайграеш?
Калматы. Хе! Ды гэты нягеглік нават ракетку трымаць ня ўмее.

Стрыжаны. А сам?

Калматы. Што – сам? Ты паглядзі, як я трымаю, а як ты! Боўдзіла гарохавае! (*Робіць рэзкі рывок наперад*). Шэсьць: два! Хе-хе! Ну вось бачыш!
Стрыжаны (*робіць выгляд, што падымае шарык*). А можа, сапраўды ня так трымаю? Нічога, яшчэ навучуся!

Гучыць рытмічная музыка. Пару хвілінаў Калматы й Стрыжаны працягваюць гульні, прычым Стрыжаны ўвесь час прайграе й бегае падымаць нябачны шарык. Спаровец У кепцы ўвесь час рамантуе красоўкі.

ЗЬЯВА II.

Тыя ж і Навічок.

Левыя дзвяверы адчыняюцца, і ўваходзіць Навічок, апрануты па-зімоваму, у футры й спартовай шапцы, нерашучу тупаючы ля ўваходу. Спартоўцы не заўважаюць яго й па-ранейшаму робяць свае справы. Музыка прыпыняецца.

Калматы (*скача ад радасці*). Дзевяць: два! Ура! Рубон!

Стрыжаны са злосьцю тупае нагамі ды скрыгоча зубамі. Навічок глядзіць на спартоўцаў з дзікім непаразумеьнем, зьбянтэжана азіраецца й зноў хаваецца за дзвявярыма, нязграбна грукнуўшы імі.

У кепцы (*уздрыгвае, падымае галаву*). Швэндаюцца тут усялякія!
Калматы. І ні кажы... Во! Дзесяць: два! Yes! Yes! Yes! Ну, файна я яго абгуляў! Хто наступны?
У кепцы. Я ня буду. Я заняты.
Калматы. Ня хочаш – ну дык і ня трэба. Тады мы пачнем па-новаму. (*Зноў пад музыку пачынае са Стрыжаным гульні, час ад часу выкрыкваючы лік*).

ЗЬЯВА III.

Тыя ж і Прыбіральныхчыца.

Левыя дзвяверы адчыняюцца, і Прыбіральныхчыца зь

мятлой уводзіць зьбянтэжанага, чырвонага ад сораму Навічка. Музыка змаўкае.

Прыбіральныхчыца (*паказвае мятлою ў бок спартоўцаў*). Усё правільна. Ты не памыліўся. Спартклуб знаходзіцца тут. (*Хуценька выходзіць, рэзка захлопнуўшы дзвяверы*.)

Навічок некаторы час глядзіць глядзіць на гульцоў, вылупіўшы вочы й высалапіўшы язык, потым спрабуе адчыніць дзвяверы, але яны не падаюцца.

Навічок (*барабаніць кулакамі ў дзвяверы*). Адчыніце! Адчыніце! Гэй, хто-небудзь! Ратуйце! (*Разганяецца, б’е нагою ў дзвяверы*.) Я не туды трапіў!
Калматы (*радасна*). Чатыры: адзін!
Стрыжаны (*скрозь зубы*). Н-ну нічога! Я табе пакажу!
Навічок (*спрабуе ламацца ў дзвяверы*). Не адчыняюцца! Ну й чорт зь імі... (*Адыходзіць да газавальнага аўтамата й пачынае націскаць кнопкі*.) Ну чаму не цячэ?! (*Пачынае калаціць па ім кулакамі й нарэшце нагамі*.)
У кепцы (*узнімае галаву*). Ня цюкай! Гэта ня дзвяверы. Дзвяверы – вунь (*Паказвае*.)
Навічок (*разганяецца*). Ды не, проста я хачу пі-і-і... (*Вішчыць, балюча выцяўшы нагу аб газавальны аўтамат*.)

У кепцы. А, табе ў прыбіральню трэба? Дык яна, папершае, за гэтымі дзвявярыма, а па-другое, даўно ўжо на рамонце.

Навічок. Ды не, я не гэта хачу, а піць.

У кепцы. А закуску прынёс?

Навічок. Дык я хачу проста вадзічкі...

У кепцы. Няма. Адключылі.

Навічок. А-а, вось яно што... (*Адыходзіць крыху ўбок і раптам трапляе нагой у нейкую дзірку*.) Ой, а гэта што ў вас такое?

У кепцы. Ня бачыш? Дзірка.

Навічок. Ой, а чаму тут у вас дзірка?

У кепцы. Ня бачыш? Падлога прагніла, вось і атрымалася дзірка. Цяпер мы выкарыстоўваем яе замест прыбіральні. (*Працягвае рамантаваць красоўкі*.)
Навічок (*нахляецца, нюхае*). Ого! А я ж думаў, чым гэта ў вас пахне? Дык вось яно што, буду ведаць! (*Падыходзіць бліжэй да спартоўца ў кепцы, пахлахва азіраецца і, паказваючы на Калматага са Стрыжаным, шэптам пытаецца*.) А што гэта яны робяць?

У кепцы (*падымае галаву*). А хіба ты ня бачыш?

Навічок. Не.

У кепцы. Ды ты да таго ж сьляпы?

Навічок. Ды не. Бачу я ўсё, але вось асэнсаваць гэта ну ніяк не магу!

У кепцы. Гэтак і павінна быць. Далёка ня ўсё, што бачыш, можна асэнсаваць. Дый не заўсёды гэта абавязкова...

Навічок. А для мяне абавязкова! павінен жа я ведаць, куды я трапіў!

У кепцы. Каб аб гэтым даведацца, нічога складанага ня трэба. Вось ты зьбіраўся прыйсьці куды?

Навічок. Як куды? У спартовы клуб.

У кепцы. Добра. А што павінны людзі рабіць у спартовым клубе?

Навічок. Ну вядома ж, спортам займацца!

У кепцы. Дык што робяць гэтыя людзі?

Навічок. Хм... Выходзіць, спортам займаюцца... Толькі вось не разумею, якім.

У кепцы. Іх двое. прычым адзін зь іх перамагае, а другі прайграе. Дык што гэта такое?

Навічок. Нечым нагадвае бокс... Толькі яны чамусьці занадта далёка стаяць адзін ад аднаго... Яны што, баяцца адзін да аднаго падыйсьці? І лічбы нейкія дзіўныя выкрыкваюць... Не, гэта хутчэй гульня.

У кепцы. Так, гульня. А якая?

Навічок. Ня ведаю.

У кепцы. А ты падумай. Якія ў цябе ёсьць асацыяцыі?

Калматы (*да спартоўца У кепцы*). Ды ня мучай ты хлопца! У тэніс мы гуляем!

Навічок (*здзіўлена*). У тэніс? А дзе ж ваша сетка?

Калматы. А хіба ты ня бачыш: мы ж у настольны тэніс гуляем!

Навічок. Дык усё роўна сетка павінна быць! Яна павінна быць нацягнутая ўпоперак стала!

У кепцы. Ты ж думай! Карыстайся лягічным мысьленьнем! Як можна нацягнуць сетку ўпоперак стала, якога няма?

Навічок. Хм... Сапраўды... А чаму вы гуляеце без ракетак?

Калматы. Дык навошта яны? Што мы будзем адбіваць імі, калі шарыку няма?

Навічок (*у роспачы тупае нагой*). Дык што ж вы тады тут робіце?

Калматы й Стрыжаны (*разам*). Гуляем у тэніс!

Калматы (*Навічку*). Хочаш з намі?

Навічок. Я ня ўмею.

Калматы. Нічога. Навучым.

Навічок. З ракеткай, з шарыкам я ўмею гуляць, а вось так – не. Сапраўды, трэба павучыцца.

Калматы. Ды што тут вучыцца? Трэба проста яскрава ўявіць сабе і стол, і ракетку, і шарык.

Навічок. Цікава... Толькі неяк не па-нашаму. Чаму вы ўвогуле гуляеце менавіта так?

Калматы. Не задавай лішніх пытанняў. Вось прыйдзе Фізрук – ён табе ўсё растлумачыць, што й да чаго.

Навічок (*зь нецярпеньнем тупае*). Вось паглядзець бы мне на гэтага вашага Фізука!

ЗЬЯВА IV.

Тыя ж і Фізрук.

З правых дзвярэй нечакана выходзіць Фізрук.

Фізрук (*Навічку*). Паглядзець хочаш? Дык глядзі. Вот какой я! Эта від сперадзі. (*Паварочваецца*.) А эта збоку. (*Становіцца сьпінаю да ўсіх*.) А вот і ззаду. Ну, паглядзеў – і хваціт! А то яшчо не хватала мне тут бясплатнае шоу вам паказваць! (*Выходзіць, хлопнуўшы дзвявярыма*.)

ЗЬЯВА V.

Тыя ж без Фізука.

Навічок. Нявяхаваны тып!

У кепцы. Табе нешта не спадабалася? Але ж ты

сам выказаў жаданьне паглядзець на яго!
Навічок. Ну дык правільна: выказаў жаданьне паглядзець; паглядзеў; прааналізаваў прагледзенае; выказаў уголос аналіз прагледзенага. Вось і ўвесь альгарытм маіх дзеяньняў. Ну дык што ў гэтым кепскага?

У кепцы. А тое, што старэйшых трэба паважаць!
Навічок. Буду паважаць, калі будзе за што! (*Адыходзіць убок, але зноў трапляе нагою ў дзірку.*)
У кепцы (*да Навічка*). А ты ўсё правальваешся! Ты б лепш узяў ды накрыў гэтую дзірку матам!
Навічок. Ну гэта я зараз! (*Становіцца ракам і крычыць у дзірку некалькі ня дужа прыемных слоўцаў, якія залушаюцца сырэнаю.*)
У кепцы (*сьмяецца*). Ды не. Ты ня так зразумеў. Я меў на ўвазе, каб ты прыцягнуў гімнастычны мат і закрыў ім дзірку.

Навічок. А дзе ж той мат?
У кепцы (*паказвае*). А вунь там, у куце.
Навічок (*здзіўлена*). Але ж я ня бачу ніводнага!
У кепцы. Ня бачыш? Тады пайшлі, прыцягнем разам! (*Ідзе ў кут, бярэцца за нябачны мат і робіць выгляд, што цягне. Зьвяртаецца да Навічка.*) Дапамажы! Вазьмі з іншага боку!

Уключаецца музыка. Навічок нібыта бярэ з іншага боку, і абодва яны дацягваюць мат да дзіркі й пакідаюць там. Калматы ды Стрыжаны, як і раней, гуляюць у тэніс. Спартовец У кепцы аглядае адрэмантаваныя красоўкі, нарэшце абувае іх і пачынае займацца зь нябачнымі спартовымі прыладамі: скокаць празь нябачную скакалку, падымаць нябачныя гантэлі, адбіваць ад падлогі й кідаць у нябачную сетку нябачны баскетбольны мяч і г.д. Навічок скідае футра, шалік і шапку, вешае іх на вешалку. Потым музыка заціхае.

Навічок. Ой! А я красоўкі забыў! Што ж мне рабіць?
У кепцы. А нічога! Уяві, што ты зараз ня ў ботах, а ў красоўках. І займайся сабе...
Навічок. Але ж боты ў мяне такія брудныя...
У кепцы. А што ў нас тут чыстае?
Навічок (*аглядае падлогу*). Хм, сапраўды...
Калматы (*да Навічка*). Падай, калі ласка!
Навічок. Што падаць?
Калматы. Шарык. Ён вунь за той трэнажор закаціўся (*Паказвае.*)
Навічок (*вычуніў вочы*). За які яшчэ трэнажор? Тут няма ніякіх трэнажораў!
Калматы. А, я ж забыў: ты яшчэ ня ведаеш усяго абсталюваньня нашага спартклубу! Ну тады я сам дастану. (*Паўзе па падлозе з выцягнутымі рукамі, затым сьціскае пальцы, нібыта нешта бярэ, і вяртаецца на месца.*)
У кепцы (*пазіраючы на здзіўленага Навічка*). Ты не здзіўляйся. Фізрук табе ўсё растлумачыць!
Навічок (*з агідай*). Хопіць мне, што ён мне растлумачыў, дзе ў яго зад, а дзе перад!
У кепцы. Ну й пра што цікавае ты даведаўся?
Навічок. Пра тое, што зад у яго ззаду, а перад – сьпераду.
У кепцы. А што, па-твойму, лепш, каб было наадварот?
Навічок. А якая розьніца! Мне зусім да лямпачкі, дзе ў яго перад, а дзе зад! Галоўнае, каб кожнае выконвала сваю функцыю!

У кепцы. Скажаць па праўдзе, бывала, што функцыі ягонага пераду й заду мяняліся месцамі: калі ён надта моцна напіваўся, ён уваходзіў сюды задам наперад.

ЗЬЯВА VI.

Тыя ж і Фізрук.

З правых дзьвярэй уваходзіць Фізрук задам наперад.

Калматы. Ну вось. Ізноў перабраў.
Навічок (*рашуча робіць крок насустрач Фізруку*). Пан Фізрук! Я патрабую тлумачэньня!
Фізрук (*рэзка паварочваецца, падскоквае*). Ха-ха-ха! А я вас падкалоў! Нікакой я ня п'яны. Я сьгодні вабшчэ спіртнога не ўпатрабляў... Толькі нарकोцікі. Ха-ха-ха! (*Сьмяецца.*)
Навічок (*яшчэ больш рашуча*). Я патрабую тлумачэньня!
Фізрук (*уважліва разглядаючы Навічка*). Дыкэта і есьць наш новы спартовец?
Калматы. Так, ён самы.
Фізрук. Какой-та он шалёны. Не усьпеў прыцці, а ўжэ прад'яўляе какія-та прэтэнзіі!
Навічок (*грозна, прагаворваючы кожнае слова*). Я ПАТРАБУЮ ТЛУМАЧЭНЬНЯ!
Фізрук. Я слухаю. У чом дзела?
Навічок. Чаму яны гуляюць у тэніс без ракетак, мячыка й стала? Чаму тут у вас са спартовых снарадаў ёсьць толькі газавальны аўтамат, ды і той не працуе?
Фізрук. Аэта ўжэ не тваі дзяля!
Навічок. А чые?
Фізрук. І не маі.
Навічок. Дык чые тады?
Фізрук. Цех, хто стаіт над намі.
Навічок. А што, над намі нехта стаіць?
Фізрук. Канешна! Іэтаані, сабакі, не выдзяляют нам дзеняг на абарудаваньне. Ксажаленію, спорт стаў кармушкай для ўсякога рода жульля. Яго прэўрацілі ў ачаг мэдаіства і карупцыі. Вот і прыходзіцца ўсё купляць на свае дзеньгі.
Навічок. А хіба ў вас ёсьць грошы?
Фізрук. Да адкудаані ў міня? Но, думаю, скораяпявяцца. Яжса следуюшчага месяцу планую ўвясці платнае абучэньне. Сьгодні я сніми нашусь, сцімі спарцмэнамі, то есьць з вамі, как народ гаварыт, з пісанымі торбамі, ілі как тамані гаварат. Так што вы пака што скажыце спасіба, што я з вас яшчэ не начаў нічаво браць. І ўдаўлетварайцеся цем, што імеецца.
Калматы. Дакладней, тым, чаго ня маем, пан Фізрук.
Фізрук. Не вучы старшых, малакасос!
Навічок. Не зьбіраюся займацца ў спартклубе, дзе нічога няма!

У кепцы. Але з гэтым нічога можна рабіць усё!
Навічок. Ня трэба мне такога ўсё! (*Плюе.*)
У кепцы. Ня плюй.
Навічок. Чаму?
У кепцы. Таму што пляваць – гэта дрэнна.
Навічок. А мне пляваць, што пляваць – гэта дрэнна.
У кепцы. А мне пляваць, што табе пляваць, што пляваць – гэта дрэнна.
Навічок. А мне пляваць, што табе пляваць, што мне пляваць, што пляваць – гэта дрэнна.

У кепцы. А мне пляваць, што табе пляваць, што мне пляваць, што табе пляваць, што пляваць – гэта дрэнна.
Навічок. А мне пляваць, што табе пляваць, што пляваць мне табе што пляваць пляваць пляваць пляваць...
Фізрук (*крычыць*). Цыц! Захлопніце чэлюсьці! Оба! Січас жа! Мне напляваць, што вам на што-та там напляваць! І большэ не арыце, ня то – павыганяю!

Спаптовец У кепцы і Навічок адыходзяць у процілеглыя куты й сядваюць там, адварнуўшыся ад аднаго. Усе астатнія моўчкі назіраюць за імі. Праходзіць колькі часу, навічок і ў кепцы паволі паварочваюць галовы й утаропліваюцца адзін у аднаго.

Навічок (*нерашуча*). А можа, і сапраўды, пляваць – гэта дрэнна?..
У кепцы (*абьяквае*). А мне пляваць...
Фізрук. Ну хваціт ужэ! Січас будзем у футбол іграць!
Навічок. А я ж ня ўмею!
Фізрук. Ня можат быць!
Навічок. Дакладней, умею, але толькі зь мячыкам.
Фізрук (*здэкліва*). А разве ціба хто-та просіт іграць? Будзеш нашым судзьей!
Навічок (*спалохана*). Што?! Яшчэ чаго не хапала!
Фізрук. Хваціт ньць! Што была б, кагда б мы ў шахматы ігралі?
Навічок. Не, не, не! Не хачу ні ў шахматы, ні судзьдэй! Лепш ужо на вароты!
Фізрук. Вот так бы і сразу! Ну тагда арбітрам буду я. Аціпер усе – марш у строй!

Калматы, Стрыжаны ды Навічок становяцца ў шарэнгу тварамі да глядачоў. Спартовец У кепцы стаіць убаку, спрабуючы падняць неіснуючую штангу.

Фізрук. Раўняйся! (*Спартоўцы раўняюцца*). Адставіць! Ногі ўмесце! Рукі ўбок! Вось так! Раўняйся! Смір-на! На перый-второй рас-шчытайся!
Калматы. Першы.
Стрыжаны. Другі.
Навічок. Першы. Разьлік скончаны.
Фізрук. Первыя намяра – шаг упярод! (*Калматы з Навічком робяць крок наперад. Фізрук уважліва глядзіць то налева, то направа*). Мне кажыцца, што першая каманда ўдвой большэ ўтарой, і паэтаму нада, штоб палавіна ігракоў пакінула яё. Ну, быстранька!

Калматы й Навічок нецярпліва пазіраюць адзін на аднаго, потым кожны зь іх намагаецца пайсьці, але, бачачы, што другі робіць тое ж самае, штораз вяртаецца на месца. Убаку спартовец У кепцы крэкча, робячы выгляд, што падымае штангу. На ягоным твары – выраз тытанічнае напружанасьці. Раптам яго пальцы расьціскаюцца, рукі рэзка апускаюцца, сам ён зь дзікім лямантам падае на сцэну.

У кепцы (*крычыць*). А-а-а! Мая нага! Нага-а-а! Усе. Што? Што здарылася?
У кепцы. Мне штанга на нагу звалілася! Вой, вой, як баліць! (*Са стогнамі качаецца па сцэне.*)
Фізрук. Ну,эта ў нас не ўпярвой. Не абрашчаем вніманія. Начынаем ігру.

У кепцы (*лямантуе*). Мая нага! Завіце “хуткую”! Доктара! Доктара!
Фізрук (*астатнім спартоўцам*). Із-за няго я тут ужэ саўсем запутаўся, хто ў какой камандзе! Снова пастройцеся! (*Калматы й Стрыжаны становяцца ў шыхт.*)
У кепцы (*гістэрычна*). Дапамажыце! О, нага! Нага-а-а! Паміраю!!!
Навічок. Чаго вы стаіце?! Тут чалавек памірае, а вы...
Фізрук (*не зьвяртаючы ўвагі*). Раўняйся! Адставіць...
Навічок. Ах, вось вы як! (*Шалёна мітусіцца па сцэне.*) Доктара! Доктара! “Хуткую”!
У кепцы. А-а-а! Нага! Нага! Паміраю! А-а-а!
Фізрук. Раў-няйся! Ад-ставіць!.. Раў-няйся! Ад-ставіць!.. Раў-няйся! Ад-ставіць!.. (*Калматы й Стрыжаны ўвесь час выконваюць гэтыя каманды.*)
Навічок. Доктара! Доктара!
У кепцы. Нага! Мая нага!

Так працягваецца некаторы час: Фізрук муштруе Калматага й Стрыжанага; Навічок, клічучы доктара, носіцца ад адных дзьвярэй да другіх і назад; У кепцы качаецца па сцэне, стогне. Урэшце Навічок выбівае нагою левыя дзьверы й выбягае.

ЗЬЯВА VII.

Тыя ж без Навічка.

Фізрук. Раў-няйся!.. Сьмір-на!.. На перый-второй рас-шчытайся!
Калматы. Першы.
Стрыжаны. Другі. Разьлік скончаны.
Фізрук. Первыя намяра – шаг упярод! (*Калматы робіць крок наперад.*)
У кепцы. Нага мая бедная! Ратуйце мяне!
Фізрук. Ну цяпер, кажыцца, ігракоў пораўну ў кождый камандзе. Можна начынаць ігру... Хаця... Хаця із-за ягоных крыкаў (*Паказвае на спартоўца У кепцы.*) я ўжэ забыў, ва што мы іграем. Хто мне падскажыт?
Калматы. У баскетбол.
Стрыжаны. А мне здаецца, у воднае пола...

ЗЬЯВА VIII.

Тыя ж і Прыбіральшчыца.

Зь левых дзьвярэй выбягае Прыбіральшчыца са швабраю.

Прыбіральшчыца (*спалохана*). Што тут здарылася. Каму дрэнна?
Калматы й Стрыжаны (*паказваючы на Прыбіральшчыцу*). А! мы ж у хакей гуляем! Вунь якраз і клошку нясуць!
Фізрук. У хакей, дык у хакей! Я люблю іграць у хакей сам проціў сібя.Усе ў строй! (*Калматы й Стрыжаны становяцца ў строй. Спартовец У кепцы, стогнучы, паўзе да дзьвярэй.*)
Прыбіральшчыца (*паказваючы на спартоўца ў кепцы*). А гэты чаму не ў страі?
Фізрук. Аэта наш балельшчык. Відзіце: ігра яшчо

не началась, а он ужэ так балеет! Ня знаю толька, за какою каманду. Ну так раў-няйсь! (*Калматы, Стрыжаны й Прыбіральшчыца раўняюцца.*) Адста-віць! Раў-няйсь! Ад-ставіць... (*Так працягваецца не-калькі разоў.*) Раў-няйсь! Сьмір-на! На першай-второй расшчы-тайся!

Калматы. Першы.

Стрыжаны. Другі.

Прыбіральшчыца (*цюкнуўшы швабраю*). Трэйцяя!

Калматы (*шэптам*). Ня трэйцяя, а першая!

Прыбіральшчыца (*гучна*). Ня трэйцяя, а першая!

Фізрук. Першыя намяра – шаг уперед! (*Калматы й Прыбіральшчыца робяць крок наперад.*) Нале-ва! Шагам марш! (*Калматы й Прыбіральшчыца адыходзяць.*) Ого! Снова адна каманда палучылася большэ! І насколька! Но нічаво, можат, как-нібудзь сыграяце...

Стрыжаны. Пан Фізрук! А хіба гэта справядліва, што ў нас на абедзьве каманды ўсяго адна клюшка, ды яшчэ зь нейкай анучай?

Фізрук. Вашы праблемы...

Спартовец У кепцы зь энкам падпаўзае да самых дзвьярэй, спрабуе прыпадняцца, але тут дзвьяры рэзка адчыняюцца, і ён зноў ляціць на падлогу.

ЗЬЯВА ІХ.

Тыя ж, Навічок і два санітары.

Зь левых дзвьярэй выбягае Навічок.

Навічок (*крычыць*). Сюды! Сюды! Хутчэй! Хутчэй!

Прыбягаюць два санітары з насілкамі, на якіх ляжыць белы чамадан з чырвоным крыжам.

У кепцы (*стогне*). Санітары! Санітары! Нага! Нага!

Першы санітар. Што ў вас з нагою?

У кепцы. На яе ўпала штанга.

Першы санітар. Якая штанга? Цяжкая?

У кепцы. Ды вунь тая (*паказвае пальцам у пустое месца*). О-о-о! Як баліць! Дапамажыце хутчэй!

Другі санітар. А дзе ж тая штанга? Э-э, дык у яго шчэ й галюцынацыі! Сапраўды, трэба хутчэй дапамагчы!

Санітары дастаюць з чамадану розныя мэдычныя прылады, накладваюць шыны на нагу спартоўца ў кепцы, хуценька бінтуюць, кладуць на насілку і выносяць.

Прыбіральшчыца (*даганяе санітараў*). Пачакайце!

Я вас правяду! (*Бярэ санітарскі чамадан і таксама выходзіць. Фізрук і спартоўцы праводзяць іх задумнымі позіркамі.*)

ЗЬЯВА Х.

Фізрук, Калматы, Стрыжаны, Навічок.

Калматы. Здаецца, нашыя шэрагі паменшыліся.

Стрыжаны. Ну.

Фізрук. Нічаво, бальшой спорт трэбуе жэртв.

Я очань люблю спорт, і эта лучшае маё качества. Спорт вабшчэ сложная вешч. Он калечыт людзей, но он жа і лечыт. Вот міне, напрымер, спорт у своё ўрэмя ого-го как сільна пакалечыт, а патом он жа і вылечыт. Была эта даўным-даўно, кагда ў нашым спарціўным клубе яшчэ былі мячыкі ды ракеткі, трэнажоры ды маты, гіры ды гантэлі, шайбы ды клюшкі, і штангі тожа былі... Но фізруком я тагд яшчэ не был...

Навічок. Дык куды ж усё гэта падзелася?

Фізрук. Хаваіт задаваць лішнія вапрасы! Я панімаю, што арганізавываць сарэўнавані па падводным шахматам ілі кікбоксінгу на матацыклах у нас ваз-можнасьці нет, но, как віжу, вы ўсе ці пачці ўсе очань вумныя, і можаце прадставіць у сваей фантазіі любой спарціўны снарад ды яшчэ пазанімацца на нём! Так што давайце, дзелайце, што хаціце: паднімайце штангі, іграйце ў бейсбол, круціце обручы, кідайце дыскі, прыгайце чэраз казла...

Навічок. Ну гэта можна! Бо казёл у нас адзін ёсьць!

(*Разганяецца й пераскоквае празь Фізрука, які паспя-вае нахіліцца.*)

Фізрук (*выпростаецца*). Хто?

Навічок. Што – хто?

Фізрук (*гнеўна*). Казёл хто?

Навічок. Хто пытаецца.

Фізрук. Ах ты, мяззавец! (*Сьціскаючы кулакі, наступ-пае на Навічка.*) За казла атвечиш! Січас мы з табою займёмся боксам! Ізвіні, што без пярчатак, ані нам січас не панадабляцца! (*Пачынае калаціць Навічка, які спрабуе перахапіць Фізруковы рукі.*) Вот так цібе! Так! На! На!

Навічок (*штурхае Фізрука*). А вось табе!

Калматы. Можа, дапамагчы? (*захоплівае Фізрука зза-ду, і яны ўтрох разам валяцца на сцэну й валтузяцца па ёй.*)

Стрыжаны (*стаіць, уважліва разглядаючы бойку*).

М-так... Мабыць, і мне трэба прыняць удзел! (*Кіда-ецца ў гэтую кучу. Адтуль чуюцца галасы: “А-а-а!”, “Ратуйце!”, “Заціснулі!”, “На табе! На!”, “Вось так!”, “Атрымай!” і г. д.*)

ЗЬЯВА ХІ.

Тыя ж і спартовец У кепцы, санітары, Прыбіральшчыца, міліцыянты.

Зь левых дзвьярэй, кульгаючы, выскоквае спартовец У кепцы з загіпсаванаю леваю нагою.

У кепцы. Ура! За Радзіму! (*Кідаецца ў гурт людзей, якія б'юцца.*)

Выбягаюць два санітары, шпурляюць убок насілку, таксама кідаюцца ў бойку. Валтузьня працягваецца. Усе качаюцца па падлозе й адзін па адным; кожны штосьці крычыць, лямантуе, енчыць.

Фізрук. Убівают!

Навічок. Няхай жыве свабода!

Стрыжаны. Ура! Пераварот!

У кепцы. Рэвалюцыя!

Калматы. Ай! Мне адціснулі руку!

Зь левых дзвьярэй выходзіць Прыбіральшчыца са швабраю.

Прыбіральшчыца. Што за шум? (*Глядзіць на тузані-ну.*) Што тут адбываецца? О, жах які! Спыніце гэтую бойку, чуеце?! (*Падбягае да гэтага клуба людзей ды пачынае лупцаваць швабраю каго трапіць ды па чым*

трапіць.) Хуліганы! Забойцы! Дзе міліцыя? Мі-лі-цы-я!!!

Чуецца гук сырэны. Прыбягаюць два міліцыянты са сьвісткамі й дубінкамі, і таксама кідаюцца ў кучу.

Заслона.

VIKTAR ŽYBUL (1978, Belarus) – Dichter, Dramaturg und Literaturwissenschaftler. Doktor der Philologie. Mitarbeit in der Gruppe „Zasrali kazarmu“ und verschiedenen Kunst- und Kulturzeitschriften wie „Pieršacviet“, „Rodnaje słowa“ oder „ARCHE Pačatak“. Aktives Mitglied bei Bum-Bam-Lit, einer Bewegung belarussischer Avantgardekünstler. Mitwirkung an zahlreichen Literatur- und Musikprojekten, Kunstaktionen und Performances von Bum-Bam-Lit. Interessiert sich für die Geschichte der Repressalien in der BSSR. Bücher: *Rohi hor, Prykry kryk, Dyjafrahma, Stapielii*. Gedichte von Viktor Žybul wurden bereits ins Bulgarische, Deutsche, Englische, Lettische, Litauische, Polnische, Russische, Tschechische und Ukrainische übertragen.

Kontakt: buslik@tut.by

ВІКТАР ЖЫБУЛЬ (1978, Беларусь) – паэт, драматург і літаратуразнавец. Кандыдат філялягічных навук. Быў удзельнікам гурту «Засралі казарму». Працаваў у часопісе творчай моладзі «Першацвет», «Роднае слова», «ARCHE Пачатак». Актыўны ўдзельнік творча-га руху Бум-Бам-Літ. Браў удзел у многіх літаратурна-музычных праектах, мастацкіх акцыях, перфомансах гэтага руху. Цікавіцца праблемай рэпрэсій ў БССР. Кнігі: *Рогі гор, Прыкры крык, Дыяфрагма, Стапеліі*. Вершы Віктара Жыбуля перакладаліся на ангельскую, баўгарскую, латыскую, летувіскую, нямецкую, поль-скую, расейскую, украінскую і чэскую мовы.

Кантакт: buslik@tut.by



PEOPLE

OF



MAJDAN



1. Ich war Tempelritter des Stählernen Engels und Seines Dieners. Meinen Rücken umschlang ein weißer Mantel. Meinen Schlagring zierten Kreuze, und mein Gemüt harrte unerschütterlich aus. Ich wies Pilgern den Weg und Ungläubige zurecht. Mit den Ordensbrüdern sang ich die Mauern Jerichos nieder, und meine Beine wurden hart vom Knien. Ich schaute gen Himmel, in der Erwartung, er werde seine Pforten öffnen, und die Schatten der Heiligen verschmolzen mit meinem Schatten.

Seht es ein. Ich war zwanzig, chancenlos und wollte vögeln.

DER STÄHLERNE PROPHET STALOWY PROROK

2. Geblieben ist nur sein Denkmal. Ich betrachte es gerade. Es hat natürliches Menschenmaß, eine dunkelbraune Farbe, ist hinter Sträuchern verborgen und moosüberzogen. Das Gesicht des Propheten, das einst himmelwärts blickte, neigt sich gefährlich der Barbe zu. Bald fällt es ins Wasser, das es umspülen wird, und die Menschen werden es vergessen. Sie werden es für einen Stein halten. Jemand hockt sich drauf, breitet seine Decke aus, bis der Sand es schließlich eines traurigen Tages völlig unter sich begraben hat.

Antoni hatte bei den Frauen schon immer einen Schlag, und ich gehe jede Wette ein, dass manche nur seinetwegen in die Kirche gingen. Wenn ihr noch in die Kirche geht, dann wisst ihr, wie Organisten gemeinhin singen. Man könnte glauben, jemand hielte dem eine Pistole an den Schädel oder hätte ihm die billige Anzughose verkleckert. Talentfrei, ohne Liebe zum Schöpfer. Antoni war anders. Er sang voller Leidenschaft, und seine Stimme besaß Elvis' sanften Schmelz und das Feuer Sinatras oder des brennenden Dornbuschs, je nach Geschmack. Damals, gleich nach dem Kriegszustand, hätte ich das nie im Leben geglaubt, doch seine Stimme klingt noch heute in mir nach.

Ansonsten war er ein großer, grau melierter Mann, der, wenn er durchs Kirchenschiff ging, eine Welle sanfter Damenseufzer aufbranden ließ. Sie seufzten vergeblich, denn bis zu dem Sommer, in dem alles begann, blieb Antoni seiner Aniela lachhaft treu, als schlosse die beiden derselbe Buchstabe im Alphabet zusammen. Sonst gab es über ihn nicht viel zu sagen. Er besaß ein Haus am Rande von Bengelquengel, hinter dem Häuschen floss träge die Barbe, und alles deutete darauf hin, dass er wie alle andern alt werden und sterben würde, wie das jeder einmal muss.

3. Jeden Sonnabend verließ Antoni sein winziges Haus mit der dicken Aniela innendrin, nahm Angel, Kescher, Weidenkorb, das Kästchen mit den Ködern, die Schnittchen seiner Frau und einen halben Liter Schnaps mit und tippelte an die Barbe. Fische gab es dort nur wenige, aber ich denke, es ging Antoni schlicht darum, ungestört bis zur Dämmerung dazuhocken, um nichts sonst. Wenn die Sonne unterging, tippelte er nach Hause, tat bei seiner Frau mit seinem mageren Fang groß und fiel ins Bett. Aniela zog ihm die Schuhe aus, die Hose; sie schüttelte die ganze Zeit über den Kopf und sagte „Ach Antoni, ach Antoni“.

Hier muss ich etwas Wichtiges ergänzen. Das meiste, was geschah, habe ich nicht mit eigenen Augen gesehen. Ich war zu klein, anderswo, und naja, normalerweise sehe ich keine Engel. Ich weiß, was die Leute sagen, tuscheln, und was die Zeitungen schrieben. Aber ich erfinde nichts, schmücke nichts aus, füge nichts hinzu. Wenn ich etwas nicht weiß, sage ich, dass ich es nicht weiß und Schluss, das muss euch reichen. Und das ist genau das Problem, über jenen besonderen Sonnabendnachmittag wird viel Verschiedenes und oft Widersprüchliches erzählt. Das hängt vom Einzelnen ab, jeder weiß es schließlich besser als die anderen. Also nochmal: Ich weiß es einfach nicht. Doch genau diese Version der Ereignisse passt für meinen Geschmack am besten zu Antoni.

Also, wie jeden Sonnabend aß Antoni, packte das Seine zusammen und hockte sich an die Barbe. Die Angel setzte er auf einer Gabel ab, goss sich ein Schnäpschen in einen winzigen Metallbecher und blickte in die Strömung. Die Sonne stach. Über Wasser und Feldern sausten Schwalben. Antoni nippte, hatte den Schwimmer im Auge, eigentlich ist nicht wichtig, was er tat, sondern nur, dass er in einem bestimmten Augenblick eine heiße Hand auf seiner Schulter spürte. Hinter Antoni stand der Erzengel Gabriel in höchstestiger Person. Drei Meter hoch, in eine Stahlrüstung geschlagen, breitete er die güldenen Schwingen aus. Sanft fragte er, ob die Fische bissen. Antoni fiel auf die Knie und begann zu beten.

Der Erzengel Gabriel hob den erschütterten Antoni von den Knien auf und sprach, er habe für ihn eine Mission vom Schöpfer selbst. Diese Mission werde sein Schicksal verändern, das unseres Bengelquengels, vielleicht sogar auch das der ganzen Welt. Der Engel sprach. Antoni lauschte. Über ihnen erstrahlten die Sterne. In dieser Nacht war der Mond größer als jemals zuvor. Die Kühe hoben an zum Gesang. Die Füchse schmiegen sich an die Hühner. Endlich gab Gabriel Antoni seinen Segen, hieß ihn den Abraham, Isaak und Jakob unserer Gemeinde, verlieh ihm die Kraft, Wunder zu tun; dann verschwand er in einem Espenhain, um niemals mehr wiederzukehren.

4. Antoni ging heim, fiel ins Bett, Aniela zog ihm Hose und Schuhe aus und murmelte dasselbe wie immer. Sie legte sich neben ihn, schnarchte, doch Antoni lag bis zum



Morgengrauen wach und fragte sich, wie er Gottes Werk beginnen sollte. Er befürchtete, dass seiner treuen Aniela die Worte des Erzengels Gabriel nicht unbedingt gefallen würden. Denn Gabriel hatte gesagt, dass das Übermaß an Unglück auf der Welt, vor allem aber in Polen, das der Kommunismus im Würgegriff hielt, den guten Schöpfergott bedrücke, und nur er, Antoni, könne dem Bösen Einhalt gebieten. Und dann sprach Gabriel, dass jedes Mal, wenn Antoni eine neue Frau in sein Bett bat, ein Unglück sein Ende finde. Nagelst du sie von hinten, sagte der Engel, kommt es zu einer Heilung. In der Missionarsstellung, dann lässt die Miliz einen guten Menschen frei. Steckst du deine Manneskraft in einen Mund, so rettest du ein unschuldiges Kind vor der Ausschabung. Antoni lag im nassen Bettzeug und ließ sich durch den Kopf gehen, ob die Wunder nicht auch geschehen würden, wenn er all diese Dinge mit seiner Aniela machte, doch mit Tagesanbruch kam er zur Überzeugung, dass man mit dem Willen Gottes nicht rechnen durfte.

In den ersten Monaten wusste Aniela nicht, dass sie ihr Lager mit einem Propheten und Wundertäter teilte, dafür begannen die Frauen aus unserer Gemeinde plötzlich zu lächeln und sich herauszuputzen. Antoni sang in der Kirche noch schöner und erhabener. Jeden Sonnabend nahm er Angel, Kescher, Korb und den ganzen Rest, ging jedoch nicht an die Barbe, sondern an einen ganz anderen Ort. Im Abenddämmer kam er heim, gurgelte mit Wodka, den Rest der Flasche goss er in die Büsche und polterte, einen Betrunknen mimend, nach Hause.

Die Sache wäre nicht ans Licht gekommen, wenn nicht zwei Frauen im Spiel gewesen wären: die Strumińska und die Wituś. Im Kopf der letzteren wucherte ein Gehirntumor, also benötigte sie besonders viel Tröstung. Über die Strumińska kann ich nicht viel sagen, dafür aber recht viel über ihren Mann. Die Leute verfluchten seinen Namen bis zum heutigen Tag. So ein Typ wäre in früheren Zeiten zur Gestapo gegangen, bei uns hat er bis zum Sergeanten gebracht, mehr als Macht liebte er nur noch das Geld und das Prügeln. Nicht einmal die anderen Milizionäre mochten ihn. Er kam besoffen in die Ratuszowa und heulte, weil niemand mit ihm Karten spielen wollte. Die älteren Jungs malten oft mit Kreide ein Schwein in Uniform an die Wand, was ihn besonders aufregte – denn er war feist, hatte eine rote Fresse und abstehende Ohren.

Niemand weiß, wie Strumiński die Wahrheit erfuhr. Manche meinen, es sei Teil von Gottes Plan gewesen. Er passte Antoni ab, als der mit seiner Frau am Rathaus vorüberging, schickte ihn mit einem Schlag zu Boden, trat auf ihn ein und schrie „Fickst du meine, fick ich dich!“ Aniela heulte laut auf, die Menschen liefen zusammen. Antoni wehrte sich nicht einmal, er schützte nur mal den Bauch, mal den Kopf. Strumiński, das feiste Ferkel, trat immer heftiger zu, seine Fresse lief immer röter an, bis sie ganz blau war, dann fasste er sich ans Herz und stürzte leblos zu Boden.

Die Leute hoben den grün und blau geschlagenen Antoni hoch. Aniela wischte ihm das Blut vom Gesicht und fragte, ob das wahr war. Noch ehe Antoni etwas antworten konnte, stand plötzlich die Wituś vor ihm und rief mit lauter Stimme, dass wir in Bengelquengel einen Wunder-

täter hätten. Sie habe er auch gefickt. Gerade komme sie von der Kontrolluntersuchung. Der Tumor sei spurlos verschwunden. Daneben stand Wituś wie der Ochs vorm Tor. Bei Aniela strömten wieder die Tränen. Die Menschen sahen sich an. Niemand wusste, was er sagen sollte, also sprachen die Wunder für sich: der verschwundene Tumor und der tote Hurensohn. Und so ging Bengelquengel vor Antoni in die Knie.

5. Aniela lehnte die Rolle der Prophetengattin ab und kehrte zu ihren Eltern zurück, was Antoni nicht einmal merkte, so überaus beschäftigt war er mit der Ausführung des göttlichen Willens und dem Bau des Sanktuariums. Erst errichtete er ein Kapellchen an der Barbe, dort, wo alles begonnen hatte. In Wahrheit war es eine einfache Hütte mit einem Kreuz und einem Portrait des Erzengels Gabriel von Antonis eigener Hand. Sie ist längst zerlegt. Auch die meisten anderen Gebäude, die er längs seiner Parzelle errichtete, gibt es schon lange nicht mehr, und da standen schließlich eine Kapelle, ein Lagerhaus und ein zweistöckiges Pilgerhaus, die nach und nach mit Spenden errichtet wurden, mit stiller Billigung der Vertreter der Staatsmacht, denen ihre Frauen flüsterten, was sie zu tun hatten.

Antoni suchte ehrlich eine Einigung mit der Kirche. Der Bischof drohte ihm mit Exkommunikation, unser Pfarrer hätte ihn beinahe verprügelt. Antoni sprach, sie wüssten nicht, was sie tun, und begann, jeden Sonnabendnachmittag selbst zu predigen. Er erzählte von der Tiefe des Göttlichen Erbarmens, von seinem Dornenpfad, bis er schließlich den Bock abschoss, die letzten Tage seien angebrochen und Bengelquengel werde zum Neuen Jerusalem. Er machte bei niemandem einen Unterschied. Über seine ausgetretene Schwelle traten minderjährige Schönheiten wie auch verschimmelte Greisinnen ein, röhrende Vierzigerinnen und Panzerlöcher, bucklige Zwerginnen und Busenluder, Ottern, Flundern, Nonnen, Vertreterinnen der Streitkräfte, Mütter und Töchter und ein gewisser Transvestit, der danach fürchterliche Dresche bezog. Später erzählte man sich, dass zu den zahlreichen Gnadengaben, die Antoni erhalten hatte, insbesondere jene zu nennen war, die ihre Größe und Allzeitbereitschaft auszeichneten.

Es geschahen wirklich Wunder, wenn auch nicht so oft, wie die Leute das gerne gehabt hätten. Ich selbst habe keines miterlebt, ich kenne nur die Erzählungen der anderen. Ein paar Mal gedieh das Getreide prächtig. Dem zornigen Margol amputierte ein Breslauer Chirurg den Unterarm, und Margol konnte seine Frau nicht mehr verdreschen, obwohl er das für sein Leben gerne getan hätte. Er begann nach ihr zu treten, ein Jahr verging, und er saß im Rollstuhl, bescheiden und in sich gekehrt. Ein Brand, der im Friseursalon in der Góralaska ausbrach, erlosch, noch ehe die Feuerwehr vor Ort war. Der herzengute Stasio Pieniżek setzte sich stockbesoffen in seinen Fiat und fuhr schnurstracks in eine Mauer, durchfuhr die Mauer wie einen Nebel und kam auf der anderen Seite wieder heraus, heil und dazu noch nüchtern. Später beschwor Frau Pieniżek bei allen Heiligen, dass sie Antoni erst eine Stunde vor dem Unfall besucht hatte. Die Statistiker konstatierten ein merkliches Sinken der Todesrate.

Die meisten betrogenen Männer reagierten verständnisvoll, erkannten an, dass die aufgesetzten Hörner ein geringer Preis für Gnade und Wohlstand waren. Ein Teil hielt still wegen der Hochachtung, die Antoni genoss. Sie hatten Strumińskis Schicksal noch im Kopf. Aber es fanden sich auch solche, die meinten, es sei kein Prophet oder Wundertäter, sondern nur ein Hornochse, der vor sich hin ficken wollte. Dem sollte man die Fresse versohlen, sagten sie. Ihm einheizen, den Schwanz abschneiden, drohten sie nach ein paar tieferen Schlucken.

Und daher traten wir auf den Plan.

6. Es begann mit ein paar Muskelprotzen, die rings ums Sanktuarium für Ordnung sorgten. Sie trugen weiße Armbinden mit einem aufgestickten Engel. Sie trennten die balgende Weibsbilder, verscheuchten zornige Ehemänner, Brüder, Väter und Liebhaber. Doch zu Beginn der Neunziger begannen die Zeitungen, über Antoni zu schreiben, es kam zu zwei Fernsehsendungen, also musste die Pilgerstätte erweitert werden. Die Frauen reisten aus ganz Polen an, ihre wütenden Männer ihnen hinterher, also galt es zu handeln. Als er vor Angst um die eigene Sicherheit schlotterte, ließ Antoni uns weiße Mäntel anfertigen, verkündete die Aufnahme von Novizen in den Orden, und so erschienen in Bengelquengel die Tempelritter des Stählernen Engels und Seines Dieners, rund zwanzig zu allem bereite Jungs.

Ihr fragt mich, ob ich an all das geglaubt habe. Ich werde ehrlich sein. Mal ja, mal nein. Antoni war ein einnehmender, bescheidener Mensch, und nie habe ich die Glaubwürdigkeit seiner Erfahrung bezweifelt. Entweder ist er verrückt geworden, oder er hat wirklich einen Engel gesehen. Mit Gott verhält es sich bei mir ähnlich. Manchmal scheint mir, es gebe ihn, manchmal auch überhaupt nicht, aber ich bin ehrlich genug, um die Wahrheit zu sagen. Zum Dienst im Orden brachte mich ein anderer Tempelritter. Er sagte, Weiber gäbe es hier bis zum Abwinken, und zwar heiße und willige, die Schlange zum Propheten sei lang, und wir könnten dabei nur gewinnen. Ein Nümmerchen mit einem Tempelritter war – nach der Ansicht von manchen – die Vorspeise vor dem Hauptgang, manchmal sogar ein vollwertiger Ersatz. „Na gut“, sagte ich mir, und schon am nächsten Tag stand ich beim Kapellchen im weißen Mantel, den ich über das ärmellose Hemd geworfen hatte.

Niemals werde ich das vergessen. Stellt euch eine Parzelle in Größe eines Schulbolzplatzes vor, zu dem ein schmaler Weg führt, den parkende Autos völlig verstopfen. In der Mitte des Grundstücks steht auf der Grundfläche eines Kreises die Kapelle, sie ist klein, dafür aber vier Stockwerke hoch und löst eindeutige Assoziationen aus. Sie krönt ein geflügeltes Schreckgespenst, das durch das gewagte Verschweißen verschiedenster Metallteile entstand. Etwas seitlich befinden sich Lagerräume, eine Küche und eine provisorische Ambulanz, in der zu Spitzenzeiten drei Ärzte, sieben Sanitäter und ein Zahnarzt arbeiteten – alle kostenlos. Ringsum hatten gerissene Geschäftemacher ihre Würstchenstände. Die Geräusche aus dem Pilgerhaus verstummen nicht einmal in der Dämmerung. Zwischen der Ambulanz und dem Zeltplatz steht

Antonis Haus, genauso wie immer, nur geweißelt. Den Zugang verteidigen mindestens ein Dutzend Tempelritter. Sie lassen niemanden eintreten, ehe nicht das Glöckchen innen kundtut, dass der Prophet bereit ist. Und überall Weiber, die in den verschiedensten Angelegenheiten eine Gnade erbitten.

Bisweilen ging es auch wegen all der eifersüchtigen Kerle heiß zu. Kein Tag verging ohne heftigen Streit, der Kumpel, der mich herbrachte, sieht auf einem Auge nicht mehr und zieht ein Bein nach. Mir haben sie die Nase und zwei Rippen gebrochen. Sie haben meine Eltern eingeschüchert und meinen Bruder verprügelt, zum Glück nur mäßig heftig. Aber eins weiß ich. Wenn ich einst sterben werde und mich die Frauen nur noch herablassend betrachten, dann denke ich an die Tage im weißen Mantel zurück und lächle so breit, wie sonst nur Könige lächeln. Sie werden mich mit diesem Lächeln begraben. Im Sarg werde ich von einem Ohr zum anderen grinsen.

7. Antoni wollte das Denkmal nicht. Er kam aus seinem Haus heraus, bleich, unter den Augen zwei schwarze Huftisen, und an den Bäumen Halt suchend, schaffte er es bis an die Barbe, um dort die Menschen zu bitten, es nicht zu tun. Zumindest nicht am Ort der Erscheinung. Er sagte, er sei nur ein Gesandter, sie könnten Gott ein Denkmal setzen, aber nicht einem Menschen. Er konnte so viel reden, wie er wollte. Sie schlossen eine Menschenkette um ihn, und er stand da wie eine vertrocknete Puppe, schaute die dummen Weiber und die Arbeiter an, die die Figur bildeten. Er legte nur die Hände auf die Wangen. Dann schleppte er sich auf meine Schulter gestützt nach Hause. Ich bin mir dessen bewusst – in diesem Augenblick verstand er, dass das Ende nah war.

Jetzt machten sie ihn fertig. Es begann mit ein paar Vergewaltigungsfällen, Störung der öffentlichen Ordnung und Ähnlichem. Im Rathaus amtierte der junge Strumiński, der Sohn des Milizionärs – des ersten Wundropfers, und wenn jemand auf der Welt diesen Scheißkerl geliebt hatte, dann war das er gewesen. Er verzieh Antoni nie. Er entdeckte, dass es für das gesamte Sanktuarium keine Baugenehmigung gab. Das Pilgerhaus figurierte im Grundbuch als Scheune. Vielleicht hätten wir in der Sache etwas erreichen können, doch der zuständige Richter war der alte Wituś, der Gatte der wundersam Geheilten. Wie ich ihn kenne, dachte er während der Verhandlung an seine alte, streitsüchtige Frau und sprach das entsprechende Urteil. Die Gebäude wurden abgerissen. Einheiten, die aus Liegnitz abgeordnet worden waren, trieben die Protestierenden auseinander.

Die Menschen denken, dass Antoni genau aus diesem Grund verschwand, aber ich kann noch zwei andere Gründe anführen. Taten haben Konsequenzen, die Konsequenzen wachsen heran, wimmern und schreien. Die Stille in Antonis Haus zerstörte das Trippeln vieler kleiner Füße. Die Frauen kamen mit Kindern wieder, Antoni nahm sie alle ohne Ausnahme auf, bis sich das Parterre des Pilgerhauses in eine Kinderkrippe verwandelt hatte. Ein gutes Dutzend vollgeschmierter Knirpse stoben über das Grundstück. Immer waren ein paar krank. Alle waren immer laut. Antoni betrachtete sie,

nahm sie in seine Arme, strubbelte ihnen sanft durchs Haar, lächelte trübsinnig, bis er eines Herbstabends fortging und nicht mehr zurückkam.

Die letzte Ursache seines Verschwindens denke ich mir nur. Ich erinnere mich an das Gewimmel des letzten Jahres, in dem das Sanktuarium bestand. Alle bumsten, Radio und Fernsehen kamen, die Priester fluchten, die Gemeinderäte strengten weitere Prozesse an, fürchterliche Bankerte winselten um Nahrung, doch niemand dachte mehr an Wunder, Gott oder den Erzengel.

8. Das Leben in Bengelquengel kehrte zur Norm zurück. Es kamen immer noch Frauen, aber es waren jeden Monat weniger. Die Journalisten vergaßen uns. Ein Kerl tauchte auf, der über Antoni ein Buch schreiben wollte. Niemand wollte mit ihm reden. Die weißen Mäntel landeten im Schrank. Die Ehefrauen kehrten zu ihren Ehemännern zurück oder ließen sich von ihnen scheiden. Aus den Kiosken verschwand für eine gewisse Zeit die Pornografie.

Über Antoni kursierten die verschiedensten Geschichten. Man sagte, er sei in der Nacht seines Verschwindens gestorben. Er sei gestürzt, als er durch den Wald ging. Tiere hätten den mageren Körper zerrissen. Andere wollten ihn in einer Menge amerikanischer Propheten gesehen haben. Dort, jenseits des großen Wassers, fehlte es immer an Wundertätern. Er sei ins Kloster gegangen. Er habe geheiratet und eine neue Familie gegründet. Er sei in Haft. Der Geheimdienst habe ihn übernommen. Der Erzengel Gabriel sei wiedergekommen und habe ihn lebendig in den Himmel aufgenommen.

All das war nicht die Wahrheit. Antoni war fortgegangen, jedoch nicht weit. Für die Reste der Spendengelder hatte er ein Häuschen bei Żąbkowice gekauft, unweit von uns.

Um das Häuschen hatte er eine hohe Mauer gezogen, Stacheldraht bekränzte die Mauer, und er bezahlte jemanden fürs Einkaufen. An der Tür hing das Logo eines Wachdienstes. Manchmal frage ich mich, was er empfand, was er dachte, wenn er so in Einsamkeit und Stille da saß. Hatte er Bengelquengel vergessen? Die Stadt erinnerte sich an ihn.

Der Sommer 1997 triefte vor Regen, Breslau versank, und die Flutwelle näherte sich Bengelquengel. Fieberhaft türmten wir Sandsäcke an der Barbe auf. Auf der Brücke beteten Greisinnen. Zwölf schöne Frauen fuhren nach Żąbkowice, manche wurden von ihren Männern hergebracht, andere kamen allein.

Sie meldeten sich bei Antonis Haus. Sie riefen, er möge sie einlassen, denn die Flutwelle. Alles würden sie tun, denn die Flutwelle. Sie entschuldigen sich, denn die Flutwelle, wenn nur die Flutwelle nicht wäre. Sie entblößten ihre Brüste und Schöße. Sie versuchten die Mauer zu erklimmen. Aus einem schwarzen Audi stieg der junge Strumiński und fiel auf die Knie. Richter Witus fuhr mit seinem Benz vor und sank ebenfalls auf die Knie.

Die Mauer war hoch. Ein junger Kerl kletterte auf einen Baum und sah den einstigen Propheten. Antoni stand im Garten, auf einen Stock gestützt, da. Sein Gesicht war reglos, nur seine Hand zitterte. Gelassen hörte er die Gebete und das Flehen an, und dann sprach er mit seiner schönen Stimme, mit der er einst in der Kirche Gott mit Elvis' und Frank Sinatras Stimme gepriesen hatte: – Sauft doch ab, ihr Scheißkerle.

Krakau 2014

[Übersetzung: Ursula Kiermeier]

1. Byłem Templariuszem Stalowego Anioła i Jego Sługi. Plecy okalał mi biały płaszcz. Mój kastet zdobiły krzyże, a dusza moja pozostała niewzruszona. Wskazywałem drogę pielgrzymom i gromiłem niewiernych. Śpiewałem Mury Jerycha wraz z braćmi w zakonie, a moje kolana stwardniały od klęczek. Spoglądałem w niebo, czekając, aż się rozstąpi, zaś cienie świętych zlewały się z moim własnym cieniem.

Zrozumcie. Miałem dwadzieścia lat, żadnych perspektyw i chciałem sobie poruchać.

2. Pozostał tylko jego pomnik. Patrząc na niego w tej chwili. Jest naturalnej wielkości, ciemnobrązowy, zasłonięty przez krzaki i obrośnięty mchem. Twarz proroka, niegdyś zwrócona ku niebu, niebezpiecznie przechyliła się ku Brzance. Niedługo runie w wodę, która go podmywa i ludzie o nim zapomną. Wezmą za kamień. Ktoś przysiądzie, rozłoży koc, aż w końcu, pewnego smutnego dnia, piasek przykryje go zupełnie.

Antoni zawsze podobał się kobietom i idę o zakład, że niektóre przychodziły do kościoła specjalnie dla niego. Jeśli jeszcze chodzicie do kościoła, wiecie, jak zwykli śpiewać organiści. Można pomyśleć, że ktoś takiemu przystawił pistolet do głowy, albo że puścił kleksa w spodnie od taniego garnituru. Ani w tym talentu, ani miłości do Stwórcy. Antoni był inny. Śpiewał z pasją, a jego głos miał w sobie ciepło Elvisa i ogień Sinatry lub krzaka gorejącego, wedle woli. Wtedy, zaraz po stanie wojennym w życiu bym na to nie wpadł, ale ten jego głos brzmi we mnie do dziś.

Poza tym był wysokim, szpakowatym facetem, który, idąc przez nawę, wywoływał falę delikatnych, damskich westchnień. Próżno wdychały, gdyż do lata, w którym wszystko się zaczęło, Antoni pozostawał niedorzecznie wierny swojej Anieli, jakby połączyła ich identyczna litera alfabetu. Poza tym niewiele można było o nim powiedzieć. Miał domek na obrzeżach Rykusmyku, a za tym domkiem płynęła sobie Brzanka i wszystko wskazywało na to, że zestarzeje się jak wszyscy i umrze tak, jak każdy musi.

3. Każdej soboty Antoni opuszczał swój maleńki dom z grubą Anielą w środku, brał wędkę, podbierak, wiklinowy kosz, pudełko z przynętami, kanapki od żony oraz półlitrowkę i dreptał nad Brzankę. Ryb tam niewiele, ale, myślę sobie, że Antoniemu chodziło po prostu o to, żeby posiedzieć sobie w spokoju do zmierzchu i o nic więcej. Gdy tylko zaszło słońce, dreptał do siebie, chwalił się żonie nędznym połowem i zwał się na łóżko. Aniela zdejmowała mu buty, spodnie i cały czas kręciła głową, mówiąc „och Antoni, och Antoni!”.

Tu muszę dodać coś ważnego. Nie widziałem większości tego, co się wydarzyło. Byłem za mały, gdzie indziej, no i nie widuję aniołów. Wiem, co ludzie mówią, szepczą i co gazety pisały. Ale nie zmyślam, nie koloruję, nie dopowiadam. Jak czegoś nie wiem, to powiem, że nie wiem i tyle, to musi wam wystarczyć. I tu właśnie jest kłopot, gdyż o tamtym szczególnie, sobotnim popołudniu mówi się różnie i często sprzecznie. Zależy od człowieka, a każdy przecież wie lepiej od innych. Więc jeszcze raz: po prostu nie wiem. Ale ta akurat wersja wydarzeń najlepiej pasuje mi do Antoniego.

Więc, jak w każdą sobotę Antoni pojadł, zabrał co swoje i usiadł nad Brzanką. Wędkę oparł o widełki, nalał wódeczki do metalowego kubka i patrzył sobie w nurt. Grzało słońce. Nad wodą i polami za nią śmigały jaskółki. Antoni popijał, obserwował spławik, właściwie nieważne co robił, ważne jest tylko, że w pewnej chwili poczuł gorącą dłoń na ramieniu. Za Antonim stał sam Archanioł Gabriel. Wysoki na trzy metry, zakuty w stalową zbroję rozpościerał złote skrzydła. Zapytał łagodnie, czy ryby dzisiaj biorą. Antoni runął na kolana i zaczął się modlić.

Archanioł Gabriel podniósł z kolan wstrząśniętego Antoniego i orzekł, że ma dla niego misję od samego Stwórcy. Misja ta odmieni los jego, naszego Rykusmyku, być może całego świata również. Anioł mówił. Antoni słuchał. Nad nimi rozbłysły gwiazdy. Tej nocy księżyc był większy niż kiedykolwiek. Krowy zaczęły śpiewać. Lisy przytuliły się do kur. Wreszcie, Gabriel pobłogosławił Antoniego, nazwał Abrahamem, Izaakiem i Jakubem naszej gminy, obdarzył mocą czynienia cudów, po czym zniknął w osikowym zagajniku, żeby już nigdy nie powrócić.

4. Antoni wrócił do domu, runął na łóżko, Aniela zdjęła mu spodnie i buty, powtarzając to co zawsze. Położyła się przy nim, zachrapała, lecz Antoni nie spał do świtu, zastanawiając się, jak rozpocząć dzieło Boże. Obawiał się, że wiernej Anieli niezbyt spodobać się słowa Archanioła Gabriela. Gabriel rzekł bowiem, że ogrom nieszczęść na świecie, zaś w dławionej komunizmem Polsce zwłaszcza, zasmuca dobrego Stwórcę i tylko on, Antoni, może postawić tamę złu. A potem Gabriel rzekł, że za każdym razem, gdy Antoni zaprosi do swego łóżka nową kobietę, jedno nieszczęście zostanie zażegnane. Wyłomoczesz od tyłu – zapowiedział anioł – dojdzie do uzdrowienia. Jak po bożemu – milicja odpuści dobremu człowiekowi. W usta męskość włożysz – dziecię niewinne ocalisz przed łyżeczkowaniem. Leżąc w mokrej pościeli, Antoni zachodził w głowę, czy cuda nie nastąpiłyby, gdyby te wszystkie rzeczy wykonał ze swoją Anielą, lecz wraz

z nadejściem świtu doszedł do wniosku, że z wolą Bożą nie godzi się klócić.

Przez pierwsze miesiące Aniela nie wiedziała, że dzieli łóżko z prorokiem i cudotwórcą, za to kobiety z naszej parafii nagle zaczęły uśmiechać się i stroić. Antoni śpiewał w kościele jeszcze piękniej i donośniej. Co sobotę zabierał wędkę, podbierak, koszyk i całą resztę, nie szedł jednak nad Brzankę, lecz zupełnie gdzie indziej. Wracał o zmroku. Usta przepłukiwał wódką, resztę butelki wylewał w krzaki i wtaczał się do domu, udając pijanego.

Sprawa by się wydała, gdyby nie zaszedł do dwóch kobiet: Strumińskiej i Witusiowej. W głowie tej drugiej pęczniał guz mózgu, więc szczególnie potrzebowała pocieszenia. O Strumińskiej niewiele mogę powiedzieć, za to o jej mężu całkiem sporo. Ludzie do dziś przeklinają jego imię. Taki gość w dawnych czasach poszedłby na gestapowca, u nas doszedł do sierżanta, a ponad władzę kochał tylko pieniądze i bicie. Nawet inni milicjanci go nie lubili. Pijany zachodził do Ratuszowej i płakał, że nikt nie chce grać z nim w karty. Starsi chłopcy kredą na murach często rysowali świnię w mundurze, co go szczególnie rozwścieczało – był bowiem tłusty, czerwony na pysku i miał odstające uszy.

Nikt nie wie, jak Strumiński poznał prawdę. Niektórzy utrzymują, że była to część planu Bożego. Dopadł Antoniego, gdy ten szedł z żoną koło ratusza, jednym ciosem obalił na ziemię i kopał, krzycząc „moją mi jebiesz, to ja ciebie zajebię!”. Aniela wyła, ludzie się pozlatywali, Antoni nawet się nie bronił, tylko osłaniał raz brzuch, raz głowę. Strumiński, tłuste prosię, kopał coraz mocniej, robił się na pysku coraz bardziej czerwony, aż zsiniał, chwycił się za serce i runął bez życia na bruk.

Ludzie podnieśli obitego Antoniego. Aniela otarła mu krew z twarzy i zapytała, czy to prawda. Nim Antoni zdążył odpowiedzieć, wyrosła przed nim Witusiowa i wielkim głosem zawołała, że mamy w Rykusmyku cudotwórcę. Ją też jebał. Właśnie wróciła z badań. Guz zniknął bez śladu. Obok stał zbaraniały Witus. Aniela znów zalała się łzami. Ludzie patrzyli po sobie. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc przemówiły cuda: znikający guz i martwy skurwysyn. I tak, Rykusmyku uklęknięto przed Antonim.

5. Aniela odmówiła roli żony proroka i wróciła do rodziców, czego Antoni nawet nie dostrzegł, nazbyt zajęty wykonywaniem woli Bożej oraz budową sanktuarium. Najpierw postawił kapliczkę nad Brzanką, gdzie wszystko się zaczęło. Po prawdzie, była to zwykła budka z krzyżem i portretem Archanioła Gabriela pędzla samego Antoniego. Dawno ją rozebrali. Nie ma też większości budynków, które wznosił wokół swojej parceli, a stała przecież kaplica, magazyn i dwupiętrowy dom pielgrzyma, wznoszone stopniowo, z datków, za cichą zgodą przedstawicieli władzy, którym kobiety szeptały do ucha, co należy zrobić.

Antoni szczerze pragnął porozumienia z Kościołem. Biskup zagroził mu ekskomuniką, nasz proboszcz omal nie pobił. Antoni rzekł, że nie wiedzą, co czynią i sam przystąpił do wygłaszania kazań w każde sobotnie

popołudnie. Opowiadał o głębi Bożego miłosierdzia, o swojej drodze cierniowej, aż w końcu wypalił, że nadchodzą czasy ostatnie i Rykusmyku będzie Nową Jerozolimą. Poza tym nie miał względu na osobę. Przez jego wytarty próg przechodziły nastoletnie piękności i zgrzybiałe staruchy, ryczące czterdziestki i pancerne lochy, garbate karlice i cynculinki, wydry, flądry, zakonnice, przedstawicielki służb mundurowych, matki i córki oraz pewien transwestyta, straszliwie później obity. Rozpowiadał potem, że wśród licznych łask, jakie otrzymał Antoni, istnieje ta szczególna, wyrażająca się w rozmiarze i wiecznej gotowości.

Cuda rzeczywiście się zdarzały, choć nie tak często jak ludzie by chcieli. Żadnego nie doświadczyłem, znam tylko opowieści innych. Parę razy pięknie obrodziło zboże. Gniewnemu Margolowi wrocławski chirurg amputował rękę pod łokciem i Margol nie mógł już bić żony, choć pragnął tego nad życie. Zaczął kopać, minął rok i już jeździł na wózku, pokorny i cichutki. Pożar, który wybuchł w zakładzie fryzjerskim na Góralskiej zgasł, ponoć sam z siebie, nim przyjechała straż pożarna. Pocziwy Stasio Pieniążek wsiadł do fiata pijany jak bela i popędził wprost na mur, mur ten przeniknął jak mgłę i znalazł się po drugiej stronie, cały i do tego trzeźwy. Później Pieniążkowa klęła się na wszystkich świętych, że odwiedziła Antoniego nie więcej jak godzinę przed wypadkiem. Statystycy stwierdzili wyraźny spadek śmiertelności.

Większość zdradzanych mężczyzn reagowała ze zrozumeniem, uznając, że poroże to niewielka cena za łaskę i dobrobyt. Część siedziała cicho ze względu na szacunek, jakim otaczał się Antoni. Pamiętali los Strumińskiego. Ale znaleźli się i tacy, którzy twierdzili, że żaden to prorok czy tam cudotwórca, lecz zwykłe bydlę, co chce sobie pojechać. Stłuc takim ryja, mówili. Wpierdolić, chuja urżnąć, odgrazali po paru głębszych.

I tak pojawiliśmy się my.

6. Zaczęło się od paru byczków, pilnujących porządku wokół sanktuarium. Nosili białe opaski z wyszytym aniołkiem. Rozdzielali szarpiące się baby, przeganiali rozjuszonych mężów, braci, ojców i kochanków. Ale z początkiem lat dziewięćdziesiątych o Antonim zaczęły pisać gazety, zdarzyły się ze dwa programy w telewizji, no i trzeba było powiększyć dom pielgrzyma. Kobiety przyjeżdżały z całej Polski, za nimi ciągnęli ich wściekli mężczyźni, więc trzeba było działać. Drżąc o własne bezpieczeństwo, Antoni kazał uszyć białe płaszcze, ogłosił nabór do zakonu i tak w Rykusmyku pojawili się Templariusze Stalowego Anioła i Jego Sługi, ze dwudziestu chłopów gotowych na wszystko.

Zapytacie mnie, czy w to wszystko wierzyłem. Odpowiem szczerze. Raz tak, raz nie. Antoni był ujmującym, skromnym człowiekiem i nigdy nie wątpiłem w prawdziwość jego doświadczenia. Albo oszalał, albo rzeczywiście zobaczył anioła. Z Bogiem mam podobnie. Czasem wydaje mi się, że jest, czasem wręcz przeciwnie, ale mam dość uczciwości, by powiedzieć prawdę. Do służby zaciągnął mnie inny Templariusz. Powiedział, że bab jest mnóstwo i to nagrzanych, do proroka kolejka długa i możemy

tylko na tym zyskać. Numerek z Templariuszem stanowił, zdaniem niektórych, przystawkę przed daniem głównym, a nawet potrafił je zastąpić. „No dobra”, powiedziałem sobie i już następnego dnia stałem obok kapliczki w białym płaszczu narzuconym na koszulkę bez rękawów.

Nigdy tego nie zapomnę. Wyobraźcie sobie tylko parcelę wielkości szkolnego boiska, do której wiedzie wąska droga zatkana przez zaparkowane samochody. Pośrodku parceli stoi kaplica zbudowana na planie koła, mała, za to wysoka na cztery piętra, budząca przez to oczywiste skojarzenia. Wieńczy ją skrzydlate straszdyło powstałe w wyniku odważnego zespawania najróżniejszych metalowych części. Nieco na uboczu znajdują się pomieszczenia magazynowe, kuchnia oraz prowizoryczny punkt sanitarny, gdzie w szczytowym okresie pracuje trzech lekarzy, siedmiu sanitariuszy oraz jeden stomatolog – wszyscy za darmo. Obok cwaniacy rozstawiają się z kielbaskami. Dźwięki z domu pielgrzyma nie milkną nawet o świcie. Między punktem sanitarnym a polem namiotowym stoi dom Antoniego, taki sam jak zawsze, tylko pobielony. Dostępu do niego broni przynajmniej tuzin Templariuszy. Nie wpuszczą nikogo, aż dzwonek z wnętrza nie oznajmi, że prorok jest gotowy. A wszędzie baby proszące o łaskę w najróżniejszych sprawach.

Czasem było gorąco przez tych wszystkich zazdrosnych facetów. Nie było dnia bez awantury, ten kumpel, co mnie wciągnął, nie widzi na jedno oko i powłóczy nogą. Mi złamali nos i dwa żebra. Grozili moim rodzicom i obili brata, na szczęście umiarkowanie. Ale wiem jedno. Gdy będę umierał, a kobiety będą patrzyły na mnie z litością, wspomnę te dni w białym płaszczu i uśmiechnę się szeroko, tak jak uśmiechają się tylko królowie. Pochowają mnie z tym uśmiechem. W trumnie będę się szczyrzył od ucha do ucha.

7. Antoni nie chciał pomnika. Wyszedł od siebie, błąd, pod oczami miał dwie czarne podkowy i podpierając się drzew, dotarł aż nad Brzanekę, żeby poprosić ludzi, by tego nie robili. Przynajmniej nie w miejscu objawienia. Mówił, że jest tylko posłańcem, że Bogu mogą pomnik postawić, a nie człowiekowi. Mógł gadać do woli. Otoczyliśmy go kordonem, a on stał jak wysuszona kukła i patrzył na głupie baby i robotników ustawiających tę figurę. Tylko dłonie do policzków przyłożył. Potem powłókł się do siebie, wsparty na moim ramieniu. Mam pewność – w tej chwili zrozumiał, że koniec jest bliski.

Załatwili go na cacy. Zaczęło się od paru spraw o gwałty, zakłócanie porządku publicznego i tym podobne. W ratuszu urzędował młody Strumiński, syn milicjanta – ofiary cudu i jeśli ktoś na całym świecie kochał tego grubego skurwysyna, to właśnie on. Nigdy nie wybaczył Antoniemu. Odkrył, że całe sanktuarium jest samowolą budowlaną. Dom pielgrzyma w aktach figurował jako stodoła. Może i moglibyśmy ugrać coś w tej sprawie, ale sędzią był stary Wituś, mąż cudownie uzdrowionej. Jak go znam, podczas rozprawy popatrzył na bladego Antoniego, pomyślał o swojej starej, kłótlivej żonie i wydał stosowny wyrok. Budynki rozebrano. Jednostki ściągnięte z Legnicy rozgoniły protestujących.

Ludzie uważają, że Antoni zniknął właśnie z tego powodu, ale mogą wskazać jeszcze dwie inne przyczyny. Czyny mają konsekwencje, konsekwencje rosną, kwilą i krzyczą. Ciszę domu Antoniego zakłócił tupot wielu małych stóp. Kobiety powracały z dziećmi, Antoni przyjmował je wszystkie bez wyjątku, aż parter domu pielgrzyma zmienił się w żłobek. Kilkanaście umorusanych malców ganiało po parceli. Jakies zawsze chore. Wszystkie zawsze głośne. Antoni przyglądał się im, brał na ręce, tarmaścił czule, uśmiechając się smutno, a pewnego jesiennego poranka poszedł sobie i nigdy nie wrócił.

Ostatnia przyczyna jego odejścia jest tylko moim domysłem. Przywołuję w myślach zgiełk ostatniego roku trwania sanktuarium. Wszyscy się pierdoliłi, przyjeżdżało radio z telewizją, księża kłęli, Urban rechotał, radni zakładali kolejne sprawy, potworne bachory wyły o pokarm, lecz nikt nie pamiętał już o cudach, Bogu i Archaniele.

8. Życie w Rykusmyku wróciło do normy. Kobiety dalej przyjeżdżały, ale było ich mniej z każdym kolejnym miesiącem. Dziennikarze o nas zapomnieli. Pojawił się jakiś facet, który planował książkę o Antonim. Nikt nie chciał z nim rozmawiać. Białe płaszcze wylądowały w szafach. Żony wróciły do mężów albo się z nimi rozwiodły. Z kiosków na jakiś czas zniknęła pornografia.

O Antonim krążyły najróżniejsze opowieści. Mówiono, że umarł w noc swego odejścia. Padł, idąc przez las. Zwierzęta rozszarpały chude ciało. Inni widzieli go w tłumie innych amerykańskich proroków. Tam, za wodą nigdy dosyć cudotwórców. Poszedł do klasztoru. Ożenił się, założył nową rodzinę. Został aresztowany. Przejęły go

służby specjalne. Archanioł Gabriel powrócił i zabrał go żywcem do nieba.

To wszystko nieprawda: Antoni odszedł, lecz niezbyt daleko. Za resztki z datków kupił domek pod Ząbkowicami, niedaleko od nas. Domek ogrodził wysokim murem, mur zwieńczył drutem kolczastym i opłacił człowieka, który przynosił mu zakupy. Na drzwiach widniało logo agencji ochrony. Czasem zastanawiam się, co czuł, co myślał, siedząc w samotności i ciszy. Czy zapomniał o Rykusmyku? Miasto pamiętało.

Lato 1997 roku chlusnęło deszczem, Wrocław zatonał i fala powodziowa zbliżyła się do Rykusmyku. Gorączkowo układaliśmy worki z piaskiem nad Brzaneką. Na moście modliły się staruchy. Dwanaście pięknych kobiet pojechało pod Ząbkowice, niektóre odprowadzane przez mężów, inne same. Zameldowały się pod domem Antoniego. Wołały, by je wpuścił, bo fala. Zrobią wszystko, bo fala. Przepraszają, bo fala, żeby tylko fali nie było. Odślaniały piersi i krocza. Próbowwały wspinać się na mur. Z czarnej audicy wysiadł młody Strumiński i runął na kolana. Sędzia Wituś zajechał mercem i również uklęknął.

Mur był wysoki. Jakiś młody chłopak wspiał się na drzewo i zobaczył byłego proroka. Antoni stał w ogródku, wsparty o laseczkę. Twarz miał nieruchomą, tylko dłoń mu drżała. Spokojnie wysłuchał modlitw i błagań, a potem rzekł tym swoim pięknym głosem, którym niegdyś chwalił Boga w kościele, głosem Elvise i Franka Sinatry:

– A niech was pozalewa, skurwysyny.

Kraków, 2014

ŁUKASZ ORBITOWSKI (1977, Polen) – studierte Philosophie an der Jagiellonen-Universität. Er debütierte in der Monatszeitschrift „Science Fiction“. Mittlerweile hat er 12 Bücher veröffentlicht, u. a. von der Kritik hoch gelobte Werke wie *Tracę ciepło* [Ich verliere Wärme] (nominiert für den Janusz-Zajdel-Preis, Goldene Auszeichnung des Jerzy-Żuławski-Literaturpreises), *Święty Wrocław* [Heiliges Breslau] (nominiert für den Janusz-Zajdel-Preis, Silberne Auszeichnung des Jerzy-Żuławski-Literaturpreises), den Erzählband *Nadchodzi* [Es bricht herein] und *Widma* [Geister] (Goldene Auszeichnung des Jerzy-Żuławski-Literaturpreises). 2012 erhielt er das Stipendium des Ministers für Kultur und Nationalerbe „Młoda Polska“. Zudem ist er Feuilletonist der Tageszeitung „Gazeta Wyborcza“ und der Zeitschrift „Nowa Fantastyka“. Er lebt in Kopenhagen.

ŁUKASZ ORBITOWSKI (1977, Polska) – ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutował na łamach miesięcznika „Science Fiction”. Aktualnie poza niezliczonymi opowiadaniem ma na swoim koncie 12 książek, w tym doskonale przyjęte przez krytykę *Tracę ciepło* (nominacja do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, Złote Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego), *Święty Wrocław* (Srebrne Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, nominacja do Nagrody im. Janusza A. Zajdla), zbiór opowiadań *Nadchodzi* oraz głośne *Widma* (Złote Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego). Jest laureatem Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Młoda Polska” 2012. Poza beletrystyką pisze felietony dla „Gazety Wyborczej” i „Nowej Fantastyki”. Mieszka w Kopenhadze.

DIE SCHULE

Auszug
отрывки романа

ШКОЛА

Erster Mai. Ich sitze an der Haltestelle. Zur Demonstration war ich nicht, logisch. Hab' bis elf gepennt, mir die kalten Buletten von gestern reingeschoben – und dann nix wie raus.

Da kommt Johann. Wir begrüßen uns.

„Brennt's irgendwo? Hast ja heute Ausgang, Johann! Swetka lässt dich sonst nicht weg, was?“

„Red' keinen Blödsinn! Ich kann hin, wohin ich will. Was glaubst du denn – dass ich Swetka irgendwas erklären muss? Und wieso ich hier nicht abhänge? Ist doch sowieso nix mehr los hier in Rabotschi. Haken sitzt ein. Und Baguette gibt sich die Kante, bei dem geht's nur um eins: ‚Haste ma'n Rubel?‘ Der schuldet mir schon 'nen ganzen Zehner. Wenn ich mir was zurückholen will, bringt das eh nix, der ist ständig dicht. Und du bereitest dich auf die Hochschule vor, dich sieht man hier auch nicht mehr. Soll ich etwa mit den Kids an der Haltestelle rumhängen?“

„Weiß auch nicht.“

„Haste Kippen?“

„Ja.“

Ich hole eine Schachtel Astra heraus, gebe Johann eine Zigarette und stecke mir selbst eine an.

„Sag mal, Johann, stimmt das eigentlich, dass Senja und Kulja auf dem Markt schwarz mit türkischen Teppichen handeln?“

„Ja.“

„Und wo kriegen sie die her?“

„Sie selbst kriegen die nirgendwo her, sie verkaufen sie nur, und so ein paar Typen aus dem Zentrum besorgen sie ihnen.“

„Und wo kriegen die Typen die her?“

„Von den Polen, wenn die kommen, irgendwelche Sportler oder was weiß ich. Die steigen im *Tourist* oder im *Mogiljow* ab und verkaufen Kaugummis, T-Shirts und Teppiche. Die Typen kriegen raus, wann die Polen im Hotel sind, und dann gehen sie hin, verhandeln mit ihnen, damit sie im Preis runtergehen – sonst zocken die einen nämlich so richtig ab.“

„Und kann man nicht direkt zu den Polen gehen und sich was holen?“

„Glaubst du, nur du bist so schlau? Da ist alles längst aufgeteilt. Diese Typen sind doch voll ausgekocht.“

„Machen Senja und Kulja auf dem Markt eigentlich so richtig Kohle?“

„Kommt drauf an, für wie viel sie verkaufen. Diese Typen zum Beispiel kriegen die Teppiche für hundertzwanzig von den Polen und geben sie Kulja und Senja zum Verkaufen, dafür wollen sie hundertsechzig haben. Das heißt, wenn sie die dann für hundertachtzig verkaufen, haben sie zwanzig für sich, wenn sie's billiger machen, wird's weniger.“

„Können wir da nicht mitmachen?“

„Kapist du denn gar nicht? Weißt du, wie viele es von deiner Sorte gibt? Ich hab Kulja schon längst belabert, von wegen, ich würde auch mit ihnen auf dem Markt was verkaufen. Und, was glaubst du? Der kam gleich mit irgendwelchen Ausreden an, von wegen, das Zeug verkauft sich total scheiße und man verdient gar nix. Und sie selbst, verdammt, fahren jeden Tag mit ihrem Schlitten in die Stadt, hängen bis Anschlag in der Kneipe rum und baggern irgendwelche Bräute an. Aber auch egal, ich hab hier jedenfalls nix verloren.“

„Alles klar. Und wie sieht das bei dir und Swetka aus, bist du jetzt verheiratet?“ „Wie soll das schon aussehen? Ganz normal halt. Wir wohnen bei uns, die Tante ist wieder nach Petschersk zurück. Swetka arbeitet nicht, hängt die ganze Zeit zuhause rum und guckt fern. Ich geh' zur Fachschule. Wenn ich nach Hause komme, besorge ich's ihr, bevor Mutter kommt; danach gucke ich mit ihr zusammen fern. Ihre Oma hat eine Wohnung in Jubilejnoje, die Oma will jetzt aufs Land ziehen und dort leben, und wir kriegen die Wohnung.“

„Willst du etwa weg von hier?“

„Na und? Da sind wir wenigstens für uns allein und keiner quatscht einen mehr voll. Ich komme dann ab und zu hier vorbei, logisch, quasi zu Besuch, aber sonst – was kann man hier schon machen? Sag mir doch, wann es das letzte Mal bei uns anständig zwischen den Wohngebieten zur Sache ging. Voriges Jahr? Die älteren Typen brauchen das alles nicht mehr, die wollen nur noch eins: Kohle machen. Und wenn die Kleinen von irgendwelchen Chefs eins über die Rübe kriegen, geht mir das am Arsch vorbei.“

„Und, gehen wir heute saufen?“

„Ach was, ich bleibe zuhause, mit Mutter und Swetkas Leuten. Schließlich ist heute Feiertag. Wenn du willst, komm auch vorbei.“

„Nö, kein' Bock.“

*

An der Haltestelle beim GUM warte ich auf mein Mutterchen. Wir sind verabredet, wollen mir zum Abschlussball einen Anzug kaufen.

Ich rauche und gucke mir die Weiber an. Das Wetter ist geil, und sie haben alle Sommerklamotten an. Einige sind okay, aber jetzt läuft sowieso nix: Da gehst du hin, fängst zu labern an – und plötzlich taucht deine Mutter auf. Da ist sie auch schon – mit ihrer lebenslangen schwarzen Handtasche. Hundertmal sind die Henkel schon abgerissen, und sie näht sie immer wieder an, statt sich mal eine neue zu kaufen.

„Wartest du schon lange?“

„Nee, bin gerade erst gekommen.“

„Na, dann mal los.“

Neben dem GUM stehen die Leute Schlange: Es gibt irgendwas. Ich frage Mutter:

„Vielleicht gucken wir mal, was es da gibt?“

„Ach was, besser nicht. Ich hab sowieso nur Geld für den Anzug dabei. Das ist jetzt die Hauptsache. Einen Anzug brauchst du, und nicht nur zum Abschlussball, vielleicht auch an der Hochschule oder anderswo. Und wenn erst die Preise wieder steigen, kannst du dir keinen mehr kaufen. In den Zeitungen schreiben sie ja schon, dass alles teuer wird.“

Wir gehen in die erste Etage, laufen an der Fototechnik und am Juwelier vorbei zur Herrenmode. Vor uns zwei Typen aus Wetry – das sieht man an den Streifen auf ihren Sporthosen. In Wetry tragen sie zwei weiße Streifen auf jedem Hosenbein, in Rabotschi drei, aber nur wenige bei uns haben solche Hosen, ich auch nicht. Den Typen aus Wetry kommt einer aus Lupolowo entgegen: ein breiter Streifen. Er geht direkt auf sie zu, will sich zwischen ihnen durchzwängen, bleibt an den Schultern hängen. Der eine will ihm eine reinhauen, aber der Typ weicht aus und gibt dem anderen eins vor die Eier – der landet auf einem Ladentisch, Glas geht zu Bruch. Die Verkäuferin brüllt:

„Hilfe, Polizei!“

Der Typ aus Lupolowo haut ab, die anderen beiden hinterher.

„Das muss man sich mal vorstellen“, sagt Mutter. „Mitten im Stadtzentrum, in einem Kaufhaus, und die fangen eine Schlägerei an. Die fürchten sich vor gar nichts mehr. Und deine Freunde sind genauso. Der eine sitzt schon im Gefängnis, und die anderen sind auf dem besten Weg dahin.“

„Lass meine Freunde in Ruhe, ja? Gucken wir uns lieber einen Anzug an.“

Mir ist es egal, welchen Anzug wir kaufen: Nach zehn Jahren Schule sind mir Anzüge so sehr über, dass ich sie einfach nicht mehr sehen kann. Seit der ersten Klasse immer die gleichen, nur die Knöpfe sind anders jetzt: früher waren das so glänzende, ohne Löcher, heute sind sie aus Aluminium, mit einem Loch in der Mitte. Aber einen „Moskauer“ Anzug – mit kurzem Jackett, wie eine Jeansjacke, und Aufschlag – hatte ich nie. Von allen Jungs hatte nur Antonow so einen, in der ersten oder zweiten Klasse.

Mutter nimmt verschiedene Anzüge unter die Lupe. Zuerst sucht sie das Preisschild und guckt, was er kostet, danach erst sieht sie sich den Anzug an. Sie zeigt mir einen grauen mit schmalen weißen Streifen. So ein Stoff war letzten Herbst in, einige Typen aus dem Lehrkombi-

nat hatten sich Hosen daraus nähen lassen.

„Und, probierst du den mal an?“

„Na gut.“

Wir gehen in die Anprobe. Ich ziehe die Cordhose aus und schlüpfe in die Anzughose, lange mühe ich mich mit dem Knopfloch ab, weil es nicht richtig durchgestochen ist, dann ziehe ich das Jackett über.

„Eigentlich nicht schlecht“, sagt Mutter. „Und wie gefällt er dir?“

„In Ordnung.“

„Dann kaufen wir ihn. Wir finden bestimmt keinen besseren. Und günstig ist er auch, nur 88 Rubel.“

„Dann nehmen wir ihn halt.“

„Wieso sagst du das so – ohne Begeisterung?“

„Ganz normal sag' ich das.“

Mutter bringt den Anzug zum Bezahlen an die Kasse. Ich denke darüber nach, ob ich noch in der Stadt bleiben und einfach herumlaufen oder lieber nach Hause fahren soll. Mit meiner Mutter Trolleybus zu fahren, ist unseriös, aber in der Stadt gibt's auch nicht so richtig was zu tun. Wir gehen gemeinsam zur Haltestelle.

Im Trolleybus sind Plätze frei. Wir setzen uns hin, Mutter sagt:

„Serjosh, du erzählst mir gar nichts mehr von dir, was dich bewegt, woran du denkst. Ich weiß nicht mal, ob du eine Freundin hast.“

„Hab ich nicht.“

„Hattest du denn schon mal eine?“

„Könnte man so sagen.“

„Und warum hast du uns nie von ihr erzählt?“

„Weiß nicht. Hab's halt nicht erzählt ...“

„Du solltest offener mit uns sein. Wir sind doch deine Eltern.“

„Ja.“

Ich drehe mich zum Fenster. Mutter holt ihre Zeitschrift *Die Arbeiterin* aus der Tasche und fängt zu lesen an. Ich sehe sie mir an: Das ganze Gesicht voller Falten, bald ist sie so alt wie Johanns Mutter. Von meinem alten Herrn hat sie endgültig die Schnauze voll, aber rausschmeißen kann sie ihn trotzdem nicht, obwohl sie leben wie Hund und Katz.

*

Am neunten Mai ist Totengedenktag. Mein Mutterchen und mein alter Herr sind aufs Land gefahren, zu Oma auf den Friedhof. Ich sollte auch mit, hatte aber keine Lust. Ich war ein paar mal zum Totengedenktag mit auf dem Friedhof – ich kann das nicht leiden. Da sitzt man dann mit Fraß und Fusel auf den Gräbern herum, als könnte man nirgendwo anders trinken.

Ich gehe raus. An der Haltestelle ist keiner. Am Geschäft lungert Baguette herum. Schon knülle, versteht sich. Ich gehe zu ihm, gebe ihm die Hand.

„Hallo.“

„Hallo, Brauner.“

„Pumpst du die Leute an?“

„Nee, ich steh einfach so hier rum. Ich warte, ob vielleicht jemand von unsern Leuten kommt, alleine ist langweilig. Und jetzt kommst du vorbeigeschneit, ist doch arschgeil.“ Aus dem Geschäft kommt ein alter Mann, das Jackett mit Medaillen behängt. Er ist ganz mager und schrumpelig, sein Jackett sitzt so, als hinge es auf einem Bügel. In seinem Einkaufsnetz: ein Weißbrot und zwei Flaschen Milch.

„Ich würde dich gern mal fragen, wieso du so dreckig redest“, sagt er zu Baguette.

„Was?“

„Der schämt sich noch nicht mal, steht vor dem Geschäft auf der Straße herum und flucht wie ein Bierkutscher.

Noch dazu an einem Feiertag.“

„Brauner, weißt du, was der will?“

„Nö.“

„Wir haben gekämpft, haben unser Blut für sie vergossen, Gott verdammt. Und was ist daraus geworden? Ein Saustall, ein Haufen Scheiße.“

„Du fluchst doch selber – und ich darf nicht?“

„Wie soll man denn sonst mit euch reden? Parasiten seid ihr, verdammt noch mal. Glaubst du, ich sehe dich hier nicht vor dem Geschäft? Wie du die Leute belästigst, um fünfzehn Kopeken anbettelst? Glaubst du, ich sehe nicht, wie du betrunken durchs Wohngebiet läufst? Lernen wollen sie nicht, arbeiten auch nicht, Hauptsache saufen.“

„Das reicht, genug Moral gepredigt. Mach lieber, dass du wegkommst mit deinen Orden.“

Der alte Mann winkt ab und verschwindet in einer Seitenstraße.

[Übersetzung: Steffen Beilich]

Первое мая. Сижу на остановке. На демонстрацию, само собой, не ходил. Спал до одиннадцати, пожрал вчерашних котлет из холодильника – и гулять. Подходит Йоган. Здравомаясь.

– Что-то в лесу сдохло – Йоган погулять вышел.

Светка не отпускает никуда, да?

– Не надо ля-ля. Куда хочу, туда и хожу. Что ты думаешь – я перед Светкой отчитываюсь? А что на Рабочем не гуляю, так хули тут щас делать? Крюк сидит, Батон бухает – с ним один разговор: одолжи рубль. Он мне уже чирик должен – вот так, по рублю. А с него стрясай, не стрясай – бесполезно, он всегда бухой. Ты вот в институт готовишься, на районе тебя никогда нет. Что мне, с малолетками здесь сидеть на остановке?

– Ну, не знаю.

– Сигареты есть?

– Есть.

Вытаскиваю пачку «Астры», даю Йогану и закуриваю сам.

– Йоган, а правда, что Зеня с Кулей на базаре турецкими половиками фарцуют?

– Ага.

– А где они их берут?

– Это не они берут, они только продают, а им дают пацаны с центра.

– А те пацаны где берут?

– У поляков, когда они сюда приезжают – спортсмены там, или просто так. Живут в «Туристе» или в «Могилеве», продают жвачки там, майки, половики. Пацаны узнают, когда они в гостинице – приходят, торгуются с ними, чтоб цену скинули, а то они дерут до хера.

– А нельзя сразу пойти к полякам и взять у них?

– Думаешь – ты один такой умный? Там все уже схвачено. Это пацаны крученные еще те.

– А Зеня с Кулей много на базаре наваривают?

– Ну, смотря, за сколько продадут. К примеру, те пацаны берут у поляков половики по сто двадцать и дают Куле с Зеней, чтоб продали, а им отдали по сто шестьдесят. Значит, если продадут за сто восемьдесят – то двадцать себе, если дешевле, то меньше.

– А если к ним пристроиться?

– Ну ты простой, как двадцать копеек. Таких, как ты, знаешь сколько? Я с Кулей давно базарил – типа, давайте и я с вами буду на базаре продавать. Ну и что ты думаешь? Он сразу стал отмазки лепить, типа

шмотки хуево продаются, заработка никакого.

А сами, бля, на моторе каждый день в город едут, в кабаке сидят до закрытия, баб снимают. Короче, дело к ночи – ловить тут нечего.

– Понятно. Ну а как ты со Светкой – женатый человек? – Ну как со Светкой? Обыкновенно. Живем у нас, тетку назад в Печерск сдали. Светка не работает – дома сидит на постоянке, телевизор смотрит. Я в хабзу хожу. Приду – поставлю палку, пока матки нет, потом тоже с ней телевизор посмотрю. У ееной бабы есть квартира на Юбилейном, и эта баба хочет в деревню ехать жить, а мы тогда там будем.

– Что, переедешь с Рабочего?

– Ну а что? Там хоть одни будем – никто мозги не будет ебать. Ну, приезжать, само собой, буду – типа в гости, а так что тут делать? Ты мне скажи, когда последний сбор за район был нормальный? В том году? Старым пацанам это все не надо, у них сейчас один интерес – бабки. А если малолетки и получают пизды в тресте – мне это до жопы.

– Что, может, бухнем сегодня?

– Да я вообще дома буду, с мамашей и Светкиными – праздник все-таки. Если хочешь, пошли и ты к нам. – Не, неохота.

*

Жду мамашу на остановке около ГУМа – договорились, что пойдем покупать мне к выпускному костюм. Курю, рассматриваю баб. Погода классная, и они все в летних шмотках. Некоторые – нормальные, только сейчас ничего не будет: подойдешь, начнешь базарить – а тут мамаша.

Вот и она – со своей пожизненной черной сумкой. Ручки уже сто раз отрывались, а она их каждый раз пришивает, нет – чтоб новую купить.

– Давно ждешь?

– Да нет, только подошел.

– Ну, пошли.

Сбоку около ГУМа очередь: что-то дают. Я спрашиваю у мамашки:

– Может, сходить посмотреть, что там?

– Ай, наверно не надо. Все равно денег взяла только на костюм – это сейчас основное. Костюм у тебя должен быть – не только на выпускной. Может, в институте понадобится или еще где. А то как повысят цены на все – потом недокупишься. Вон в газетах пишут, что все будет дорожать.

Поднимаемся на второй этаж, идем мимо фототочков и ювелирного к мужской одежде. Впереди два пацана с Ветров – это видно по лампасам на спортивных штанах. Ветры носят по две белые полоски, рабочие – по три, но у нас мало у кого есть такие штаны, у меня тоже нет. Навстречу «Ветрам» – пацан с Луполова: одна широкая полоса. Он прется прямо на них, хочет пройти между, цепляет плечами. Один бьет ему прямого, пацан увертывается и дает второму по яйцам – он падает на прилавок, стекло разбивается.

– Скорей зовите милицию!

Луполовец убегает, «Ветры» – за ним.

– Подумать только, – говорит мамаша. – В центре города, в универмаге – и устроить драку. Совсем страх потеряли. И твои друзья такие же. Один вот уже сидит, и остальным только туда и дорога.

– Не трогай моих друзей, ладно? Давай лучше костюм смотреть.

Мне все равно, какой костюм покупать: за десять лет в школе костюмы так надоели, что смотреть на них не могу. С первого класса – одни и те же, только пуговицы сейчас другие: раньше были блестящие, без дырок, а теперь – алюминиевые, с дыркой посередине. А «московского» костюма – с коротким пиджаком, как джинсовка, и нашивкой – у меня ни разу не было. Из всех пацанов такой был только у Антонова – классе в первом или во втором.

Мамаша перебирает разные костюмы. Сначала находит ценник и смотрит, сколько стоит, а потом уже глядит на сам костюм. Она показывает мне один – серый, с тонкими белыми полосками. Такой материал был в моде той осенью – несколько пацанов на УПК пошили из него штаны.

– Ну как, примеришь?

– Давай.

Идем в примерочную. Я снимаю штроксы, одеваю штаны от костюма, долго вожусь с петлями для пуговиц – они плохо прорезаны, – потом натягиваю пиджак.

– Ну, вроде ничего, – говорит мамаша. – А как тебе самому?

– Нормально.

– Ну, давай тогда купим. Все равно, вряд ли лучше найдем. И недорогой – 88 рублей всего.

– Ну, давай купим.

– Почему ты так это говоришь – без энтузиазма?

– Нормально говорю.

Мамаша несет костюм к кассе – платить. Я думаю – остаться в городе погулять или ехать домой?

С мамашей в троллейбусе несолидно, но и в городе делать особо нечего. Идем вместе на остановку.

В троллейбусе – свободное сиденье. Мы садимся, мамаша говорит:

– Сережа, ты мне ничего про себя не рассказываешь – что тебя волнует, о чем ты думаешь. Я даже не знаю, есть ли у тебя девушка.

– Нету.

– А была когда-нибудь?

– Можно сказать, была.

– А почему ты нам никогда про нее не рассказывал?

– Не знаю. Не рассказывал – и все...

– Ты должен быть откровеннее с нами. Мы все-таки твои родители.

– Ага.

Я отворачиваюсь к окну. Мамаша вынимает из сумки журнал «Работница» и начинает читать. Я рассматриваю ее: все лицо – в морщинах, скоро будет старая, как мамаша Йогана. Батка ее совсем задрал, но выгнать она его не выгонит, хоть и живут, как кот с собакой.

*

Девятого мая – Радунца. Мамаша с баткой поехали в деревню – к бабе на могилу. Звали меня, но я не захотел. Я был пару раз на кладбище на Радунцу – ненавижу. Сидят на могилах со жратвой и бухлом, как будто больше выпить негде. Выхожу погулять. На остановке на Рабочем – никого. Около магазина трется Батон – само собой, уже датый. Подхожу, здороваюсь.

– Привет.

– Привет, Бурый.

– Что, капусту трясешь?

– Да не, так просто. Жду – может, кто придет со своих пацанов, а то скучно одному. Вот ты подвалил – и заебись.

Из магазина выходит дед с медалями на пиджаке.

Он весь сухой, сморщенный, пиджак висит на нем, как на вешалке. В сетке – батон и две бутылки молока.

– Вот спросить у тебя – чего ты ругаешься? – говорит он Батону.

– Что?

– И не стыдно ему – стоит на улице, около магазина, и матерится, как сапожник какой. Да еще в такой день, в праздник.

– Бурый, ты понял, что он хочет?

– Не-а.

– Мы воевали, кровь за них проливали, еб твою господу бога мать. А что случилось? Бардак и блядство.

– Сам ругаешься, а мне что – нельзя?

– А как еще с вами говорить? Вы – паразиты, блядь. Думаешь, я тебя не вижу здесь около магазина – как ты к людям пристаешь, по пятнадцать копеек просишь? Думаешь, не вижу, как ты пьяный ходишь по Рабочему? Учиться не хотят, работать тоже, лишь бы только выпить.

– Хватит мне морали читать. Вали лучше отсюда со своими орденами.

Дед машет рукой и уходит в переулок.

WLADIMIR KOSLOW (1972, Belarus) – Schriftsteller, Publizist; Autor von mehr als zehn Büchern mit Prosa und Non-Fiction, u.a. *Gopniki (Gopniks)* (2002), *1986* (2012), *Swoboda (Freiheit)* (2012) und *Wojna (Krieg)* (2013). Träger des Preises „Sdelano w Rossii“ (*Made in Russia*) in der Kategorie Literatur (2013). Nominiert für die Auszeichnung „Mensch des Jahres der Zeitschrift GQ“ in der Kategorie Schriftsteller des Jahres. Koslows Prosa stand auf der Longlist angesehener russischer Literaturpreise, wie „Nazjonalny bestseller“, „Bolschaja kniga“ oder „Nowaja slowesnost“. Koslows Bücher sind bereits in Frankreich erschienen, Erzählungen von ihm finden sich in den Anthologien *Rasskazy* und *Best European Fiction 2014* (USA).

Kontakt: www.vladimir-kozlov.com

ВЛАДИМИР КОЗЛОВ (1972, Беларусь) – прозаик, публицист; автор более десяти книг прозы и нон-фикшн, в том числе *Гопники* (2002), *1986* (2012), *Свобода* (2012) и *Война* (2013). Лауреат премии «Сделано в России» в категории Литература (2013). Номинант на премию «Человек года» журнала GQ в категории Писатель года. Проза включена в лонг-листы премий «Национальный бестселлер», «Большая книга», «Новая словесность». Книги Козлова опубликованы во Франции, рассказы включены в антологии *Rasskazy* и *Best European Fiction 2014* (США).

Контакт: www.vladimir-kozlov.com



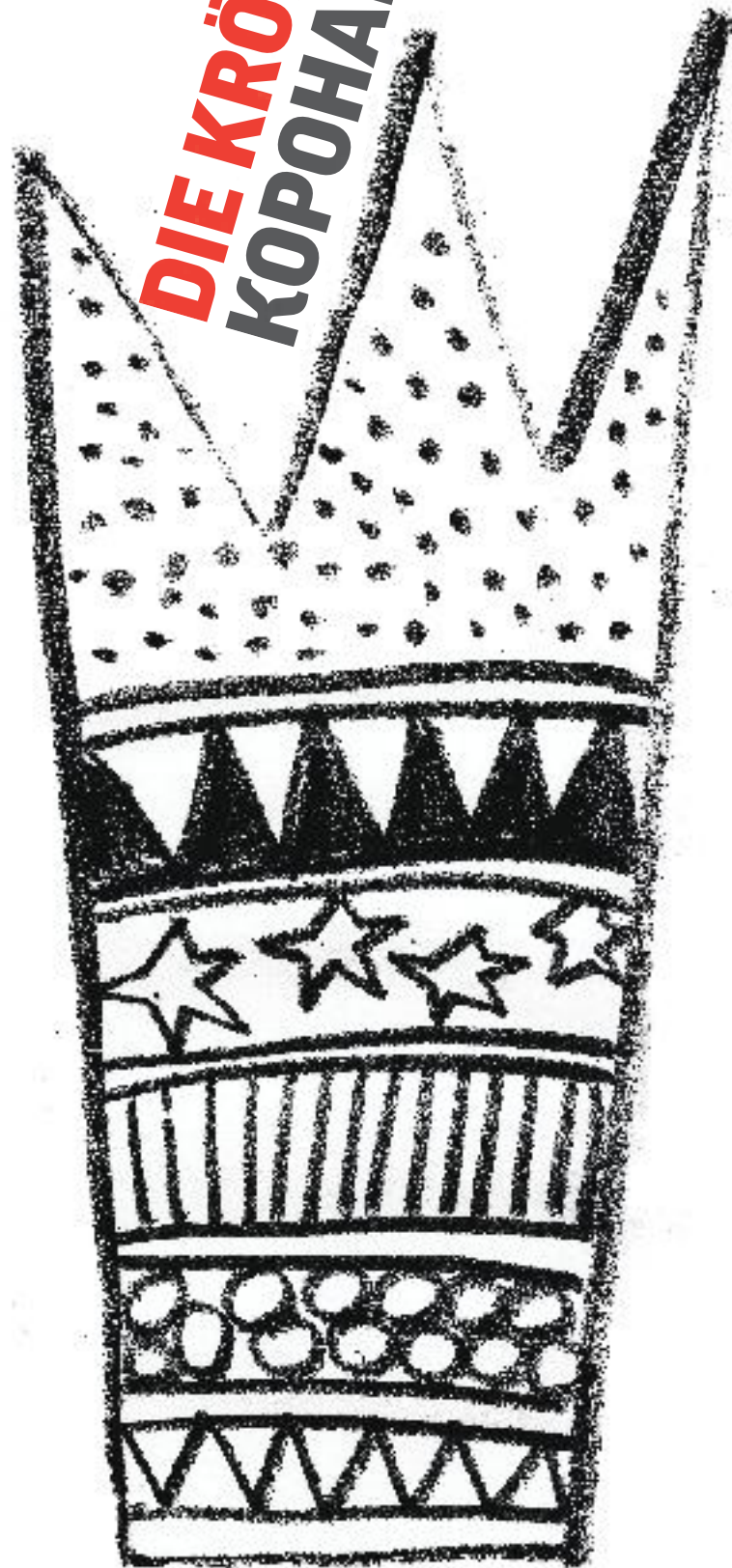
© Rostyslav Shpuk



© Rostyslav Shpuk

DIE KRÖNUNG КОРОНАЦІЯ

Andrij Ljubka Андрій Любка



© Ania Jaworska-Kruk

I

Es war am Morgen des Krönungstages. Im Zimmer deutete nichts auf die besondere und ehrwürdige Bedeutung dieses Tages hin, alles war so wie gestern: das große Fenster und die schweren, rechts und links zusammenge- rafften Gardinen, das Bett und das barocke Porträt eines bärtigen, prächtig gekleideten Mannes, eines Aristokraten offensichtlich, der Stein und der Spiegel darüber, der runde Tisch aus Eichenholz, der dennoch sehr edel war, um ihn fünf Stühle, das Schränkchen mit der Uhr, deren Zeiger und Ziffern vergoldet glänzten, der bordeauxrote, gelb umrahmte Teppich auf dem Boden mit einem Löwen in der Mitte und die blass-blaue Gravur einer königlichen Jagdgesellschaft an der Decke. Im Bett schlief ein Mann, Arme und Beine achtlos von sich gestreckt, als wäre er geschwommen oder gekrochen. Er lag auf dem Bauch und hatte sein Gesicht tief in die Kissen vergraben, vielleicht um sich vor dem Morgenlicht zu schützen. Der sechste Stuhl aus der Gruppe stand neben dem Bett. Darauf saß eine betont bescheiden gekleidete Frau: ein langes, schwarzes Kleid, das die Schultern bedeckte und bis zu den schwarzen Stiefeln mit niedrigen Absätzen reichte, eine nussgroße Brosche in der Form eines Vogels mit Diamanten anstelle der Augen, schwarzes Haar, am Hinterkopf von einem eleganten Schmetterling zusammengehalten.

Angela saß bereits eineinhalb Stunden an seinem Bett. Stephan hatte sie gebeten, ihn zu wecken. Schließlich war sie es gewesen, die am Abend zuvor in völliger Dunkelheit an seinem Bett gesessen hatte, als er lange nicht einschlafen konnte und von Zeit zu Zeit laut seufzte. Was sagte man zu einem Menschen, der kurz vor der Krönung stand? Wie verhielt man sich einem Nicht-König gegenüber, der innerhalb weniger Stunden zum König werden sollte?

Die Frau hatte im Halbdunkel lautlos den Westflügel des Palastes durchquert und war im wahrsten Sinne des Wortes in Stephans Zimmer geglitten, ohne auch nur das geringste Geräusch zu verursachen, weder Rascheln noch Quietschen. Das Gemach lag im milchigen Licht der Morgendämmerung. Es herrschte Stille, nicht einmal ein Atemgeräusch war zu hören. Angela saß reglos neben dem Bett und die Lehne des Stuhles konnte es leicht mit der makellos geraden Linie des Frauenrückens aufnehmen, der in all der Zeit kein einziges Mal zuckte oder schwankte. Die Hände auf den Knien hatte sie ihre dünnen, langen Finger zu Fäusten geballt. Angela verkörperte mit ihrem ganzen Wesen, mit ihrer ganzen Erscheinung einen Fluch und war sich dessen bewusst. Den Fluch des Erwachens. Die kleinste Bewegung würde genügen, um die Situation in eine Myriade von Teilchen zersplittern zu lassen, deshalb war sie zu einer Skulptur erstarrt. Nur in dieser Position konnte sie ihre Kraft, Stärke, Energie und Elektrizität bündeln. Angela war verflucht, sie war ein dicht verschlossenes Gefäß, in dem das Unabwendbare wie bei einem heftigen Sturm wogte.

II

Es war am Morgen des Krönungstages, und die Stadt vor den Fenstern bereitete sich lärmend darauf vor. Es schien, als hätten alle Menschen gleichzeitig mit ihren Vorbereitungen begonnen, ja nicht nur die Menschen, alle

Lebewesen waren aus ihren Höhlen und Löchern gekrochen, um an dem gigantischen Gewimmel teilzunehmen, das sich im Leben des einfachen Volkes nur ein einziges Mal ereignet.

Selbst Monarchen wird selten die Ehre zuteil, einer Krönung beizuwohnen. Es ist schmerzhaft, ein Bürger zu sein und zu wissen, dass nie blaues Blut in deinen Adern fließen wird, doch noch schlimmer ist es für Mitglieder der Königsfamilie, die den Thron nie besteigen werden. Sie sind der Krone so nah und verbringen dennoch ihr ganzes Leben in zweiter Reihe, auf der Probephase, abseits von Glanz und Ruhm und der allseitigen Liebe. Denn es gibt nur einen König.

Soldaten liefen auf der Suche nach ihrem Regiment umher. Alle Streitkräfte hatten ihre Eliteeinheiten in die Hauptstadt geschickt, um dem neuen Oberbefehlshaber, dem König, die Ehre zu erweisen. Die Soldaten, von denen viele zum ersten Mal die größte Stadt des Reichs besuchten, waren die ganze Nacht durch die Trinkstuben gezogen, hatten Lieder gegrölt, Rum gesoffen und waren üppig gebauten Servierfräulein um den Hals gefallen. Nun drängten sie sich mit schweren Köpfen durch gigantische Massen von Bauern bis ins Zentrum der Stadt.

Gleich hinter der Kathedrale schoben Arbeiter unter Aufsicht von Gendarmen und Soldaten langsam eine hohe Konstruktion auf Holzrädern, die mit einem schwarzen Tuch verhüllt war. Sie ähnelte dem Trojanischen Pferd. Um sie tummelten sich so viele Würdenträger und Militärs, die Transport und Positionierung überwachten, dass man daraus schließen konnte, die Konstruktion habe eine besondere Bestimmung. Unter Ächzen und Stöhnen schafften die Arbeiter sie in die Mitte des kleinen Platzes hinter der Kathedrale. Vielleicht war es eine Bühne, von der der Monarch sein Volk grüßen würde?

III

Es war am Morgen des Krönungstages und die Stadt vor den Fenstern bereitete sich lärmend darauf vor, ganz so als wolle sie Stephan wecken. In Wahrheit aber war er längst wach, nur wollte er es nicht wahrhaben. Sogar durch die Kissen und seine geschlossenen Augen hindurch nahm er wahr, dass sich das Zimmer mit dem kalten Glanz der Morgendämmerung füllte. Er hörte, wie die Stadt vor Geschäftigkeit brodelte und im Palast die Vorbereitungen auf Hochtouren liefen.

Er spürte mit seinem Rücken, mit jeder einzelnen Zelle, dass Angela bereits vor einer Stunde in sein Zimmer gekommen war, geräuschlos wie ein Geist, ruhig wie die Dunkelheit, fließend wie das Licht. Sie saß genau neben ihm und es schien, als wären beide mit ein und demselben beschäftigt: den anderen die eigene Gegenwart nicht spüren zu lassen, sich weder durch heftiges Ausatmen noch durch eine nervöse Bewegung zu verraten.

Angela sollte Stephan wecken, und er wusste davon. Deshalb lag er bewegungslos da, dankbar für diesen letzten Luxus, noch einige Minuten dösend im Bett verbringen zu können. Sie war sein Wecker, war jener Schicksalsmechanismus, der ihn heute zum König machen würde.

Gestern noch schien ihm, es wäre am besten nicht schlafen zu gehen. Denn schläft er am Abend ein, erwacht er am Morgen als König und die Welt ist eine andere. Schläft er jedoch nicht ein, betritt er das Universum erst gar nicht, aus dem er sich nie wieder wird befreien können. Als er hörte, dass sich die Tür öffnete und Angela hereinschwebte, war es schon zu spät um einzuschlafen und aufzuwachen. Das Licht des neuen Tages war sein Richter, sein Schicksal, sein Schafott. Heute sollte er zum König gekrönt werden.

Wie lange hatte Stephan davon geträumt! Sein ganzes Leben lang war er der Meinung gewesen, er selbst und nicht sein Cousin – ein grober Gauner ohne Manieren, um ehrlich zu sein – sollte den Thron inne haben und seinem Volk und Land die Freude einer besonnenen Führung zuteil werden lassen. Sein ganzes Leben lang, von der ersten bewusst erlebten Minute an, wollte er ein Monarch werden, dessen Worte und Taten in die Weltgeschichte eingehen. Deshalb fiel es ihm so unendlich schwer, seinen Cousin, den König, zu lieben.

Es gibt nichts Schlimmeres als dem Thron so nahe zu sein und ihn doch nicht zu besteigen. Stephan hatte oft darüber nachgedacht, dass er lieber Hirte auf einer fernen Almweise wäre, als hinter dem König zu sitzen. In zweiter Reihe. Immer im Schatten. Obwohl er kluger, schöner, edler und vornehmer war, verbrachte er die ganze Zeit im Gefolge, in der Kohorte, in den Plejaden. Das war sein schwerstes Joch, seine schlimmste Verdammnis: Er war einer jener. Nur einer jener. Aber nicht der König.

Sein ganzes Leben lang hatte er diesen inneren Kampf geführt: Er musste seinen Cousin, den König, lieben, gleichzeitig jedoch sah er sich stets selbst an dessen Stelle. Sein Cousin Andrij war ein Herumtreiber, der schamlos Staatsgelder verschwendete, ein rachsüchtiger und nichtsnutziger Schuft, der sich nicht davor scheute, Feinde zu vergiften, ihnen Frauen zu schenken, die nachts ein scharfes Messer unter ihrem Kleid hervorzogen, der sich mit allen benachbarten Reichen zerworfen und sein eigenes Volk zu hassen begonnen hatte und es als dummes und nutzloses Gespann im Pflug bezeichnete, das ihn mit den Reichtümern und dem Glanz des königlichen Überflusses zu versorgen hatte. Er, diese Katastrophe von König, dieses Geschwür am Körper des Volkes, hatte einen Krieg angezettelt, lang wie ein Lied, tragisch wie ein Besäufnis. In diesem Krieg verlor das Reich seine Kolonien und dreihundert Tausend Soldaten. Ganze acht Jahre wucherte er, dieser Tumor, der das Land und seine Leute langsam auffraß. Vor einer Woche war es zu Ende gegangen, Andrij war auf dem Schlachtfeld gefallen. Böse Zungen behaupteten, er sei so betrunken gewesen, dass er vom Pferd gefallen war und sich auf dem Speer eines toten Soldaten aufgespießt hatte.

Wie dem auch sei, Stephan hatte sich immer für einen besseren Königskandidaten gehalten. Denn er war vornehmer, liebte sein Volk aufrichtig, fühlte sich weder zum Wein noch zum Krieg hingezogen, denn er hatte Frau und Kind. In den ersten fünfzehn Jahren erwarteten alle einen Sohn vom König, einen Thronfolger. Doch der Sohn kam nicht. Andrij wechselte drei Mal die Frau und beklagte bei jeder ihre Unfruchtbarkeit, bis allen klar wurde, dass der

Fluch der Unfruchtbarkeit auf dem König selbst lastete. Von da an sah man Andrij nicht mehr nüchtern, die drei Frauen wurden als Landesverräterinnen hingerichtet und allen Nachbarländern wurde der Krieg erklärt.

Stephan hatte einen Sohn, den die Hofleute oft als neue Chance für das Reich bezeichneten. Andrij herrschte jedoch so lange, dass Stephan alt und sein Sohn Jurij erwachsen wurde. Mit den Jahren verlor Stephan zunehmend das Interesse am Thron, und als seine Frau starb, zog er sich völlig aus dem öffentlichen Leben zurück. Er pflegte den Garten der Sommerresidenz und schüttelte traurig den Kopf, wenn er Nachrichten von einer neuerlichen Niederlage Andrijs an der Front zu Ohren bekam. Stephans Sohn Jurij wurde unterdessen ein junger Offizier, der sozusagen im Krieg groß und bereits zum Vorbild für die Soldaten geworden war. Jurij's Kühnheit und Heldentaten trugen seinen Ruhm ins Volk hinaus, welches die Legenden über den jungen Neffen des Königs gern weitererzählte.

Die Welt besteht aus energetischen Gefäßen, auf die sich die Lebenskraft verteilt, und scheinbar hatten sich alle Träume des Vaters und seine dreistesten Hoffnungen auf den Sohn übertragen. Stephan verwelkte zwischen den Blumen seines Gartens und trauerte um seine Frau, Jurij hingegen wuchs auf dem Schlachtfeld inmitten von Blut und Brutalität heran. Stephan war verloren zwischen Baumsetzlingen und Blütenblättern, verdreht und verträumt. Er vergaß, dass er zur Königsfamilie gehörte und dass in seinen Adern Blut, blau wie der Himmel, floss. Sein Sohn Jurij hingegen wusste genau, dass in seinen Adern das rote Blut des Feuers floss, und in den Augen seiner Soldaten erkannte er, dass sie ihn als nächsten König betrachteten, und das verlieh ihm im Kampf zusätzliche Kraft. Es verging keine Nacht, in der er sich beim Einschlafen nicht als König sah.

Nun war Andrij gestorben – unter welchen Umständen auch immer – und hatte keine Familie außer Stephan und Jurij hinterlassen. Das, worauf Stephan sein ganzes und Jurij gut sein halbes Leben lang gewartet hatte, war eingetreten. Die Krone ging in ihren Zweig der Familie über. Sowohl der Hof als auch das Volk als auch Jurij freuten sich darüber. Einzig Stephan freute sich nicht, er lag im Bett und wollte Angela nicht merken lassen, dass er längst nicht mehr schlief oder vielleicht gar nicht geschlafen hatte.

IV Es war am Morgen des Krönungstages und die Stadt vor den Fenstern bereitete sich lärmend darauf vor, ganz so als wolle sie Stephan wecken, doch in Stephan lebte, bebte ein einziger Wunsch. Angela machte eine plötzliche Bewegung, einen Versuch aufzustehen, doch als hätte sie jemand zurückgehalten, sank sie wieder auf ihren Stuhl zurück und erstarrte. Es schien ihr zu früh zu sein. Ein paar Minuten noch.

Stephan hatte ihren Versuch aufzustehen wahrgenommen, und sein Herz hatte heftig pochend Angst in seinen ältlichen Körper gepumpt. Nun hing wieder unheilvolle Stille im Zimmer, er wollte schlucken, denn vor Schreck hatte sich ein Klumpen Speichel in seinem Hals gesam-

melt, doch er konnte es nicht, wollte nicht preisgeben, dass er nicht mehr schlief. So lag er also da und hielt den Atem an, es kostete ihn all seine menschlichen Kräfte.

Ähnlich erging es Angela, die vom Schicksal dazu bestimmt war, ihren Herren, den künftigen König, zu wecken. In ihrem Hals steckte ein dicker Kloß Tränen, der sich für immer dort festgesetzt hatte. Die Frau versuchte sich zu beherrschen, doch es gelang ihr nicht, vielleicht, weil sie wusste, dass sie dazu berufen war, den unabwendbaren Mechanismus dieses Morgens in Gang zu setzen.

Stephan lag mit dem Gefühl letzter Dankbarkeit dieser Frau gegenüber da, die mit ihrer Schönheit seinen letzten Morgen versüßte. Im Leben ist es aus irgendeinem Grund immer so: Träume gehen in Erfüllung, aber – verdammt noch mal – nicht dann, wenn sie es sollen. Heute sollte er gekrönt werden, und den Wunsch danach hatte er zuletzt vor zehn Jahren verspürt, als seine Frau Maria noch am Leben gewesen war. Jetzt wollte er es nicht mehr, doch offensichtlich war die Krone nicht Eigentum seiner Familie, sondern seine Familie Eigentum der Krone. So sollte die Krone von seinem verstorbenen Cousin an den nächsten Verwandten weitergegeben werden, wodurch die Thronfolge in einen anderen Zweig der Familie übergang.

Die Krone erschien Stephan nun als Dornenkranz. Er würde sie am Vormittag während der Festmesse in der Kathedrale entgegen nehmen, aber die Krallen und Nägel des Schicksals zerkratzen schon jetzt – noch im Bett – sein Haupt. Einst hatte er sich als idealen Prätendenten auf den Thron gesehen, doch jetzt wäre er glücklich, könnte Andrij weiter regieren. Einst hatten Familie und Sohn ihn in den Augen des Hofadels zum Favoriten im Rennen um den Thron gemacht, und nun wurde ihm sein leiblicher Sohn zum Verhängnis. Stephan stellte sich vor, wie blutrünstig Jurij heute in der Kathedrale die Krönungszereemonie verfolgen würde, und ihm wurde noch unwohler.

Denn vor einer Woche, gleich nach Andrijs Tod, hatte sein Sohn Jurij die höchsten Militärs zusammengerufen und ihre Unterstützung erbeten. Der Plan war folgender: Sie sollten in die Hauptstadt kommen und die Krönung seines Vaters Stephan durchführen, um die Krone in seinen Familienzweig überzuführen. Gleich danach sollte der hilflose Alte hinter der Kathedrale hingerichtet werden. Und noch am selben Tag würde der Liebling des Volkes und des Militärs Jurij zum König ernannt werden.

Man könnte es Verschwörung oder Putsch nennen, aber in Wahrheit war es eine Krönung. Die Arbeiter hatten kein schwarz verhülltes Trojanisches Pferd und keine Bühne hinter die Kathedrale gezogen, sondern ein Schafott. Ein Schafott für den König, für Stephan. Er sollte im selben Augenblick gehängt werden, in dem das Volk „Lang lebe der König!“ rufen würde. Und dann würde sein Erbe, sein einziger und geliebter Sohn Jurij, das Podest besteigen.

Vielleicht wäre es wirklich besser, Hirte auf einer fernen Almweise zu sein, als ein Mitglied der Königsfamilie, das immer in zweiter Reihe, immer im Schatten des Königs stand. Denn die Königsfamilie war tatsächlich Eigentum der Krone, dieses verwünschten und herrlichen, mit Diamanten besetzten Stücks Gold. Ja, sie gehörte der Krone und nicht die Krone ihr. Solche Gedanken wälzten Stephan und Angela an jenem Morgen in dem von hellem Schein erfüllten Zimmer. Beide hatten Angst, sich zu bewegen, sie wollten den Schicksalsmechanismus nicht lostreten, diesen verwünschten Tag niemals beginnen lassen. Den Krönungstag.

V Es war am Morgen des Krönungstages und die Stadt vor den Fenstern bereitete sich lärmend darauf vor, ganz so als wolle sie Stephan wecken, doch in diesem lebte, bebte ein einziger Wunsch: nicht aufzuwachen.

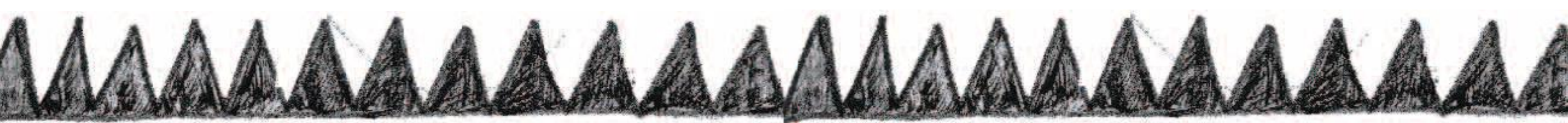
[Übersetzung: Maria Weissenböck]

I Це був ранок перед коронацією. У кімнаті нічого не вказувало на особливий, урочистий статус цього дня, все залишилося таким, як учора: велике вікно й масивні штори, що розбігалися донизу V-подібним вирізом, ліжко й бароковий портрет бородатого чоловіка у пишному вбранні, вочевидь, аристократа; камін і дзеркало над ним; круглий дубовий, але вишуканий стіл, п'ять стільців навколо нього; шафка з годинником, стрілки й цифри на якому виблискували позолотою; бордовий м'який килим на підлозі з жовтавим обрамленням та левом у центрі, і тьмяно-блакитна гравюра королівських ловів на стелі. У ліжку спав чоловік, недбало розкинувши руки й ноги на всю ширину, немовби плив чи повз; він лежав на животі, а обличчя його ховалося в подушках – мабуть, від ранкового світла. Шостий стілець із комплекту стояв біля ліжка. На ньому сиділа підкреслено скромно вбрана жінка: довга чорна сукня, яка закривала плечі й закінчувалася біля ніг у чорних черевичках на невисокому підборі; брошка розміром з горіх у вигляді птахи з діа-

мантами замість очей; чорне волосся, зібране ззаду у пучок елегантним метеликом.

Анжела сиділа біля його ліжка вже півтори години. Саме її Стефан попросив розбудити його. Зрештою, саме вона сиділа біля його ліжка ввечері у кромішній темряві, коли він довго не міг заснути і час від часу голосно зітхав. Які слова на початку дня треба сказати людині, яку сьогодні коронують? Як поводитися з не-королем, який за кілька годин стане королем?

Жінка безшумно пройшла в потемках через західне крило палацу і дослівно просочилася в кімнату Стефана, не здійнявши ані найменшої звукової хвилі, шурхоту, скрипу. Спальня лежала в передранковому мороці, мов у темному молоці. Панувала тиша, не чутно було навіть дихання. Анжела непорушно сиділа біля ліжка, і спинка стільця цілком могла би конкурувати з бездоганно прямою лінією спини жінки, яка жодного разу за цей час не здригнулася і не



поворухнулася. Її руки лежали на колінах, тонкі подовгуваті пальці були стиснуті в кулак. Усією собою, своєю поставою Анжела уособлювала закляття, і розуміла це. Закляття пробудження. Досить було їй поворухнутися – і все мало б водномить розсипатися на міради шматочків, тому вона заклякла, як скульптура: сила, міць, енергія, струм, який був у ній, міг триматися купи тільки в цій єдино можливій позі. Анжела була заклятою, вона була щільно закупореною посудиною, в якій бовтався, немов під часу шторму, потужний розряд невідворотного.

II

Це був ранок перед коронацією, і місто за вікном гучно до неї готувалося. Здавалося, що всі мешканці водночас заходилися щось робити, та що там мешканці – усі живі істоти повилазили зі своїх лігв і нір, щоб взяти участь у вселенському мурашнику, який на долю простолюдина випадає раз на життя – в урочистості коронації.

І не тільки простолюдина, бо навіть монархи рідко удостоюються честі брати участь у коронації. Боляче бути міщанином і розуміти, що ніколи блакитна кров не потече твоїми жилами, але ще пекельніші муки переживають ті члени найсвітлішої родини, які народилися в королівській сім'ї, але їм так і не суджено посісти престол. Здається, ближчих до корони немає, але все життя вони проведуть на других ролях, на запасній сцені, поза світлом слави і вселенської любові. Бо королем може бути тільки хтось один.

Шмигали сюди-туди військові, шукаючи свій підрозділ. Кожен різновид військ вислав до столиці свій найкращий відділ, який мав віддати честь новому Головнокомандувачу, королю. Солдати, багато з яких уперше приїхали до найбільшого міста країни, цілу ніч швендяли кнайпами, горлаючи пісень, лигаючи ром й затискаючи в обіймах пишнотілих служниць, тож зараз з важкими головами продиралися крізь натовпи посполитого люду на шиккування у центрі міста.

Одразу за собором робітники під наглядом жандармів і військових повільно штовхали височезну конструкцію на дерев'яних колесах, укриту чорним сукном. Вона була схожа на троянського коня. Навколо неї з'юрмилося стільки вельмож і арміїців, які з такою пильною увагою стежили за її переміщенням і встановленням, що можна було зробити висновок – конструкція ця мала якесь особливе значення. Робітників, крякучи, виштовхали її на сам центр маленької площі за собором. Можливо, то була сцена, з якої монарх мав привітати свій народ?

III

Це був ранок перед коронацією, і місто за вікном гучно до неї готувалося, немов намагаючись розбу-

дити Стефана. Зрештою, він і сам уже давно прокинувся, але не хотів цього усвідомлювати. Навіть крізь подушки і заплюшені повіки він відчував, що кімната повниться холодним снігом світанку. Чув, що місто закипіло метушнею, а палац – святковими приготуваннями.

Відчував спиною, кожною своєю клітиною, що в кімнату ще годину тому зайшла Анжела – нечутна, як привид, тривожна, як морок, плавна, як світло. Вона сиділа зовсім поруч, і здавалося, що обоє зайняті тим же заняттям – не дати відчуті іншому свою присутність, не зрадити її скрушним видихом, нервовим рухом.

Анжела сьогодні мала розбудити Стефана, і він про це знав. Тому й лежав, не рухаючись, дякуючи їй за останню розкіш кількох хвилин напівдрімоти у ліжку. Вона була його будильником, механізмом долі, який мав сьогодні штовхнути його під корону.

Ще вчора йому здавалося, що краще взагалі не спати. Бо якщо заснути ввечері – прокинешся зранку королем, світ зміниться. Якщо ж не заснути – то можна і не впасти в безодню, з якої ніколи не виберешся. Коли він почув чи радше відчув як відчинилися двері й у кімнату запливла Анжела, було вже пізно і засинати, і прокидатися. Світло нового дня було його вираком, його призначенням, його ешафотом. Сьогодні він мав стати королем.

Як довго Стефан мріяв про це! Ціле, цілісіньке життя йому здавалося, що саме він, а не його двоюрідний брат – цей, чесно кажучи, невихований грубий мужлан – має сидіти на троні й дарувати своєму народу й країні радість мудрого керування. Ціле життя, від перших усвідомлених хвилин він хотів стати монархом, діла й вислови якого увійдуть в історію світу. Тому так важко, з притиском давалася йому любов до двоюрідного брата Андрія, який був королем.

Немає нічого гіршого, ніж бути так близько до трону – і не сидіти на ньому. Часто Стефан міркував, що волів би бути пастухом на віддаленій гірській луці, ніж сидіти одразу за королем. У другому ряді. Завжди позаду, весь час у тіні. Хоч і розумніший, і красивіший, і благородніший, і вихованіший, але все одно Стефан мав перебувати весь час у когорті, у плеяді, у почті, це було найважчим його тягарем, прокляттям – він був одним із. Тільки одним із. А не королем.

Усе життя минуло у цій його внутрішній боротьбі: треба любити свого брата і свого короля, але в той же час безмежно важко не бачити на його місці себе. Його брат Андрій – гульвіса, тринькало державної казни, мстивий і нищий покидьок, який не цурався вбивати своїх ворогів отрутами, дарувати їм жінок, котрі ночами виймали зі своїх суконь гострі ножі

смерті, який пересварився з усіма сусідніми державами, який, урешті-решт, ненавидів свій народ, вважаючи його тупим і бездарним тяглом у плузі, що має забезпечувати його коштовностями й блиском королівського достатку. Це він, цей горе-король, цей чиряк на тілі народу, допровадив до війни, довгої, як пісня, і трагічної, як п'ятіка. У цій війні його держава втратила колонії й триста тисяч солдатів убитими, вісім років тривала вона, ця пухлина, яка поволі пожирала країну й людей. І ось минулого тижня вона закінчилася – Андрія вбили на полі битви. Хоча злі язики кажуть, що він був настільки п'яним, що сам упав із коня й наштริกнувся на спис убитого воїна.

Хай там, як а Стефан завжди вважав себе кращою кандидатурою на пост короля. Бо вихованіший, бо справді любить свій народ, бо позбавлений згубної тяги до вина й воєнного азарту, бо має родину й сина. Перші п'ятнадцять років усі чекали від короля Андрія сина, який би міг у майбутньому стати спадкоємцем престолу. Але сина все не було. Андрій поміняв трьох дружин, нарікаючи на їхню безпліддя, аж поки всім навколо стало ясно, що прокляття безплідності висить саме на ньому, на королі. З того часу тверезим його ніхто не бачив, усіх трьох дружин втратили, як державних зрадниць, а всім навколишнім країнам було оголошено жорстоку війну.

У Стефана ж був син, і придворні часто поглядали на нього, як на шанс для країни. Та Андрій правив так довго, що Стефан також устиг зістаритися, а його син, Юрій, вирости й стати дорослим чоловіком. Із часом Стефан усе більше втрачав інтерес до престолу, а відколи померла його дружина – взагалі збайдужів до зовнішнього життя, займався садівництвом у замському палаці і тільки скрушно хитав головою, коли до нього долітали новини про чергові поразки Андрія на фронті. Тим часом його син Юрій став молодим офіцером, який дослівно виріс на війні й став легендою для солдатів. Його мужність і звитяга несли славу про нього в народ, який ширив легенди про молодого племінника короля.

Світ складений з енергетичних посудин, у яких переливається сила життя, і здавалося, що поволі всі батькові мрії й найнахабніші сподівання передалися синові; Стефан чахнув між квітами свого саду у зітханнях за покійною дружиною, а Юрій ріс на полі бою серед крові й жорстокості. Стефан, загублений між саджанців і пелюсток, замурааний і замряний, забував, що належить до монаршої родини, а в жилах його тече блакитна, як небо, кров; його син Юрій натомість точно знав, що в жилах тече червоний вогонь крові, але в очах своїх солдатів бачив, що вони сприймають його наступним королем, і це тільки додавало йому сил у герці. Не було такої ночі, щоб він засинав, не уявляючи себе королем.

І ось король Андрій помер – насправді байдуже в який спосіб – і не залишив по собі родини, крім них, Стефана і Юрія. Сталося те, чого Стефан чекав ціле життя, і вже добру половину життя чекав Юрій. Корона переходила до їхньої гілки сім'ї. Радів цьому і двір, і народ, і Юрій. Не радів тільки Стефан, який лежав у ліжку, намагаючись не видати Анжелі, що вже давно, а може й узагалі – не спить.

IV

Це був ранок перед коронацією, і місто за вікном гучно до неї готувалося, немов намагаючись розбудити Стефана, але в ньому жило, жевріло єдине бажання. Анжела раптом поворухнулася, ніби намагаючись підвестися, але, мовби зупинена кимсь невидимим, за мить знов опустилася на стілець і заклякла. Чомусь їй подумалося, що ще зарано. Ще кілька хвилин.

Стефан чув цю її погамовану спробу встати, тому серце камертоном розлило переляк у всьому його старечому тілі. Тепер у кімнаті знову нависла зловісна тиша, він хотів ковтнути слину, яка грудочкою страху набиралася у його горлі, але не міг, бо боявся видати, що вже теж не спить. Так і лежав, затамувавши подих, з усіх людських і нелюдських сил напружившись і напружинившись.

Приблизно так само сиділа Анжела, покликана долею розбудити свого володаря, який сьогодні мав стати королем. У неї також у горлі набубнявіла гіркота сліз, яким ніколи звідти не вирватися. Жінка намагалася опанувати себе, але це їй не вдавалося – можливо тому, що знала своє пружинне покликання запустити невідворотній механізм цього ранку.

Стефан лежав із почуттям останньої вдячності до цієї жінки, яка своєю холодною красою зігрівала його останній ранок. У житті чомусь завжди так, що мрії збуваються, але – чорт забирай! – не тоді, коли мають. Сьогодні він мав стати королем, а востаннє таке бажання він відчував добрячий десяток років тому, коли ще жила його дружина Марія. Зараз це йому вже було непотрібно, але виявилось, що це не їхній родині належить свята корона, а короні належить їхня родина. Отож, корона мала перейти від покійного брата до найближчого родича, таким чином узаконюючи спадок влади до іншої гілки сім'ї.

Ця корона зараз Стефанові видавалася терновим вінком. Він мав його надягти перед обідом під час урочистої меси в соборі, але пазурі й кігті долі вже зараз, у ліжку, дерли його чоло. Колись він вважав себе ідеальним претендентом за престол, але зараз був би щасливим, якби Андрій продовжував правити. Колись родина і син робили його в очах придворної знаті фаворитом престольних перегонів, а зараз його рідний син ставав його прокляттям. Стефан уявив,

як кровожерно сьогодні в соборі Юрій спостерігатиме за процесом коронації, і йому стало ще гірше.

Бо син Юрій ще тиждень тому, одразу ж по смерті Андрія, зібрав головних військових і домовився про підтримку. Згідно з його планом, вони мали повернутися до столиці, провести коронацію батька Стефана й таким чином передати корону до іншої гілки сім'ї, а одразу по цьому стратити німецького старого за собором. Аби в той же день проголосити королем улюбленця народу і війська Юрія.

Можна назвати це змовою чи путчем, але насправді це була коронація. І робітники під чорним сукном притягнули під собор не троянського коня і не сцену, а шибеницю. Шибеницю для короля, для Стефана. Повісити його мали ще в мить, коли народ викрикуватиме «Хай живе король!». І тоді на поміст вийде

його спадкоємець, його коханий єдиний син Юрій.

Може, й справді краще бути пастухом на віддаленій гірській луці, ніж членом монаршої родини, але весь час у другому ряді, в тіні корони. Бо насправді вони належали короні, цьому проклятому і прекрасному шматку золота з діамантами. Так, вони належали короні, а не корона належала їм. Приблизно про це й думали Стефан і Анжела того ранку у залитій сльозами кімнаті. Обоє боялися поворухнутися, щоб не запустити механізм долі, щоб не розпочати цей триклятий день. День коронації.

V

Це був ранок перед коронацією, і місто за вікном гучно до неї готувалося, немов намагаючись розбудити Стефана, але в ньому жило, жевріло єдине бажання – не прокидатися.

ANDRIJ LJUBKA (1987, Ukraine) – Autor von Prosawerken, Essays und Lyrik. Studium an der Militärfachschule Mukatschewo und an der Universität Uzhhorod, derzeit Studium der Balkanistik an der Universität Warschau. Lyrikbände *Acht Monate Schizophrenie* (2007), *Terrorismus* (2008), *Vierzig Dollar plus Trinkgeld*, Erzählband *Killer* (2012) und der Essayband *Mit Frauen schlafen* (2014). Ausgezeichnet mit folgenden Preisen: „Debüt“ (2007), „Lavra Kiew“ (2011). Ausgewählte Werke wurden in verschiedene Sprachen übersetzt, u.a. *Notaufnahme* (Edition Baes 2012) liegt auf Deutsch und *Killer* auf Polnisch vor. Lebt in Kiew.

АНДРІЙ ЛЮБКА (1987, Україна) – поет, прозаїк, есеїст. Закінчив Мукачівське військово-училище та україністику у Ужгородському університеті, зараз вивчає балканістику у Варшавському університеті. Автор збірок поезій *Вісім місяців шизофренії* (2007), *Тероризм* (2008), *Сорок баксів плюс чайові*, збірки оповідань *Кілер* (2012) та книжки есеїв *Спати з жінками* (2014). Лауреат літературних премій «Дебют» (2007) та «Київські лаври» (2011). Окремі твори перекладені кількома мовами, книжками виходили в Австрії (вірші в перекладі німецькою, *Notaufnahme*, 2012) та Польщі (оповідання в перекладі польською *Killer*, 2013). Живе в Києві.

Iryna Slawinska Ірина Славінська

LITERATURKRITIK IN DER UKRAINE – FIKTION ODER REALITÄT?

ЛІТЕРАТУРНА КРИТИКА В УКРАЇНІ – ФІКЦІЯ ЧИ РЕАЛЬНІСТЬ?

Um diese Frage zu beantworten, müsste ich sie mir, da ich zu denjenigen gehöre, die sich in der Ukraine mit Literaturkritik beschäftigen, zunächst einmal selbst stellen: Bin ich Fiktion oder Realität? Eine eindeutige Antwort darauf gibt es wohl nicht, und die Philosophen brauche ich hier nicht zu bemühen, da sie sowieso alle bereits gelesen haben. Aber die Frage nach der (Nicht)Existenz einer Literaturkritik in der Ukraine ist komischerweise nun schon seit einigen Jahrzehnten aktuell. Ich kann natürlich aus eigener Erfahrung nur etwas zu den Entwicklungen in der Literatur und Literaturkritik seit der Jahrtausendwende sagen, aber ältere Kollegen erzählen oft Legenden über die Phrase „Bei uns gibt es keine Kritik.“ So betrachtet, fällt es mir persönlich sicher leichter, die eigene Nichtexistenz zu akzeptieren, als irgendeinem betagten Grafomanen zu beweisen, dass zu seinen Büchern nicht deshalb keine Rezensionen erscheinen, weil es in der Ukraine keine Kritiker gibt.

Diesen Artikel zu schreiben ist für mich persönlich leicht absurd, da ich mir zunächst nur schwer vorstellen konnte, wie ich über etwas schreiben soll, was fest mit den Realien der ukrainischen Literaturlandschaft verbunden ist, mit denen Sie als Leser vielleicht nicht sehr vertraut sind. Ich gerate dabei nicht einmal in Versuchung, konkrete Episoden aus dem Leben unserer literarischen Flora und Fauna niederzuschreiben, sondern muss wohl eher einige grundlegende Besonderheiten des Systems verallgemeinernd darstellen, damit sie auch für Außenstehende nachvollziehbar werden.

Ein zentrales Problem ist die Tatsache, dass es in der heutigen Ukraine kaum Medien gibt, in denen man Literaturkritiken veröffentlichen und dafür ein Honorar erhalten könnte. Nachdem sich die ukrainische postsowjetische Medienlandschaft in den 1990ern gewandelt und experimentiert hatte, sieht sie heutzutage recht eintönig aus. Sie wird von allgemeinen Tageszeitungen und Wochen-

bzw. Monatszeitschriften dominiert.

Als ukrainischer Journalist hat man praktisch kaum eine Chance, irgendwo zu publizieren. Die Situation wird leicht verbessert durch einzelne Internetseiten bzw. die Rolle des Internets in der ukrainischen Medienlandschaft allgemein, wo jeder noch so kleine Funken der Meinungsfreiheit wichtig ist.

Was ich damit sagen will? Dass Literaturkritik fast nirgendwo publiziert wird und es unheimlich schwer, wenn nicht unmöglich ist, sich ihr professionell zu widmen. Wer über Bücher schreiben will, soll dies gefälligst in einem Weblog oder Mikroblog tun. Und seinen Lebensunterhalt kann man ja mit Artikeln über „seriöse“ Themen wie Politik oder Wirtschaft bestreiten.

Die klassische Rezension, wo literaturwissenschaftliche Übungen und ein tieferes Schürfen Platz hätten, interessiert momentan kaum jemanden. Zu den letzten Bastionen, die das Genre noch schätzen, gehören einige Kultzeitschriften wie *Scho*, *Krytyka* oder *Kurjer Krywbasu* sowie marginale Internetseiten, die ausschließlich der Literatur gewidmet sind, wie *bukvoid.com.ua* oder *litakcent.com*, die allerdings nicht einmal annähernd an die Qualität der Texte auf der Seite *Publishing Perspectives* heranreichen. Bekannte und legendäre, wenn auch noch marginalere Literaturzeitschriften wie *Sutschasnist*, die zum Beispiel Andruchowytchs erste Romane veröffentlicht hatte, sind aus ökonomischen Gründen längst eingegangen. Ihre Herausgeber versprechen regelmäßig einen Neuanfang, aber daraus wird einfach nichts. Besonders tut es mir bei den eingestellten guten Literaturzeitschriften um die Zeitschrift *Tschetwer* leid, die seinerzeit Taras Prochasko und andere populäre zeitgenössische Autoren entdeckt hatte.

Um es zuzugeben – die Literaturrezension ist in der Ukraine ausgestorben. Diese ärgerliche Tatsache wird durch

wenige Ausnahmen bestätigt, die nicht für ein breites Publikum bestimmte Randerscheinungen sind.

Dabei ist es für die Literaturkritik in der Ukraine momentan durchaus wichtig, genau dieses „breite Publikum“ zu erreichen, da Beiträge über Literatur beispielsweise eher Chancen haben, in einer Hochglanzzeitschrift wie *Vogue Ukraine* zu erscheinen, wo es die Redakteurin des Kulturteils Walentyna Klymenko hervorragend versteht, den Anforderungen des Formats intellektuellen Gehalt zu verleihen, oder in einer Wochenzeitung, wo breit angelegte Analysen von Tendenzen und Trends veröffentlicht werden. Aus diesem Grund sind auch Überblicksartikel, die nicht nur die Spezifika des Textes, sondern auch die des Kontextes behandeln, weit verbreitet. Ein Artikel über ein Buch ähnelt oft einer Reportage oder einer Lévi-Strauss'schen Bricolage, die die Vermischung aller notwendigen Verfahren und Genres in jedem beliebigen Mengenverhältnis erlaubt.

Eine andere weit verbreitete Art, über Literatur zu schreiben, ist das Aufstellen und Kommentieren verschiedenster Ratings. Die Redaktionen versuchen über Experten oder durch Leserbefragungen herauszufinden, welcher Schriftsteller „am erfolgreichsten“, „am besten bezahlt“ oder „am einflussreichsten“ ist, welches Buch „am besten“, „am beliebtesten“ oder „am auflagenstärksten“ ist. Um Themen und Schwerpunkte für solche Ratings sind die Journalisten nicht verlegen, wobei sie alle Vorzüge derartiger Beiträge zu nutzen verstehen, wie ihre Interdisziplinarität, insbesondere die Möglichkeit, Literaturthemen mit den für das „breite Publikum“ angeblich interessanteren wirtschaftlichen zu verbinden, oder die Möglichkeit, einen Artikel über Literatur in eine Zeitung oder Zeitschrift hineinzuschmuggeln, die darüber eigentlich nie schreiben würde.

Das schon zur Gewohnheit gewordene Autoreninterview und die gängige Praxis, alle möglichen heißen Themen von Schriftstellern kommentieren zu lassen, werde ich dabei gar nicht weiter thematisieren, das ist ein weit verbreitetes Phänomen, den Hang zu Schriftstellerkolumnen eingeschlossen.

Spätestens an dieser Stelle wird sich der interessierte Leser sicher die Frage stellen, ob unsere Medien Literaturthemen wirklich so konsequent ignorieren. Sie tun es wirklich. Und nicht nur die Medien, sondern auch deren Leser, die nicht nur „Literaturthemen“, sondern Bücher an sich ignorieren. Diverse soziologische Umfragen zeigen, wie wenig die Ukrainer lesen. Wenn man die Zahlen verschiedener Forscher zusammennimmt, lesen vielleicht zwanzig Prozent der Ukrainer wenigstens ab und an mal ... Und noch weniger kaufen wenigstens ein Buch pro Jahr. Da ist es auch nicht verwunderlich, dass pro Kopf etwa anderthalb Bücher gedruckt werden – das ist kein schlechter Scherz, sondern Realität. Unter diesen Umständen ist es recht schwer, dem Redakteur eines kommerziellen Blattes die Bedeutung der Kultur und des Lesens zu erläutern.

Die Spezifika der ukrainischen Medienlandschaft generieren einen hochinteressanten Prozess. Oder auch nicht. Aber zumindest gibt es eine Terminologie für seine Beschreibung. Als „Literaturkritiker“ bezeichnen sich immer weniger Menschen, was besonders in Hinblick auf die Tatsache, dass sich überhaupt sehr wenige diesem Genre widmen, interessant ist. Immer häufiger wird der Neologismus „Buchjournalismus“ gebraucht, der de facto alle umfasst, die über Literatur, Verlagswesen und die dazugehörige Infrastruktur schreiben. Die nächste Etappe in diesem Prozess hat bereits begonnen – die „Buchjournalisten“ werden langsam, einer nach dem anderen, zu Managern, die Festivals organisieren, Bücher herausgeben und übersetzen. Zu den Ursachen dieser Entwicklungen kann ich mich hier nicht äußern, das wäre ein Thema für eine gesonderte, lange Abhandlung mit ausführlichen Exkursen in die düstere ukrainische Vergangenheit, die absurde ukrainische Gegenwart und die gemeinsamen nationalen Komplexe.

Etwas sagen kann ich zu den Folgen: In der Ukraine gibt es vielleicht wirklich keine Literaturkritiker, aber die Resultate ihrer Arbeit sind offensichtlich.

[Übersetzung: Lydia Nagel]

довелося відразу ж узагальнювати, говорячи про базові особливості системи, що їх легко пояснити навіть інопланетянину.

В центрі проблеми – той факт, що в сучасній Україні не вистачає майданчиків, де можна публікувати літературну критику та отримувати за це гонорари.

Після 1990-х років, коли ринок українських пострадянських ЗМІ дивовижно мінявся та експериментував, наявна карта нині живих медій доволі одноманітна. Домінують загальноінформаційні щоденні газети і журнали – тижневики чи місячники. Якщо ти український журналіст, то тобі буквально ніде писати та публікуватися. Трохи рятують ситуацію сайти та загалом помітна роль інтернет-медій в українській ситуації, де важливою є кожна свічечка свободи слова.

До чого це я? До того, що літературну критику майже ніде не публікують, нею дуже складно, майже неможливо займатися професійно. Хочеш писати про книжки – іди і пиши, веди блог або мікроблог. А квартиру оплачуй коштом статей на «серйозні» теми – типу політики чи економіки.

Річ у тім, що традиційна форма літературної рецензії – де було б місце для літературознавчих вправ, де правила гри передбачали б копання «вглиб», – наразі мало кого цікавить. З останніх форпостів поціновувачів жанру «рецензії» – декілька товстих журналів, на кшталт культових журналів «ШО», «Критика» чи «Кур'єр Кривбасу», а також доволі маргінальні сайти, присвячені винятково літературі, на кшталт bukvoid.com.ua або litakcent.com, яким дуже далеко до якості, бодай наближеної до рівня матеріалів сайту Publishing Perspectives. Відомі та легендарні, хоча все більш маргінальні, літературні журнали, як-то «Сучасність» (перші романи Юрія Андруховича вперше були опубліковані саме там) давно загинули з економічних причин – їхні творці регулярно обіцяють відродження, але не складається. Особливо в цій історії смертей добрих літературних журналів мені шкода журналу «Четвер», який свого часу відкрив Тараса Прохаська та інших улюблених сучасних письменників.

Треба визнати – жанр літературної рецензії в Україні помер. Цей прикрий факт підтвердять винятки – їх мало, вони маргінальні та не призначені для широкого читача.

Важливість апелювання до того самого «широкого кола читачів» дуже важлива в нинішній українській літературній критиці – оскільки матеріал про літературу має більше шансів вийти в якомусь глянцевому журналі (як-от *Vogue Ukraine*, де редакторка відділу «Культура» Валентина Клименко чудово поєднує вимоги формату та інтелектуальне наповнення), тижневику (де з'являються розлогі аналізи тенденцій та трендів) чи інших геть не літературних виданнях. Саме тому величезного поширення набули «огляди», що передбачають більш горизонтальний підхід, який вловлює не лише особливості тексту, але й щедро додає до статті особливості контексту, цитати та інші специфічні елементи: писання про книжку перетворюється мало не на репортаж. Це стаття про книжку,

що пишеться методом леві-стросівського «bricolage», коли правила гри передбачають для досягнення мети можливість змішати всі потрібні тут-і-тепер прийоми та жанри в будь-яких пропорціях.

Інший дуже поширений спосіб писання про літературу – творення та коментування різноманітних «рейтингів». Редакції за допомогою експертів чи голосування читачів намагаються дізнатися, хто з письменників «найбільш успішний», «найбільш оплачуваний», «найбільш впливовий», яка книжка «найкраща», «найпопулярніша» та «найбільш тиражна». Тем і сюжетів для таких рейтингів придумувати журналісти не бояться та сміливо користуються привілеями такого роду публікацій – це міждисциплінарність, зокрема, можливість поєднати тему літератури з нібито більш цікавою для «широкого» українського читача економікою, а також можливість мало не контр-абандою протягнути статтю про літературу навіть у таке видання, яке на подібні теми не пише ніколи.

А про звичні для всіх і кожного інтерв'ю з письменниками та звичку брати коментарі в письменників на будь-яку гостру соціальну тему я навіть не казати – це common place у журналістиці планети Земля, включно з модою на письменників-колумністів.

Десь тут у зацікавленого читача мало би виникнути запитання: чи справді ЗМІ аж так ігнорують літературну тематику? Справді, повірте. Причому не просто ЗМІ, а читачі цих ЗМІ, до того ж ігнорують вони не «літературну тематику», а власне книжки. Всі соціологічні дослідження показують, як мало українці читають – якщо узагальнити цифри, отримані різними дослідниками, то десь до 20% українців читають бодай час від часу... і ще менше купують хоча б одну книжку на рік. Тому не варто дивуватися, що українське книговидання друкує півтори книжки на душу населення – це не злий жарт, а дзеркало. В таких умовах щось пояснити редактору комерційного ЗМІ про значимість культури та читання дуже складно.

На тлі суто медійних українських особливостей відбувається дуже цікавий процес. Хоча, можливо, він насправді не відбувається. Але терміни на його позначення є. Словом «літературний критик» називає себе все менше людей (особливо це цікаво з огляду на те, як мало людей взагалі цим видом письма займаються). Все більш уживаним стає неологізм «книжкова журналістика», що нею займаються de facto всі, хто пише про літературу, книговидання та супутню інфраструктуру. Наступний етап процесу теж уже почався – «книжкові журналісти» поволі, один за одним, перетворюються на менеджерів, які самі організують фестивалі, видають і перекладають книжки.

Про причини цих перетворень говорити тут я не буду – це тема для окремої довгої розмови з далекими екскурсами в похмурі українське минуле, абсурдне українське сучасне та у спільні національні комплекси.

Скажу про наслідок: в Україні літературних критиків, можливо, справді нема, але результати їхньої роботи очевидні.



► Літературна критика в Україні – фікція чи реальність?

Щоб відповісти на це питання, я як одна з тих, хто займається літературною критикою в Україні, мала би сама собі його поставити: чи я сама є фікцією, чи реальністю? По-моєму, однозначної відповіді тут нема – і цитувати філософів на підтвердження цієї тези я не буду, бо їх і так усі вже читали. Але запитання про (не) реальність літературної критики в Україні є на диво актуальним от уже кілька десятків років. Я, звісно, в силу віку, добре можу говорити про процеси в літературі та літературній критиці з початку 2000-х, але старші колеги про фразу «критики в нас нема» байки розказують часто. З цієї точки зору мені особисто справді простіше

визнати власне не-існування, ніж довести якомусь літньому графоману, що рецензії на його книжки не з'являються не через те, що критики в Україні нема.

Писати цю статтю для мене особисто трохи абсурдно (станом на мить початку роботи над цим текстом): я не можу собі уявити, як говоритиму про те, що так тісно пов'язане з реаліями літератури України, з якими ви, дорогі читачі, мабуть, здебільшого не надто добре знайомі. Але тут насправді ховається конструктив (це речення я дописую, вже закінчивши цю статтю), і конструктив цей полягає в тому, що спокиси писати про анекдоти з життя нашої літературної флори та фауни навіть не виникло, натомість

IRYNA SLAWINSKA (1987, Ukraine) – Journalistin, Übersetzerin und Mitglied des ukrainischen PEN-Clubs. Sie studierte französische Sprache und Literatur in Kiew und Amiens. Momentan arbeitet sie als Journalistin und Kolumnistin der Online-Ausgabe der „Ukrajinska Prawda“ (<http://www.pravda.com.ua/>), des unabhängigen Radiosenders „Hromadske radio“ (<http://hromadske-radio.org/>) und der Zeitschrift „Scho“. 2010-2011 war sie Jurymitglied für den Literaturpreis Buch des Jahres der BBC. 2010 veröffentlichte sie den Band 33 *Helden der ukrainischen Literatur* mit Interviews mit zeitgenössischen ukrainischen Schriftstellern. Aktuell arbeitet sie an ihrer Dissertation zur Literaturtheorie und an zwei neuen Interviewbänden.

ІРИНА СЛАВІНСЬКА (1987, Україна) – журналістка, перекладачка, членкиня українського ПЕН-клубу. Вивчала французьку мову та літературу у Києві (Україна) та Ам'єні (Пікардія, Франція). Зараз працює журналісткою та колумністкою інтернет-видання «Українська правда» (<http://www.pravda.com.ua/>), незалежного «Громадського радіо» (<http://hromadske-radio.org/>), часопису «ШО». Протягом 2010-2011 років працювала в журі премії Книга року Бі-Бі-Сі. 2010 року опублікувала книжку інтерв'ю з сучасними українськими письменниками *33 герої укрліт*. Зараз працює над дисертацією з теорії літератури та двома новими книжками інтерв'ю.



PIOTR MATYWIECKI (1943, Polen) – Dichter, Literaturkritiker, Essayist. Von 1986-89 Mitredakteur der im Untergrund erscheinenden Literaturzeitschrift „Wezwanie“. Redaktionsmitglied der Literaturzeitschriften „Tygodnik Literacki“ und „Potop“, Mitarbeiter der Zeitschriften „Więź“, „Twórczość“ und „Powściągliwość i Praca“, seit 1990 für die Literaturredaktion des Zweiten Programms des Polnischen Radios tätig. 2011 wurde er für sein Gesamtwerk mit dem Preis „Kamień“ ausgezeichnet, der während des Lubliner Festivals „Stadt der Poesie“ verliehen wurde. Für seinen Essayband *Kamień graniczny* [Der Grenzstein], der philosophischen, geschichtsphilosophischen und soziologischen Betrachtungen zum Holocaust gewidmet ist, erhielt er u. a. den Preis des PEN-Clubs. Sein Lyrikband *Ta chmura powraca* [Diese Wolke kommt wieder] war 2006 im Finale des renommierten Nike-Literaturpreises. Mit dem Literaturpreis der Stadt Gdynia in der Kategorie Essay wurde 2008 sein Buch *Twarz Tuwima* [Tuwims Gesicht] ausgezeichnet.

PIOTR MATYWIECKI (1943, Polska) – poeta, krytyk literacki, eseista. W latach 1986-89 współredagował wydawane poza cenzurą pismo „Wezwanie”, a także „Tygodnik Literacki” oraz „Potop”, współpracował z pismami „Więź”, „Twórczość”, „Powściągliwość i Praca”, a od 1990 z Polskim Radiem. W 2011 roku został laureatem Nagrody „Kamień”, przyznawanej podczas Lubelskiego Festiwalu „Miasto Poezji”. Ważną dziełem w jego dorobku jest esejistyczna książka *Kamień graniczny*, uhonorowana m.in. nagrodą PEN-Clubu, w której autor mierzy się z problemem Holocaustu. Jego książka *Ta chmura powraca* (Wydawnictwo Literackie) była finalistką Nagrody Nike w 2006 roku.. W roku 2008 do finału Nagrody Nike dotarła książka *Twarz Tuwima*, która została też laureatką Nagrody Literackiej Gdynia 2008 w kategorii eseistyka.

junger kalter wind
verließ das eisige haus

woher wusste er dass er nie zurückkehren würde
schließlich hatte ihn noch nichts erfasst
was ihn davongeweht hätte

er wusste es weil er sich selbst mit luftleeren räumen umgab

młody zimny wiatr
wyszedł z lodowego domu

skąd wiedział że nigdy nie wróci
przecież jeszcze nic go nie dotknęło
co by go wywiało

wiedział bo sam siebie próżniami otoczył



mutter hat mir erzählt
sie habe bei meiner geburt
im jahr 1943
im krankenhaus auf der arischen seite
nur eines gefürchtet:
dass sie sich vor schmerzen vergesse
und zu schreien beginne
auf jiddisch

vielleicht habe ich deshalb von mutter
nie etwas wichtiges
gehört

außer dieser geschichte

opowiadała mi matka
że kiedy mnie rodziła
w 1943 roku
w szpitalu po aryjskiej stronie
bała się tylko jednego:
z bólu zapomni się
i zacznie krzyczeć
po żydowsku

może dlatego od matki
nigdy nic ważnego
nie usłyszałem

oprócz tej historii

ich hatte keinen vater
weil er nicht
weil er nicht lebte

ich hatte eine mutter für mich wie für niemanden
es interessierte sie nicht wie ich war –
sie wollte nur dass ich lebe
weil sie lebte für mein leben

und es gab einen stiefvater

zwischen der erinnerung an die erste frau und das kind
– beide starben in Treblinka – und dem jetzigen leben
fand er kaum die kraft
mich wahrzunehmen

Viele Juden änderten nach dem Krieg ihren Nachnamen.
Vor allem jene, die während der Okkupation hier gelebt hatten.
Andere Juden nahmen ihnen das übel. Nicht-Juden erst recht,
obwohl aus anderen Gründen.

Der geänderte Nachname aber sagte:
Was geht mich
der Mensch an, der mich trägt.

Und jener, der ihn trug,
fühlte sich frei vom Nachnamen,
dem von einst und jetzt.
Das erleichterte etwas
das Ertragen
seines Selbst
nach selbigem...

nie miałem ojca
bo nie
bo nie żył

matkę miałem dla siebie jak dla nikogo
nie obchodziło jej jaki byłem –
chciała tylko żebym żył
bo żyła dla mojego życia

i był ojczym

między pamięcią o pierwszej żonie i dziecku
– zginęli w Treblince – a życiem teraźniejszym
ledwo mu siły starczało
żeby mnie dostrzegać

Wielu Żydów po wojnie zmieniło nazwiska.
Szczególnie ci, którzy tu żyli za okupacji.
Inni Żydzi mieli to za złe. Nie-Żydzi tym bardziej,
choć z innych powodów.

A zmienione nazwisko mówiło:
nic mnie nie obchodzi
człowiek, który mnie nosi.

I ten, który je nosił,
czuł się wolny od nazwiska
dawnego i dzisiejszego.
To była jakaś mała ulga
w znoszeniu
siebie
po sobie...

NACH

Sie wissen nur zu gut, wo es uns nicht gibt – überall –,
deshalb rufen sie uns allerorten mutig auf,
mit Versen rufen sie uns, mit Vaterländern,
Veranstaltungen und Festivals.
Also ersparen wir ihnen (auch uns) die Enttäuschung –
und seien da.

alles würde ich dafür geben nicht zu wissen
wann ich geboren wurde denn das wäre der tod

der wind des vergessens ist ein durchsichtiger traum
seine jahrhunderte am himmel sind schneller als die sekunden
dieser wind bindet mich auf der erde
doch bin ich kein fels
und vertraue mich den freunden an

den vers verrate ich? mich verrate ich?

alles habe ich gegeben

PO

Wiedzą już, gdzie nas nie ma – wszędzie –
dlatego zewsząd wywołują śmiało,
wierszami nas wołają, ojczyznami,
imprezami, festiwalami.
Więc nie róbmy zawodu (sobie też) –
i bądźmy.

wszystko bym dał żeby nie wiedzieć
kiedy się urodziłem bo to by śmierć była

wiatr zapomnienia jest snem przezroczystym
wieki jego na niebie szybsze są od sekund
ten wiatr wiąże mnie na ziemi
ale nie jestem głazem
i zwierzam się przyjaciółom

wiersz zdradzam? siebie zdradzam?

wszystko dałem

ich schrieb gedichte einfach und ehrlich –
bevor sie etwas sagten hörten sie einander zu

deshalb hörte man sie nicht
hielt sie für überflüssig

heute überprüfe ich sie –
ich lege mein ohr ans wort

die abstraktion ist nicht zu hören die laute sind bedeutungslos
einsame atemzüge bewegen sich entlang der zeilen

ich drehe die gedichte um mit dem schweigen zu den menschen –
alles hört man

wiersze pisałem prosto i otwarcie –
zanim coś powiedziały wysłuchały się same

dlatego nie słyszano ich
uważano za zbędne

dzisiaj je sprawdzam –
przykładam ucho do słowa

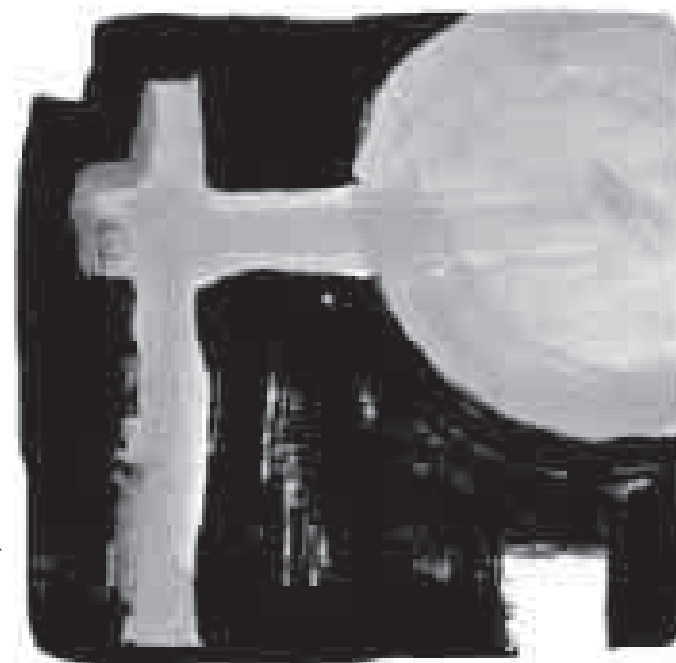
abstrakcji nie słysząc głoski są bez znaczenia
samotne oddechy chodzą linijkami

odwracam wiersze milczeniem do ludzi –
wszystko słysząc

HRYHORIJ SEMENTSCHUK (1991, Ukraine) – Lyriker, Musiker der Gruppe DRUMТИАТР und Essayist. Autor des Lyrikbandes *Innerer Dschihad* (Meridian Czernowitz 2012). Programmdirektor des Internationalen Literaturfestivals Lwiw. Chefredakteur der Lwiwer soziokulturellen Zeitschrift „Prosto Neba“. Lebt und arbeitet in Lwiw.

ГРИГОРІЙ СЕМЕНЧУК (1991, Україна) – поет, музикант гурту DRUMТИАТР, есеїст. Автор поетичної збірки *Внутрішній джихад* («Meridian Czernowitz», Чернівці 2012). Програмний директор Львівського міжнародного літературного фестивалю. Шеф-редактор львівського соціокультурного часопису «Просто Неба». Живе і працює у Львові.

© Dorota Gawryszewska



внутрішні війська мої, у кишені джинсів,
ховають ножі, кастети й довгі слова...
кілька убитих полковників, двоє заляканих принців,
збереглися рубцями і плямами на руках.

ці хлопчачі усередині втомились від повсякденних атак:
вони кожного вечора дякують мені що живі,
мовчки охороняли увесь цей сраний бардак,
у моєму серці і моїй голові.

осінь дає команду розганяти внутрішній протест,
іти в атаку з гумовими кийками і сльозогінним газом.
мої внутрішні війська, не хочуть підіймати цей хрест,
не збираються вірити у весь цей абсурд і маразм...

створення світу передбачало дурниці,
я нарешті це збагнув, зрозумів і вніс у блокнот.
навіть найвідчайдушні демони й благородні лицарі,
відмовлялись від пекла і віри, стягив й клейнод.

стоять і дивляться на мене, ніби горобчики
опустили світлі голівки. здали ножі, слова і кастети.
внутрішні війська мої – маленькі хлопчачі
й дезертири, що стануть поетами.

in den jeantaschen versteckt die armee in mir
messer, schlagringe und lange wörter...
ein paar tote oberste, zwei eingeschüchterte prinzen
sind als flicken auf den ärmeln, als narben geblieben.

bei den tagtäglichen attacken haben die kerle da drin sich verausgabt:
abends danken sie mir, dass sie noch leben,
bewachen schweigend das beschissene chaos
in meinem herzen und meinem kopf.

der herbst befiehlt, den protest im innern zu zerschlagen,
mit gummknüppeln und tränengas zum angriff überzugehen.
die armee in mir, sie will dieses kreuz nicht erhöhen,
will an absurdität und erschöpfung nicht glauben...

mit der welt wurde auch die dummheit erschaffen,
das hab ich endlich kapiert, durchschaut und in mein blöckchen notiert.
selbst die verwegensten furien und edelsten ritter
sagten von hölle und glaube, von bannern und orden sich los.

da stehen sie, sehen mich an, lassen wie küken
die hellen köpfchen hängen. haben die messer, wörter, schlagringe abgeliefert.
die armee in mir, das sind kleine junges
und deserteure, die dichter werden.

was ist das Wort „Batkiwschtschina“, „Heimat“, doch süßlich und bieder,
sicher, wenn es die Ukraine meint, und uns, ihre traumatisierten Kinder.
laut fragen wir: „Mama, Mama, wo ist denn der Papa?“
Papa soff wie ein Loch, schnüffelte Klebstoff und prügelte alle grün und blau.

überhaupt nicht berücksichtigt wird, welche Tragik hierin liegt,
geht es um Gewalt im Innern, um Prügeleien und Blut auf dem Parkett,
haben wir plötzlich andere Probleme, den globalen Krieg, die weltweite Krise,
Absenz von Revolution, dabei Präsenz scharfer Bajonette.

aber es gibt nicht genug fähige Köpfe. oder raue Lippen. oder heiße Herzen.
immer noch sind da zu viele der alten Brüder, just die haben uns als Kinder gequält.
man muss schweigend zuhören, in Ecken, an Haltestellen, unter den Menschen.
und beten, dass fürs Beobachten einen keiner bestraft.

скільки в слові «Батьківщина» солодкавого і картатого,
тип паче, якщо йдеться про Україну і про нас - травмованих її дітей.
ми голосно питаємо: «Мамо, мамо а де наш тато?»
тато бухав, нюхав клей й роздавав усім піздюлей.

і у цьому зовсім відсутня притаманна частина трагізму,
коли йдеться про домашнє насилля, бійки і кров на паркеті
наразі вже інші проблеми - глобальна війна і всесвітня криза,
відсутність революції, попри наявність міцних багнетів.

але не вистачає міцних голів. і терпких губ. і гарячих грудей.
забагато лиш старших братів, вони точно в дитинстві нас катували.
доводиться мовчки слухати, у кутку, на зупинці, серед людей.
і молитись, про те, щоб за спостереження не штрафували.

Mitten in der Nacht stehe ich in einer dunklen Straße,
Unter Kleinbürgern und Kommunisten.
Das Viertel sucht Zuflucht beim Himmel. Und du hoffst, er kommt nicht,
Der Beitritt von dir und dem Land zu Westrusland bleibt aus.

Gaskammern werden hier vorläufig keine gebaut,
Noch streifen deine Lippen die Überwachungskamera feucht,
Wir könnten doch Stars werden, unser Karma verbessern,
Die Welt in die Luft jagen und YouTube dahinter gleich mit.

Ohne dich ist es Winter – und auch wieder nicht, wozu wählen gehen...
Stimmen für wen... Und wozu? Die Bäume verlieren langsam ihr Laub.
Wenn du willst, besorg ich mir eine Kalaschnikow und schikanier sie alle.
Auch wenn du beschließt, doch nach Westrusland zu gehen.

Опівночі, я стою посеред темної вулиці,
Навколо – комуністи і прихильники мілкої буржуазії.
Околиці до неба туляться. І ти сподіваєшся, що не збудиться,
Приєднання тебе і землі навколо, до Західної Росії.

І поки тут ще не будують газових камер,
Поки на камерах спостереження лишилися сліди твоїх губ,
Можна спробувати стати зірками, поліпшуючи карму,
І підірвати навколо себе світ, а за ним і YouTube.

Без тебе зима – не зима, і нема, як голосувати...
Немає за кого... Навіщо? Повільно дерева лисіють.
І якщо ти захочеш, я куплю АК і почну бикувати.
Навіть, якщо ти вирішиш, що треба жити у Західній Росії.

Proskuriwer Blues

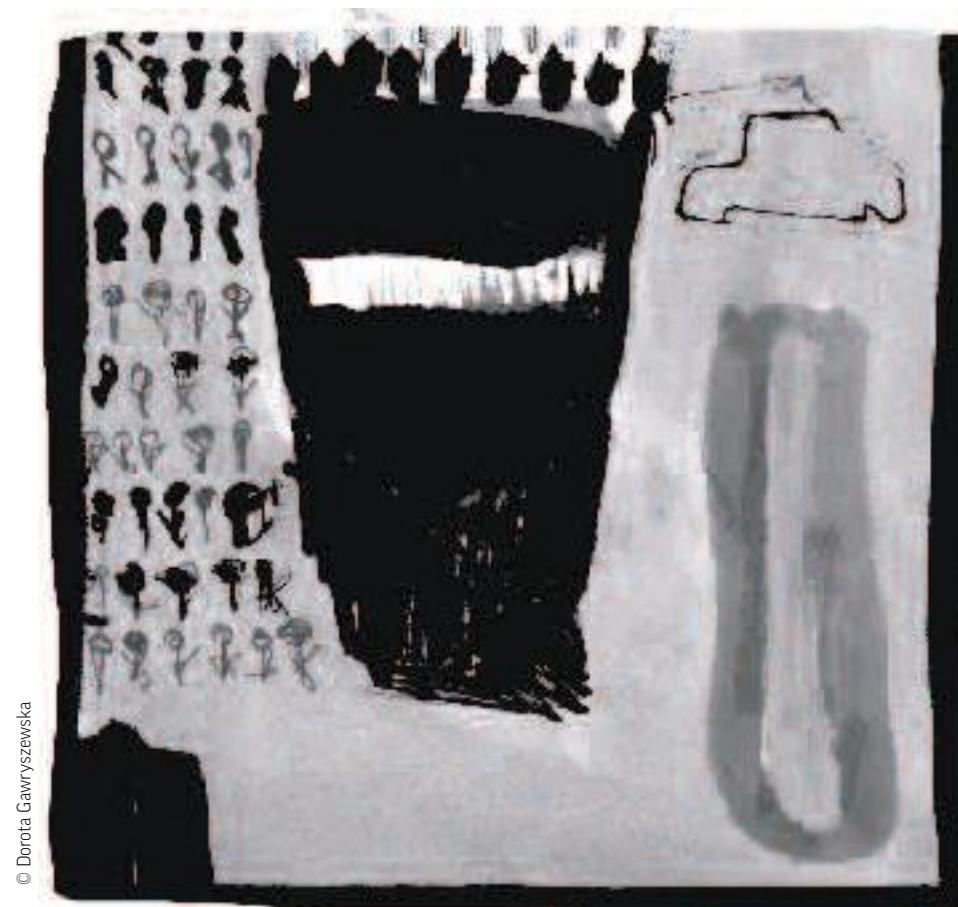
Eine Stadt mit vielen kleinen Mädchen
und sehr vielen erwachsenen, aufgeblasenen Männern.
Ein Vaterland im Kleinen – das Signum aller Siegel...
Das Rückgrat meiner Rücken, der Hüter aller Hirten.

Eine Stadt, in der ich mein Herz und sogar meine Lungen ließ,
man leidet dort nachts unter der Luft und dem Krach.
Und die Gene bringen Trottel hervor und Genies,
an einem Ort wie eine strenge Kaserne.

Ich weiß, sie kommt wohl, die Rückkehr,
wann auch immer – irgendwann bestimmt.
Ich reibe meine nackten Knie an den Stoppeln auf,
und der Wind kringelt mir immerzu Locken.

Klein und frei fühle ich mich hier,
und die Angst sieht lustig aus mit ihrer sauren Grimasse.
Ich schalte mich ab, schalte mein Handy ab,
und die Verse schreiben sich unaufhaltsam und ich schreibe sie nieder...

Weg mit dem Armband, ich horte Tabletten,
wie ein Wolf schleich ich verzweifelt, verkatert ins neue Haus.
Die Stadt flüstert mir Verse ins Fenster, Couplets und Sonette,
und ich lächle die Nacht an und sinke ruhig und langsam in Schlaf.



© Dorota Gawryszewska

Проскурів-блюз

Місто, в якому багато маленьких дівчаток,
і дуже багато дорослих накачених чоловіків.
Мала Батьківщина – початок усіх печаток...
Хребет усіх моїх спин, пастор усіх пастухів.

Місце в якому лишив своє серце і навіть легені,
Там де щемить уночі від повітря й базарів.
А гени народжують лохів і геніїв,
В околицях – ніби суцільних казармах...

Я знаю, мабуть настане повернення,
колись не колись, а воно – неминуче.
Я голі коліна здираю об стерню,
і вітер нестримно закручує кучері.

Чую себе тут маленьким і вільним,
і страх видається смішною гримасою кислою.
Вимикаю себе, вимикаю мобільний
і вірші нестримно пишуться, й я їх запишую...

Ховаю таблетки, знімаю браслети,
до дому нового тікаю мов вовк, відчайдушно й похмільно
А місто шепоче мені у вікно куплети й сонети
і я посміхаючись в ніч, засинаю спокійно й повільно.

bis die Maschine die Gangway runterlässt, bis der Pilot vom Dope runterkommt,
 bis dahin sitzen wir fest, immerhin, die Klimaanlage ist gut...
 jetzt begreifst du, wie irrelevant politische Landkarten sind,
 Revolution beginnt mit Vibration.
 es vibriert überall, in den Pubs, Restaurants und Geschäften.
 für wen du nicht alles bist: Karpaty Lwiw, die Chicago Bulls,
 was nicht alles liebst: Molotowcocktails, Nitroglyzerin in Bananen.
 ich schicke ein Stoßgebet, möge er weiter vibrieren, dein Puls,
 kann jeder doch mithören, was du da sagst,
 beim trostlosen Karaoke, beim Tango in einer Bar.
 sich in der Hand behalten, nicht sich ins Koma saufen,
 in der Winternacht, im nussäugigen Dunkel.
 den Schuldigen – ihnen allen vergebe ich aus tiefstem Herzen,
 der Motor heult, 15 Tonnen Treibstoffverbrauch.
 bis die Maschine die Gangway runterlässt, bis der Pilot runterkommt,
 haben wir die Routen vernichtet, die Blogs gelöscht,
 Herz, Augen und Hände laufen auf Vibration,
 und die Schläge im Bauch werden von Mal zu Mal stärker.
 Gärten aus Kreide sprießen in Häusern und Schlössern,
 diesen Puls spüren auch Hunde und Katzen heraus. und wie ist es mit dir?

поки літак не відпускає трап, поки пілота не попустить драп,
 ми звідси не поїдемо – тут добра вентиляція...
 тепер, ти розумієш нульову доцільність політичних мап,
 бо революція, насправді, починається з вібрації.
 вібрує всюди – в пабах, магазинах й ресторанах.
 за кого б ти не вболівав – Карпати чи Чикаго Буллз,
 що б не любив: коктейлі молотова, нітрогліцерин в бананах.
 я помолюсь за те, що б й далі вібрував твій пульс
 бо кожен може до цих слів прислухатись,
 танцюючи у барах танго, затагнувши сумно караоке.
 тримати у руках себе, не збухуватись,
 коли навколо ніч зимова й морок кароокий.
 кому був винен – урочисто всім прощаю,
 гудить мотор, ковтаючи 15 тонн пального.
 поки літак не відпускає трап, поки пілота теж не відпускає,
 ми знищимо усі маршрути, видалимо блоги,
 бо наше серце, очі й руки діють від вібрації,
 і поштовхи щораз сильніше в животі.
 сади із крейди проростають крізь дома й палаци,
 цей пульс відчутний навіть для собак й котів. а як же ти?

september solo

könnte ich ihnen nur die Hand drücken, sie umarmen,
 aber die Kraft reicht nicht hin, dabei sind es kaum siebzig Meter...
 in meinen Träumen stehen sie immer noch schweigend,
 zwischen den Hügeln, in der Fahrspur, wo die Winde heulen.

alle sind sie so durchsichtig und mit Sternen besteckt.
 ich kenne sie beim Namen, tief sitzen sie im Herzen versteckt,
 und ich bewirte sie weiter mit Pralinen und starken Getränken,
 damit sie nicht flüchten, nach Tschechien oder Marokko

ich bete für sie in den Mauern des heiligen Doms.
 „evil“ steht auf den Schirmen in Schwarz auf Weiß.
 „Der Nächste bitte!“, im alten Gewölbe ein Ruf,
 mit einer Gabel zerfetzt auf der Schwelle der September den Herbst.

und in meinen Träumen stehen sie immer noch schweigend,
 inmitten von Cafés und Theatern, Hotelsuiten in Rot.
 könnte ich ihnen nur die Hand drücken, sie umarmen,
 Oktober und November anhalten, wieder zurückgehen.

september solo

якби мені їм усім потиснути руку і обійняти,
 але сили нема, всього метр сімдесят три...
 і у моїх снах вони продовжують мовчки стояти,
 серед пагорбів, на коліях де гудуть вітри.

усі вони такі прозорі, уквітчані зорями.
 знаю їх поіменно, вони мов у засідці в серці глибоко
 і я далі буду частувати їх цукерками, міцними напоями,
 щоб вони не тікали у Чехію чи Марокко.

я молюся за них, серед стін святого собору.
 на екрані написано чорним по білому «evil».
 попід арками древніми крик: «поклічте чергового!»
 з-за порогу обтріпує вересень осені вилами

і у моїх снах вони продовжують мовчки стояти,
 серед театрів, кафе і червоних готельних кімнат.
 якби мені їм усім потиснути руку і обійняти,
 зупинити жовтень і листопад, повернутись назад.

DIE WAHRE HEIMAT MEINES VATERS WAR DIE POLNISCHE SPRACHE PRAWDZIWYM KRAJEM OJCA BYŁ JĘZYK POLSKI

Wojciech S. Wocław spricht mit **Elżbieta Wittlin-Lipton**
Rozmowa Wojciecha S. Wocława z **Elżbietą Wittlin-Lipton**

► **WOJCIECH S. WOCŁAW:** Józef Wittlin schrieb *Das Salz der Erde*, er war der erste polnische Expressionist, Autor der Hymnen, zudem ein herausragender Essayist. Wie würden Sie Ihren Vater als Schriftsteller beschreiben? Auf die gleiche Weise? Oder ist für Sie anderes wichtig, bislang unbekannte Seiten?

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON: Mein Vater war ein Poet in der Prosa. Gewöhnlich zählt man ihn zu den Expressionisten, aber ich persönlich sehe in ihm auch einen Vorläufer der absurden Literatur, insbesondere in seinem Umgang mit dem Thema Krieg.

Welche Werke Wittlins sind für Sie am wichtigsten?

Schwer zu sagen. Ich bin da immer noch auf Entdeckungsreise. Der Geschmack ändert sich, ich suche ständig nach Neuem. Sein gewaltigstes Werk ist sicher *Das Salz der Erde*, aber auch die von ihm übersetzte *Odysee* schätze ich sehr.

Welche Bücher Ihres Vaters nehmen Sie in letzter Zeit besonders gerne wieder zur Hand?

Die Essays und Reiseberichte. Mit der Zeit ändert sich unsere Interpretation. Ich bin schon alt, und in jeder Lebensphase liest man ein wenig anders, denken Sie nur an Cervantes: Erst wird gelacht, dann geweint, schließlich philosophiert. Gerade mache ich Illustrationen für *Das Salz der Erde*. Obwohl ich das Buch recht gut kenne, habe ich vieles darin vergessen und muss immer wieder etwas nachlesen. Und die Essays, weil ich die gerade übersetze.

Die Bemerkung über Cervantes hat mich neugierig gemacht. Wie also las man *Das Salz der Erde* bei seiner Veröffentlichung, und wie liest man es heute?

Das Buch wurde immer als pazifistischer Roman wahrgenommen, und tatsächlich ist der Pazifismus zentral darin. Wichtig ist daneben aber auch die Haltung der

Juden unter Kaiser Franz Joseph. Auch finden sich in dem Text viele surrealistische Elemente. Meiner Meinung nach ist *Das Salz der Erde* die Fortsetzung der *Hymne über einen Löffel Suppe*.

Wo würden Sie Ihren Vater im Kreis seiner Kollegen aus der Zwischenkriegszeit einordnen?

Die größte Nähe besteht zu Joseph Roth, dem Autor des *Radetzky-Marsch*. Mit Stanisław Vincenz hatte er die Sicht auf Lemberg gemein. Vater war ein Pessimist, daher auch sein Beinamen „Kassandra“. Das heißt natürlich nicht, dass er nicht auch fröhlich sein konnte. Als ihm Gombrowicz seine *Trauer* schickte, lachte er Tränen, denn er entdeckte darin viel Absurdes und Ironie. Die surrealistischen Elemente im Schaffen meines Vaters erlauben in gewissem Maße auch einen Vergleich mit Julian Tuwim, ich meine jedoch, dass Vater trotzdem völlig anders war. Manchmal frage ich mich, ob sein Pessimismus und seine Ironie es überhaupt zulassen, ihn in die Nähe der Skamandriten zu rücken.

Kann man sagen, dass Wittlin eher ein europäischer als ein polnischer Schriftsteller war?

Nein. Die wahre Heimat meines Vaters war die polnische Sprache. Er las in vielen Sprachen, sehr viel über den Krieg. Sein Lieblingsbuch war *Die Thibaults. Die Geschichte einer Familie* von Roger Martin du Gard, den er auch persönlich kennen lernte. Er identifizierte sich sehr stark mit dem Roman. Stärker als mit Remarque, mit dem er gerne verglichen wird. Vater entdeckte Größe in kleinen Leuten und Dingen, so wie Piotr Niewiadomski, der Protagonist seines Romans *Das Salz der Erde*. Doch eigentlich fand er sich in allen Gestalten dieses Buches wieder. Vater sagte von sich, er sei sowohl Niewiadomski als auch Bachmatyuk. Überraschend, unerhört und geradezu prophetisch ist das Kapitel über den Militärarzt Jellinek im

Salz der Erde. Vater war wahnsinnig ehrlich, gerade auch sich selbst gegenüber. Er konnte sich eingestehen, dass viele Juden Selbsthass empfinden, dass wir alle Jellineks sind. Darin wird Absurdität fühlbar. Ich hatte noch bei jeder Lektüre des Buches den Eindruck, dass es sich bei ihm um einen unbequemen Charakter handelt. Eine ähnliche Atmosphäre spüre ich in den besten metaphysischen Gedichten meines Vaters, zum Beispiel in *Ścisła osobiste* [dt. Streng persönlich].

Jellinek ist Jude, allerdings bekennt er sich nicht dazu...

...und peinigt andere Juden. Obwohl Vater katholisch war, tragen auch wir diesen Jellinek in uns. Das ist sehr unangenehm. Ich mag keine Lügen. Davon zeugt auch mein Buch.

Sprach Wittlin mit seinen Schriftstellerkollegen über Dinge, die ihn selbst betrafen, etwa über Polen und die Probleme des Landes, oder interessierten ihn in erster Linie universelle Themen, die alle Europäer angingen?

Polen und seine Probleme standen immer im Vordergrund. Vater glaubte daran, dass die Polen zur Selbstkritik fähig waren. Man hörte das nicht gerne, zumal es von einem Juden kam – wenn auch von einem Juden aus Polen. Aber natürlich interessierten ihn auch die Probleme, die die Menschheit als Ganzes betrafen. So war es immer. Als die Atombombe auf Hiroshima fiel, litt Vater, als wäre sie auf seine eigene Stadt niedergegangen. Er hatte, wenn man so sagen darf, Anteil am Gewissen der Allgemeinheit. Alles trug er in sich: die Kriege in Japan und China, den Völkermord an den Armeniern, den er als Holocaust bezeichnete. Er hielt die Menschen für grundsätzlich gleich, denn wir alle leben auf demselben Planeten, gehören alle der menschlichen Rasse an. Vater war nie ein Kommunist, doch sein Interesse galt immer dem einfachen Menschen, dem polnischen Bauern, dem Arbeiter. In dieser Hinsicht war er ein Linker.

Für welche Bücher begeisterte sich Wittlin? Was las er am liebsten?

Ich denke, Mickiewicz. Er schrieb einmal ein Gedicht, in dem Mickiewicz als mittelloser Lehrer aus Kaunas erscheint. Er las auch viel von Proust, Flaubert, Dostojewskij, Rilke. Er mochte Waclaw Iwaniuk. Vernachlässigt wird seine Beziehung zu Bronisław Przyłuski, mit dem er befreundet war und den er sehr schätzte. Häufig las er in der Bibel. Wobei – eigentlich las zunächst einmal Mutter und entschied dann, ob das Thema interessant für ihn war.

Es scheint, als habe Halina Wittlin einen ungewöhnlich großen Einfluss auf das Schaffen ihres Mannes gehabt. Sie war seine erste Leserin, er legte Wert auf ihre Meinung, und nun stellt sich auch noch heraus, dass sie die Lektüre für ihn auswählte!

Sie prüfte, ob der Wein, der gleich dem König gereicht werden sollte, nicht vergiftet war. So war es auch, wenn sich Personen in seiner Nähe aufhielten, die er nicht mochte oder die ihn langweilten. Mit einem Blick auf seine Uhr gab er Mutter dann zu verstehen: „Fünfzehn Minuten und dieser Mensch ist weg!“

Noch einmal kurz zurück zu Mickiewicz. In Polen gilt er als Dichterprophet. Aber was war er für Wittlin? Einzig ein mittelloser Lehrer?

Er war ein Barde und ein Heiliger. *Pan Tadeusz* war für ihn das verlorene Paradies, wie *In Swanns Welt* für Proust.

Gerade Mickiewicz Leiden ging Vater besonders nahe, damit identifizierte er sich. So war er einfach: nicht immer zu Hause bei der Familie, dafür aber ein guter Freund.

Pflegte er in der Zwischenkriegszeit Kontakte zu anderen Schriftstellern?

Damals war ich ein kleines Mädchen, aber nach allem, was ich gehört, gesehen und auch gelesen habe, weiß ich, dass der schon erwähnte Joseph Roth sein bester Freund war. Vater übersetzte auch seine Werke. In Polen gehörten Tuwim und Wierzyński zu seinem Freundeskreis. Tuwim spöttelte manchmal ein wenig über den Pessimismus meines Vaters, während Wierzyński viel Verständnis für ihn hatte und ihn niemals auf irgendeine Weise piesackte. Lechoń, mit dem er schon mal streiten konnte, zählte zu seinen Freunden, ebenso Słonimski. Auch Rafał Malczewski und Jarosław Iwaszkiewicz standen ihm sehr nahe. Einer seiner besten Leser und engsten Freunde war der herausragende Musiker Mieczysław Horszowski. In gewisser Weise war dieser übrigens mein musikalischer Vater.

Ein Thema für sich sind Józef Wittlins Reisen. Er schrieb Essays „aus dem Koffer“: über seine Aufenthalte in Italien, Frankreich, Jugoslawien. Weshalb ging er auf Reisen? Nur aus Interesse an anderen Ländern?

Jeder junge und arme Dichter träumt von neuen Erfahrungen, neuen Stimuli, die anregend wirken. Vater erhielt zwar ein Stipendium, aber was ihn wirklich antrieb, war die Leidenschaft für fremde Länder. Immer wenn in Polen der Antisemitismus zunahm, verreiste er, um nichts zu sehen und nichts zu hören, um von all dem überhaupt nichts mitzubekommen. Er schrieb dann lieber in Italien, was sein liebstes Land war, obwohl viele Leute behaupten, Frankreich sei ihm noch lieber gewesen. Um vor dem Antisemitismus zu flüchten, fuhr Vater zu den Mönchen nach Assisi, dort schrieb er dann. Ferdynand Goetel, mit dem er befreundet war, sagte ihm kurz vor Ausbruch des Krieges, er solle Polen verlassen, denn er sei kein Pole. Das riet ihm auch Pietrkiewicz, wofür Vater ihm später dankte. Er sagte immer, ohne diese beiden hätte er vielleicht nicht überlebt.

Wer war Wittlin in seinen Reisetexten – Reporter oder Beobachter? Oder waren die Reisen nur Anlässe für Erkundungen der eigenen Innenwelt?

Er war kein Reporter, sondern ein Beobachter, wie Mickiewicz in *Pan Tadeusz*. Vater interessierte sich für das Thema Tod, für Totenrituale in unterschiedlichen Ländern. Er konnte auch in einem einzelnen Menschen, einem einzelnen Gemälde, sehr vieles entdecken. Eines seiner Gedichte entstand, nachdem er in München Rembrandts *Das Opfer Abrahams* gesehen hatte. Er identifizierte sich sogleich mit dem Lamm darin. Vater suchte Menschen, die Hiob glichen. Und damals gab es sehr viele davon. Doch jeder von ihnen war irgendwie einzigartig, jeder hatte seinen eigenen Charakter. Und diesen vermochte Vater zu sehen.

Waren die Europäer damals Hiobsgestalten, die auf die Probe gestellt wurden?

Das Leben war in Vaters Augen ungerecht. Die Armut in Polen bereitete ihm Sorge. Dabei muss ich an seinen Essay *Włodarczyk nie przyjechał* [dt. Włodarczyk kam nicht] denken. Ihn interessierten Menschen, die scheiterten.

So sah er auch Christus, besonders im Zusammenhang mit dem Ersten Weltkrieg: als Unterlegenen, dessen Lehre gescheitert war. So schien ihm auch Amerika – frei, aber schrecklich ungerecht, grausam und gleichgültig. Und Gleichgültigkeit tötet.

Und sah Wittlin Europa in der Zwischenkriegszeit auf einem guten Weg?

Er sah den nächsten Krieg schon kommen. Er fühlte es, hatte geradezu Visionen, die ihn mit Entsetzen erfüllten. Die Menschen der Zwischenkriegszeit waren für ihn sehr naiv.

War Wittlin Pazifist?

Einen Sieg über Deutschland hielt er für notwendig. Aber der gewaltsame Tod schockierte ihn, obwohl er niemals das Wort Pazifist benutzte, sich niemals als solcher darstellte. Er sagte von sich, er sei ein gewöhnlicher, durchschnittlicher Mensch. Am stärksten identifizierte er sich mit einfachen Leuten, denn nach seiner Meinung trugen gerade sie wahrhafte Poesie in sich. Er konnte sich auf der Straße mit einem Polizisten oder einem Zeitungsverkäufer anfreunden.

Welche Auswirkungen hatte der Erste Weltkrieg nach Ansicht Ihres Vaters auf die Kultur?

Im Ersten Weltkrieg starben gewöhnliche Menschen, die keine Berufssoldaten waren. Das war ein Krieg, der jedermann Leid brachte. Plötzlich mussten ein Analphabeter oder ein Huzule im Namen von Gott und Kaiser töten. Unter Zwang töteten die Menschen und wurden selbst getötet. Daraus erwuchs auch eine Faszination für Schwerverbrecher, zum Beispiel Eligiusz Niewiadomski, den Mörder von Präsident Narutowicz. Meinen Vater interessierte, was in den Köpfen solcher Menschen vorging. Auch beschäftigte ihn die Frage der Staatsmacht... Heute noch lassen sich Beispiele für diese seltsame Verehrung, diese kriecherische Haltung der Staatsmacht gegenüber finden. Vater war kritisch. Er kritisierte auch die Kirche, doch Papst Pius X. mochte er sehr, und zu Johannes XXIII. betete er beinahe schon.

Hier haben wir einen gemeinsamen Nenner: Der Dichter, der mit den gewöhnlichen Menschen fühlt. Mit denen, die die größten Opfer bringen mussten...

Mit denen, die wie Nummern behandelt wurden, die lediglich als Statistik auftauchten. Das ertrug Vater nicht, denn seine Liebe oder Faszination galt dem Menschen – dem Einzelnen, dem Individuum.

Der Ausbruch des Ersten Weltkriegs markiert das Ende einer Epoche, er löscht eine ganze Welt aus. Bald darauf beginnt der nächste Krieg...

...den er lange vorher heraufziehen sah. Für ihn war schon der Ausbruch des Ersten Weltkriegs das definitive Ende des 19. Jahrhunderts, das er als Kulminationspunkt der kulturellen Entwicklung ansah. Vater war dem

Wahnsinn nahe, als er in Paris vom Ausbruch des Zweiten Weltkriegs erfuhr. Er dachte, Mutter und ich würden das besetzte Polen nicht mehr verlassen können und niemals wieder zu ihm gelangen. Davon zeugen seine – im Übrigen ganz erstaunlichen – Essays, die Briefe... Da fällt mir auch ein Brief ein, in dem Vater es nach Kriegsende ablehnt, eine Rede an die polnische Nation zu halten. Er schrieb mehr oder weniger: „Was?! Ich?! Ich, dem keine Bomben auf den Kopf fielen, der es warm hatte, der satt war, soll zum polnischen Volk sprechen?“ Zum Schluss schrieb er noch, es sei nicht angebracht, dass „ein Jude sich einmischte“. Den Krieg verbrachten wir zwar in Amerika, doch Vater wusste, was in Europa geschah.

Wie ging es nach dem Zweiten Weltkrieg weiter? Ich meine, wie sah Ihr Vater den weiteren Gang der Dinge?

Er war aus vielerlei Gründen sehr enttäuscht. Auch, weil wir nicht nach Polen zurückkehren konnten, obwohl wir das sehr wollten. Er war sicher, nach Holocaust und Krieg würde es anders werden. Alle dachten wir so. Auch spürte er, es werde Ressentiments geben. Übrigens ist es niemals einfach zurückzukehren. Mich fasziniert das. Es gibt einen Essay meines Vaters, *Pierwszy lot* [dt. Der erste Flug]; er handelt von seiner ersten Europareise nach dem Krieg. Er kehrt nach Europa zurück und es ist, als wäre er zum ersten Mal in seinem Leben dort. Vater wollte immer so schreiben, als erlebte er alles zum ersten Mal.

Und welchen Stellenwert hat der Erste Weltkrieg für Sie? Mich interessiert Ihre Einschätzung aus heutiger Perspektive. Wenn man gegenwärtig an den Ersten Weltkrieg denkt, schwingt der Zweite immer mit. Laut Adorno kann man nach Auschwitz keine Gedichte mehr schreiben. Konnte man es denn nach 1918 noch?

In Amerika oder Spanien ist der Erste Weltkrieg ein beliebtes Thema. Ich habe ihn nicht selbst erlebt, habe aber darüber gelesen und kenne ihn aus Kunstwerken, die er inspiriert hat. Das war ein Gemetzel. Der Erste Weltkrieg brachte große Veränderungen mit sich. Sehen Sie nur, was in der Kunst, in Malerei und Musik passierte. Ich denke da zum Beispiel an den Expressionismus, der die Formgebung einschneidend verändert und auf seine Art ein Bild der menschlichen Art zeichnet. Nehmen Sie nur Maler wie Otto Dix oder Max Beckmann. Oder den „Blauen Reiter“. Hitler hielt diese Kunst für entartet. Vater verglich den Ersten Weltkrieg mit Troja. Vielleicht fürchten wir, alles könnte sich wiederholen? Ein amerikanisches Kind kann sich heute nicht vorstellen, dass es in seinem Land Krieg geben könnte. Krieg findet weit weg statt, junge Menschen gehen hin und sterben. Aber zu Hause hat gefälligst Ruhe zu herrschen. Nur – das Beispiel des World Trade Centers zeigt, dass es anders ist. Dieser Wandel ist erst im 21. Jahrhundert Wirklichkeit geworden. Pearl Harbor liegt weit weg von New York...

[Übersetzung: Jakob Waloszczyk]

WOJCIECH S. WOĆŁAW: Józef Wittlin – autor *Soli ziemi*, pierwszy ekspresjonista, twórca *Hymnów*, znakomity eseista. Jak pani przedstawiłaby swojego ojca-pisarza? Czy też w ten sposób? Czy są jednak jakieś rzeczy dla Pani ważniejsze, a przemilczane?

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON: Mój ojciec był poetą w prozie. Zazwyczaj przedstawia się go jako ekspresjonistę, ale osobiście myślę, że był również prekursorem absurdu, szczególnie w odniesieniu do tematyki wojennej.

Które dzieła Wittlina są dla Pani najważniejsze?

Trudno powiedzieć. Stale to odkrywam. Gust się zmienia, ciągle szukam nowych rzeczy. Za najpotężniejsze dzieło ojca uważam *Sól ziemi*, ale też bardzo cenię *Odyseję*, którą przetłumaczył.

Do czego powraca Pani ostatnio najchętniej?

Do esejów i tekstów o podróżach. Z czasem nasza interpretacja się zmienia. Jestem już stara, a na każdym etapie życia czyta się inaczej – jak z Cervantesem: kiedyś się śmiano, potem płakano, a jeszcze później filozofowano. Obecnie ilustruję *Sól ziemi*, którą znam dość dobrze, choć wiele rzeczy zapomniałam i teraz do nich wracam. Obecnie także do esejów, które tłumaczę.

Zaciekała mnie ta uwaga o Cervantesie. Jak zatem czytano *Sól ziemi* w momencie publikacji, a jak czyta się ją dziś?

Zawsze czytano ją jako powieść pacyfistyczną, bowiem pacyfizm był w niej najważniejszy. Ważna dla tej książki jest także postawa Żydów za czasów Franciszka Józefa. Jest tam również wiele wątków surrealistycznych. *Sól ziemi* to, moim zdaniem, kontynuacja *Hymnu o łyżce zupy*.

Jakby Pani opisała swojego ojca w kontekście innych pisarzy dwudziestolecia międzywojennego?

Najbardziej kojarzy mi się z Józefem Rothem, autorem *Marsza Radetzky'ego*. Także ze Stanisławem Vincenzem, jeżeli chodzi o stosunek do Lwowa. Ojciec był pesymistą, stąd jego przydomek „Kassandra”. Nie oznacza to oczywiście, że nie potrafił być wesoły. Śmiał się do rozpuku ze *Ślubu*, który przesłał mu Gombrowicz, ponieważ odnalazł tam absurd i ironię. W twórczości mojego ojca można odnaleźć wątki surrealistyczne, pozwalające w jakimś stopniu kojarzyć go z Tuwimem, jednak ja uważam, że ojciec był zupełnie inny. Kiedyś zastanawiam się, czy ironia i pesymizm ojca nie dyskwalifikują go jako skamandryty.

Czy można powiedzieć, że Wittlin był pisarzem bardziej europejskim niż polskim?

Nie. Prawdziwym krajem ojca był język polski. Czytał w wielu językach, bardzo dużo o wojnie. Jego ulubioną książką była *Rodzina Thibault* Rogera Martina du Gard, którego też poznał osobiście. Bardzo utożsamiał się z tą powieścią. Bardziej niż z Remarkiem, do którego się go porównuje. Ojciec znajdował wielkość w małych ludziach i rzeczach – jak Piotr Niewiadomski, bohater *Soli ziemi* jego autorstwa. Ojciec jednak rozpoznawał się we wszystkich bohaterach tej powieści. Mówił o sobie, że był i Niewiadomskim, i Bachmatiukiem. Czynnikiem najbardziej zaskakującym, niewiarygodnym, wręcz pewną przepowiednią jest niewygodny rozdział *Soli ziemi* poświęcony wojskowemu doktorowi Jellinkowi. Ojciec był szalenie szczery, przede wszystkim wobec samego siebie. Potrafił przyznać, że wielu Żydów nienawidziło samych siebie, że

wszyscy jesteśmy Jellinkami. W tym też czuć absurd. Z każdą lekturą tej książki wydaje mi się, że osobowość Jellinka jest niewygodna. Podobną atmosferę wyczuwam w najlepszych metafizycznych wierszach ojca, na przykład do *Ścisłe osobiste*.

Jellinek jest Żydem, ale nie przyznaje się do tego...

...i dręczy innych Żydów. I my Żydzi, chociaż ojciec był katolikiem, mamy tego Jellinka w sobie. To bardzo nieprzyjemne. Nie lubię kłamstwa. Moja książka również to udowadnia.

Czy Wittlin spotykając się ze swoimi kolegami pisarzami rozmawiał o tym, co było mu najbliższe, na przykład o Polsce i polskich problemach, czy też interesowały go przede wszystkim tematy uniwersalne, wspólne dla wszystkich w Europie?

Polskie życie i jego problemy zawsze były na pierwszym miejscu. Ojciec wierzył w samokrytykę Polaków. Nie było to najmilej widziane, szczególnie gdy wychodziło od Żyda, mimo że ten Żyd był Polakiem. Oczywiście interesowały go problemy wspólne dla ludzkości. Zawsze tak było. Kiedy zrzucano bombę na Hiroszimę, ojciec cierpiał tak, jakby to się stało w jego mieście. Miał, jeśli tak można powiedzieć, sumienie ogółu. Nosił w sobie wszystko: wojny w Chinach, w Japonii, o których się dowiadywał, ludobójstwo Ormian, które nazywał holokaustem. Uważał, że człowiek jest człowiekowi równy, wszyscy bowiem należymy do jednej krainy, jesteśmy jedną ludzką rasą. Ojciec nie był komunistą, ale zawsze poświęcał dużo uwagi prostemu człowiekowi, polskiemu chłopu, robotnikowi. W tym kontekście był lewicowy.

Jakie były fascynacje literackie Wittlina? Co najbardziej lubił czytać?

Chyba Mickiewicza. Napisał taki wiersz, w którym przedstawił Mickiewicza jako ubogiego nauczyciela z Kowna. Czytał także dużo książek Prousta, Flauberta, Dostojewskiego, Rilkego. Lubił Wacława Iwaniuka. Mało się mówi o jego relacjach z Bronisławem Przyłuskim, z którym bardzo się przyjaźnił i którego cenił. Często czytał Biblię. Zresztą, najpierw czytała mama, żeby rozeznać, czy dany temat będzie go interesować.

Jak się okazuje, Halina Wittlinowa odegrała niezwykle ważną rolę w życiu Wittlina-pisarza. Była pierwszą czytelniczką jego dzieł, liczył się z jej opinią, a teraz okazuje się, że odpowiadała także za listę jego lektur!

Sprawdzała, czy wino, które miał za chwilę wypić król, nie jest zatrute. Tak było też w sytuacjach, gdy w otoczeniu ojca pojawiała się osoba, której nie lubił, lub która go nudziła. Patrzył na mamę, na zegarek i dawał do zrozumienia: „Piętnaście minut i ma go nie być”.

Chciałbym wrócić na chwilę do Mickiewicza. W Polsce Mickiewicz to wieszcz narodowy. A kim był dla Wittlina? Jedynie ubogim nauczycielem?

Był bardem i świętym. *Pan Tadeusz* był utraconym rajem, jak *W stronę Swanna* dla Prousta. Ojciec zwracał największą uwagę na cierpienie Mickiewicza i z tym się utożsamiał. Taki po prostu był – nie zawsze przy rodzinie, potrafił natomiast być dobrym przyjaciелеm.

Jak wyglądały jego kontakty z innymi pisarzami w dwudziestoleciu?

Byłam wtedy małą dziewczynką, ale dzięki temu, co słyszałam, widziałam i czytałam, wiem, że jego największym przyjacielem był Roth, o którym już wspomniałam. Ojciec również tłumaczył jego dzieła. W Polsce do grona jego przyjaciół trzeba zaliczyć Tuwima, Wierzyńskiego. Ten pierwszy trochę kpił z pesymizmu mojego ojca, zaś drugi był dla niego bardzo wyrozumiały, nie dręczył go w żaden sposób. Inni to Lechoń, z którym się potrafił kłócić, oraz Słonimski. Rafał Małczewski i Jarosław Iwaszkiewicz byli mu bardzo bliscy. Jednym z jego najlepszych czytelników i najbliższych przyjaciół był wybitny muzyk Mieczysław Horszowski. Zresztą w muzyce był w pewnym sensie moim ojcem.

Podróże w życiu Józefa Wittlina to osobny temat. Jest autorem esejów „z walizki”: włoskiej, francuskiej, jugosłowiańskiej. Dlaczego wyjeżdżał? Czy tylko z powodu zainteresowania innymi krajami?

Każdy młody i biedny poeta marzy o nowym doświadczeniu, nowych bodźcach, które pobudzają. Ojciec dostał stypendium, ale jego po prostu pasjonowały inne kraje. W momencie, kiedy w Polsce nasilał się antysemityzm, ojciec wyjeżdżał, żeby tego nie widzieć, nie słyszeć, żeby o tym nie wiedzieć. Wolał wtedy pisać we Włoszech, które były jego ukochanym krajem, mimo twierdzenia wielu osób, że była to Francja. By uciec od antysemityzmu ojciec pojechał do Asyżu, do mnichów, tam pisał. Ferdynand Goettel, z którym się przyjaźnił, powiedział mu, tuż przed wojną, żeby wyjechał z Polski, bo on nie jest Polakiem. To powiedział także Pietrkiewicz, któremu ojciec później dziękował. Mówił, że gdyby nie oni, mógłby nie przeżyć.

Kim był Wittlin w swoich tekstach z podróży – reportażystą, obserwatorem? A może podróż stanowiła pretekst do podróży w głąb siebie?

Nie był reportażystą – był obserwatorem, jak Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. Ojca interesował temat śmierci w różnych krajach, rytuały pośmiertne. Odkrywał także bardzo dużo w pojedynczym człowieku, w pojedynczym obrazie. Jeden z jego wierszy powstał po tym, jak zobaczył w Monachium obraz *Ofiara Abrahama* Rembrandta. Od razu utożsamiał się z przedstawionym na nim barankiem. Ojciec szukał ludzi, którzy byli współczesnymi Hiobami. Było ich w tamtym czasie wielu. Każdy był jednak jakoś niepowtarzalny, miał swój własny charakter. On potrafił to odnaleźć.

Czy Europejczycy tamtych czasów byli Hiobami, których ktoś wystawił na próbę?

Ojciec postrzegał życie jako niesprawiedliwość. Martwiła go bieda w Polsce. Przypomina mi się esej *Włodarczyk nie przyjechał*. Interesowali go ci, którym się nie udało. Myślał tak o Chrystusie, szczególnie w odniesieniu do I wojny światowej: że to, co się stało, to jego porażka, porażka jego nauczania. Taka też wydawała mu się Ameryka – choć wolna to potwornie niesprawiedliwa, okrutna, obojętna. A obojętność zabija.

Dla Wittlina Europa w dwudziestoleciu zmierzała ku lepszemu? Ojciec przewidywał, że zbliża się kolejna wojna. Czuł to, miał wręcz omamy, które go przerażały. Twierdził, że

ludzie w dwudziestoleciu byli bardzo naiwni.

Czy Wittlin był pacyfistą?

Uważał, że trzeba wygrać wojnę z Niemcami. Zawsze go szokowało zabijanie, choć nie używał nigdy słowa pacyfista, nigdy się tak nie przedstawiał. Mówił o sobie, że jest zwyczajnym, przeciętnym człowiekiem. Najbardziej utożsamiał się z prostymi ludźmi, bo jego zdaniem mają w sobie prawdziwą poezję. Potrafił zaprzyjaźnić się z policjantem na ulicy, z gazeciarem.

Co dla pani ojca oznaczała I wojna światowa w odniesieniu do kultury?

W I wojnie światowej zginęli normalni ludzie, którzy nie byli zawodowymi żołnierzami. To była wojna, która skrzywdziła wszystkich. Nagle analfabeta czy Hucul był zmuszony zabijać w imię Boga i cesarza. Ludzie zostali zmuszeni do tego by ginąć. Szła za tym również fascynacja zbrodniarzami, na przykład Eligiuszem Niewiadomskim, zabójcą prezydenta Narutowicza. Interesowało go to, co siedzi w głowach takich ludzi. I kwestia władzy... Wciąż jeszcze znajdujemy przykłady tego dziwnego podziwu, uniżonego stosunku wobec władzy. Ojciec był krytyczny. Krytykował też Kościół, ale bardzo lubił papieża Piusa X czy Jana XXIII, do którego niemalże się modlił.

Tutaj mamy wspólny mianownik: poeta, który współodczuwa z największymi ludźmi. Tymi, którzy ponieśli największe ofiary...

Z tymi, których traktowano jak numer, którzy stanowili statystkę. Ojciec nie mógł tego znieść, ponieważ kochał czy fascynował się człowiekiem – pojedynczym, indywidualnym.

Wybuch I wojny kończy pewną epokę, niweczy pewien świat. Zaraz potem wybucha druga...

...którą on przeczuwał, wieszczył. Dla niego już wybuch I wojny światowej był definitywnym końcem XIX wieku, który uważał za punkt kulminacyjny w rozwoju kultury. Ojciec był bliski szaleństwa, kiedy w momencie wybuchu II wojny światowej przebywał w Paryżu. Myślał, że ja z mamą już do niego nie dotrzemy, ponieważ nie uda nam się opuścić okupowanej Polski. Śladem tego są eseje, swoją drogą rewelacyjne, czy listy... Przypomina mi się jeden, w którym ojciec odmawiał wygłoszenia przemowy do Polaków po zakończeniu II wojny światowej. Pisał mniej więcej tak: „Co?! Ja?! Ja, któremu na głowę nie spadały bomby, któremu było ciepło, który był syty, miałbym przemawiać do narodu polskiego?”. A na koniec napisał, że nie wypada, żeby „Żyd się pchał”. Wojnę spędziliśmy już w Ameryce, niemniej ojciec dobrze wiedział, co się dzieje w Europie.

Co się działo po II wojnie światowej? Pytam o refleksje pani ojca.

Był rozczarowany z wielu powodów. Także dlatego, że nie mogliśmy wrócić do Polski, choć bardzo tego chcieliśmy. Był pewny, że po Holokauście, po wojnie, będzie inaczej. Wszyscy tak myśleliśmy. Poza tym mój ojciec przeczuwał, że ktoś będzie żywić urazę. Zresztą, powroty to coś bardzo trudnego. Mnie one fascynują. Jest taki esej mojego ojca *Pierwszy lot*, o tym, jak po raz pierwszy po wojnie udał się do Europy. Wraca do Europy jakby jechał tam po raz pierwszy w życiu. Ojciec zawsze chciał pisać tak, jakby czegoś doświadczał po raz pierwszy.

A jakie znaczenie ma dla pani I wojna światowa? Pytam o jej ocenę z dzisiejszej perspektywy. Obecnie, gdy myśli się o wojnie, to jakby z założenia o drugiej. Po Auschwitz, zdaniem Theodora Adorno, pisanie poezji jest niemożliwe. A po I wojnie było?

W Ameryce czy Hiszpanii I wojna światowa jest modnym tematem. Nie doświadczyłam jej na własnej skórze, czytałam o niej, znam ją ze sztuki, która po niej powstała. To była rzeź. I wojna światowa przyniosła ogromne zmiany. Proszę zauważyć, co działo się w sztuce, w malarstwie, w muzyce. Myślę chociażby o ekspresjonizmie, który plastycznie jest bardzo ważną deformacją, trochę obrazem ludzkiego gatunku. Myślę tutaj o takich malarzach

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON (1932, Polen) – Tochter des polnischen Lyrikers, Prosaisten und Essayisten Józef Wittlin. Geboren in Warschau, verließ sie 1940 das von Nazi-Deutschland besetzte Polen. Sie lebte und studierte in New York mit einem Abschluss in Kunst, Innenarchitektur und Theaterwissenschaften. Nach ihrer Hochzeit übersiedelte sie nach Spanien und studierte dort spanische Lyrik wie auch Geschichte der spanischen Kunst und Architektur. Sie entwarf Bühnenbilder und Kostüme für Dramen von u.a. Calderón und Gombrowicz. 2011 erschienen ihre Memoiren unter dem Titel *From One Day to Another*. Sie lebt in Madrid und besucht regelmäßig Polen und New York.

WOJCIECH S. WOŃCŁAW (1986, Polen) – Absolvent der Fakultät für Polonistik an der Jagiellonen-Universität Krakau. Autor des Buchs *Pamiętnik [...] wsi* (Memoiren [...] auf dem Land, 2008) sowie der literarischen Reportage *Bezdomni* (Die Obdachlosen, 2010). Initiator und Mitherausgeber einer Wittlin-Konferenz (Krakau, 2011). Mitherausgeber des Sammelbandes *Etapy Józefa Wittlina* (Veröffentlichung für April 2014 geplant). Veröffentlichungen in „Dekada literacka“, „Ekspresje“, „Fraza“, „Konteksty Kultury“, „Pogranicza“, „Red“, „Tygiel Kultury“. Preis des „Archiwum Emigracji“ für seine Forschungen zur polnischen Auswanderung im 20. Jahrhundert (2011).

jak Otto Dix czy Max Beckman. Albo o ruchu „Błękitny Jeździec”. Hitler tę sztukę uważał za zdegradowaną. Ojciec I wojnę światową porównywał do Troi. Może boimy się, że mogłaby się powtórzyć? Dziś amerykańskie dziecko nie myśli, że wojna może się zdarzyć w jego kraju, na jego ziemi. Wojna dzieje się daleko, młodzi ludzie wyjeżdżają na nią i tam umierają. W domu nic jednak nie ma prawa spaść na głowę, choć przykład World Trade Center pokazuje, że jest inaczej. Ta zmiana dopiero doszła do rzeczywistości XXI wieku. Pearl Harbor leży bardzo daleko od Nowego Jorku...

ELŻBIETA WITTLIN-LIPTON (1932, Polska) – córka Józefa Wittlina, polskiego poety, prozaika i eseisty. Urodzona w Warszawie, opuściła okupowaną przez nazistów Polskę w 1940 roku. Zamieszkała w Nowym Jorku, gdzie zdobyła wykształcenie z dziedziny sztuki, projektowania wnętrz i teatru eksperymentalnego. Po ślubie przeprowadziła się do Hiszpanii, gdzie studiowała poezję oraz historię hiszpańskiej sztuki i architektury. Projektowała scenografię i kostiumy do sztuk, na przykład Calderona de la Barca czy Witolda Gombrowicza. W 2011 roku ukazały się jej wspomnienia zatytułowane *From one day to another* [wydanie polskie: *Z dnia na dzień*, Toruń 2012]. Na stałe mieszka w Madrycie. Często odwiedza Polskę i Nowy Jork.

WOJCIECH S. WOŃCŁAW (1986, Polska) – absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor książki *Pamiętnik [...] wsi* (2008) oraz literackiego reportażu *Bezdomni* (2010). Pomysłodawca i współorganizator Konferencji Wittlinowskiej (Kraków, 2011). Współredaktor publikacji zbiorowej *Etapy Józefa Wittlina* (planowane wydanie – kwiecień 2014). Publikował w „Dekadzie Literackiej”, „Ekspresjach”, „Frazie”, „Kontekstach Kultury”, „Pograniczach”, „Red”, „Tyglu Kultury”. Laureat wyróżnienia w konkursie Nagroda Archiwum Emigracji (2011).

DIE ZWEI GESICHTER DES MAJDAN DWA OBLICZA MAJDANU

© Rostyslav Shpuk

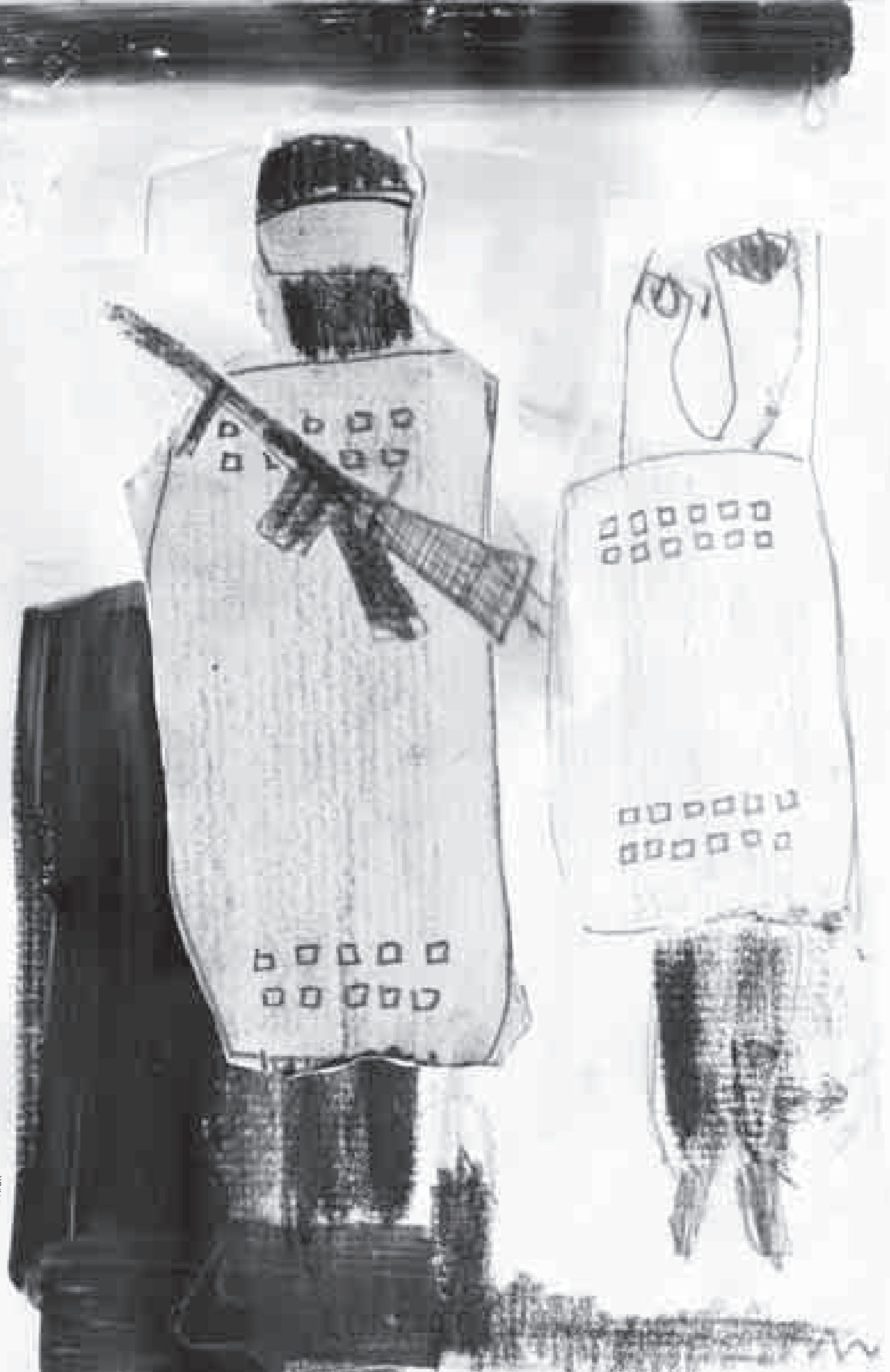


Die Atmosphäre, die Menschenmassen, die Unnachgiebigkeit, die gute Organisation – all das rief auf dem Majdan Begeisterung in mir hervor. Gleichzeitig aber beunruhigten mich manche Tendenzen, die in der ukrainischen Gesellschaft nun mit doppelter Wucht zutage traten.

Ich kam Ende November nach Kiew, einen Tag vor dem Gipfeltreffen der Östlichen Partnerschaft in Vilnius. Auf dem Unabhängigkeitsplatz sah man Entmutigung, einen Mangel an Ideen, wie man auf Präsident Janukowitsch Einfluss nehmen könnte, und vor allem fehlenden Glauben. Letztlich versuchte man die Probleme zu verdrängen, indem man als Protest gegen die Regierung auf dem Zentralplatz von Kiew zu tanzen begann. Rund um die Uhr wippten am Unabhängigkeitsdenkmal junge Leute im Rhythmus der Musik, und mit ihnen Ruslana, Hüpfrekorde brechend. „Das ist das Ende“ – dachte ich,



© Rostyslav Shpuk



obgleich ich spürte, dass dieser Zorn so schnell nicht wieder vergehen würde.

Meine Intuition hat mich nicht getäuscht. Auch wenn Hilfe für die Demonstranten von einer Seite kam, von der man es am wenigsten erwartet hätte. Die Antwort darauf, wie es mit dem Majdan weitergehen soll, lieferte nämlich die Regierung selbst, indem sie morgens um vier die verschlafenen Demonstranten mithilfe von Gummiknüppeln auseinander scheuchte.

Diesen Tag vergesse ich nicht, denn wenn es in den ukrainischen Protesten etwas wirklich Phänomenales gab, dann eben am 30. November. Der Großteil der Flüchtenden suchte Unterschlupf in der Michaelskathedrale. Von morgens an schwirrten dort Unmengen von Menschen herum, darunter viele mit Kopfverletzungen – die Miliz ließ ihnen keine Chance, friedlich auseinander zu gehen. Zeugen erzählten mir von wilder Aggression, die sie auf den Gesichtern der Milizionäre sahen. Genau das gleiche sah ich einen Tag später in der Bankowa-Straße, als vor der Präsidentenverwaltung eine rasende Milizabteilung in voller Montur anrückte, um die Demonstranten zu vertreiben. Und bei Gelegenheit etliche unbeteiligte Personen niederzuprügeln – darunter Journalisten und sogar Ärzte.

Die Grausamkeit der Miliz weckte jedoch unerwartet einen riesigen Zorn in der Gesellschaft. An der Kathedrale kamen seit dem Morgen immer mehr Menschen zusammen und es wurde klar, dass mit dem artigen Tanzen auf dem Majdan nun Schluss war. Als auf dem Michaelsplatz ein Milizbus auftauchte, stürzten sich die Versammelten auf ihn und schrien zunächst „Schande!“, dann schlugen sie mit den Händen auf die Karosserie ein und rissen einen Spiegel ab.

Je weiter der Tag voranschritt, desto mehr Menschen kamen, bis schließlich über Zehntausend versammelt waren. Das ist im Vergleich zu vorangehenden und nachfolgenden Ereignissen zwar keine überwältigende Menge, aber etwas anderes war hier wichtig: die Atmosphäre. Sie ließ einem Schauer über den Rücken laufen.

Am 30. November tobte Kiew – vor Wut, aber auch vor Freude. Man spürte die Spannung und die Erwartung, dass irgendetwas passieren würde. Plötzlich begann man spontan, den Protest zu organisieren – jemand fertigte Banner an, ein anderer half beim Aufbau einer mobilen Küche. An der Straße standen zunächst zwei junge Frauen mit Transparenten, die Vorbeifahrende zum Mitmachen ermutigen sollten. „Wer, wenn nicht du?“ stand auf einem von ihnen. Bald schon entstand so eine ganze

Menschenkette auf dem Gehweg. Die Autofahrer antworteten mit Hupen. Am Abend waren viele Autos in die Nationalfarben gehüllt. Die Menschen strahlten Selbstbewusstsein aus. Glaubten jetzt, dass sie siegen könnten.

Daraufhin protestierten am nächsten Tag mehrere Hunderttausend, und zwar schon bedeutend mutiger als zuvor. Das Aufhängen der Flagge am Neujahrsbaum, der der Grund war, die Studenten auseinander zu treiben, und die Besetzung der Gebäude im Zentrum waren ein klares Signal – die Ukrainer lassen sich nicht erschrecken und sind bereit zum Kampf für ihre Forderungen. Das gilt übrigens bis heute.

Zur selben Zeit zeigte der „neue“ Majdan jedoch auch, was mich an diesen Protesten am meisten entsetzt – einen radikalen Nationalismus, auf den keine anderen Teilnehmer mildernd einwirken. Am 30. November trainierte am Michaelsplatz eine Gruppe Nationalisten. Ihr Trainer, ein muskelbepackter Kerl in Lederjacke und Sturmhaube, zeigte über hundert jungen Leuten, was man im Nahkampf zu tun hat, wie man zuschlägt und die Ausrüstung einsetzt. „Jemand muss uns ja schützen“ – sagte eine Frau um die dreißig zu ihren Bekannten. Fasziniert beobachteten viele die Trainierenden.

Am nächsten Tag hatte ein Teil von ihnen Gelegenheit, sich im Kampf um das Rathaus und während der Unruhen in der Bankowa-Straße zu bewähren. Natürlich schob die Opposition alles auf die Provokateure, über deren Anwesenheit fast keine Zweifel bestehen. Doch die Provokationen allein erklären nicht, was am 1. Dezember geschehen ist. Um den Bulldozer herum, von dem man nicht weiß, wie er überhaupt in die Bankowa-Straße gekommen ist, gab es viele Leute, die meinten, man müsse auf diese Weise handeln – unter Einsatz von Gewalt und ohne Kompromisse. Eine friedliche Bewegung erreicht ihrer Meinung nach nicht ihre Ziele. Die Provokateure fanden also einen sehr fruchtbaren Boden vor; ohne die Unterstützung eines Teils der Demonstranten hätten sie nicht so viel erreichen können.

Dies ist eines der Probleme, die der Majdan nun bewältigen muss. Eine nationalistische Welle kann nicht die Antwort auf das Regime von Janukowitsch sein. Beunruhigend ist, dass die Bewegung dieses Problem völlig ignoriert. Denn der Nationalismus wird nicht verschwinden, im Gegenteil – er kann weiter wachsen und die Hoffnung auf eine europäische Integration zunichtemachen, und zwar in nicht geringerem Maße als das Regime von Janukowitsch.

[Übersetzung: Melanie Foik]

bienie, brak pomysłu jak wpłynąć na prezydenta Wiktora Janukowycza, a przede wszystkim brak wiary. W rezultacie próbowano wyprzeć te problemy poprzez zorganizowanie antyrządowej dyskoteki na centralnym placu Kijowa. Przez całą dobę pod Pomnikiem Niepodległości w rytm muzyki bujali się młodzi ludzie, a wraz z nimi bijąca rekordy skakania na scenie Rusłana. „To koniec” – myślałem, chociaż jednocześnie

czułem, że ta złość nie minie tak szybko.

Moja intuicja jednak mnie nie zawiodła. Chociaż pomoc dla demonstrantów przyszła z najmniej oczekiwanej strony. Odpowiedzi na to, co ma dalej zrobić ze sobą Majdan, dostarczyła władza, gdy za pomocą milicyjnych pałek, rozgoniła zaspanych demonstrantów o czwartej nad ranem.

Tego dnia nie zapomnę, bo jeśli było coś naprawdę zjawiskowego w ukraińskich protestach, to właśnie 30 listopada. Większość uciekinierów z Majdanu schroniła się w Soborze Mychajłowski. Od rana kręciło się tam mnóstwo ludzi, a wśród nich wielu z porozbijanymi głowami – milicja nie dawała im szansy, aby rozejść się spokojnie. Świadkowie opowiadali mi o dzikiej agresji, którą widzieli na twarzach milicjantów. Dokładnie to samo widziałem dzień później na ulicy Bankowej, gdy spod Administracji Prezydenta nadciągała wściekła chmara funkcjonariuszy w pełnym rynsztunku, aby rozgonić demonstrantów. Przy okazji bijąc kilkadziesiąt postronnych osób – w tym dziennikarzy, a nawet medyków.

Milicyjne bestialstwo niespodziewanie obudziło jednak ogromny gniew społeczny. Pod Soborem od rana zaczęli zbierać się ludzie i czuć było, że to już koniec grzecznej dyskoteki na Majdanie. Gdy przy placu Mychajłowski zaplątał się milicyjny autobus, zebrani rzucili się na niego – najpierw krzyczeli „Hańba!”, a potem walili rękami o karoserię i urwali lusterko.

Wraz z upływającymi godzinami tłum stawał się coraz większy, dobijając do ponad dziesięciu tysięcy osób. I chociaż w porównaniu do wcześniejszych i późniejszych wydarzeń nie jest to liczba powalająca, to ważne było tam co innego. A mianowicie atmosfera. Aż ciarki chodziły po plecach.

30 listopada Kijów oszalała – ze złości, ale także radości. Czuć było napięcie i wyczekiwanie, aż coś się wydarzy. Nagle zaczęła się spontaniczna organizacja protestu – ktoś robił banery, ktoś pomagał budować kuchnię. Przy ulicy stały najpierw dwie dziewczyny z transparentami zachęcającymi pasażerów przejeżdżających samochodów do dołączenia się do protestów. „Kto jak nie ty?” – było

PAWEŁ PIENIAŻEK (1989, Polen) – Journalist mit Schwerpunkt Osteuropa, studierte Ukrainistik an der Warschauer Universität, arbeitete bei der Zweimonatsschrift „Nowa Europa Wschodnia” und der Zeitschrift „Krytyka Polityczna“. Als einer der ersten polnischen Journalisten kam er bereits Ende November 2013 auf den Kiewer Majdan. Beim Versuch der Auflösung der Demonstration am 1. Dezember wurde er von der Miliz trotz Vorlage seines polnischen Presseausweises geschlagen.

napisane na jednym z nich. Wkrótce wzdłuż chodnika ustawił się cały szereg ludzi. Kierowcy odpowiadali klaksonami. Wieczorem wiele pojazdów było przystrojonych w barwy narodowe. Ludzie emanowali pewnością siebie. Uwierzyli, że mogą zwyciężyć.

Rezultatem tego był kilkusettyśięcny protest następnego dnia, już znacznie śmielszy niż poprzednie. Zawieszenie flag na noworocznej choince, co było powodem rozgonienia studentów, i zajęcie budynków znajdujących się w centrum było jasnym sygnałem – Ukraińcy wcale się nie przestraszyli i są gotowi walczyć o swoje postulaty. Robią to zresztą do dzisiaj.

Jednocześnie ten „nowy” Majdan pokazał coś, co mnie najbardziej przeraża w tych protestach – radykalny nacjonalizm, który nie jest temperowany przez innych uczestników. 30 listopada na placu Mychajłowski ćwiczyła grupa nacjonalistów. Ich trener, napakowany gość w skórze i kominiarce, pokazywał ponad setce młodych ludzi jak działać w zwarcu, jak się bić i jak wykorzystywać sprzęt. „Kto nas musi bronić” – mówiła mniej więcej trzydziestoletnia kobieta do swoich znajomych. Trenującym z fascynacją przyglądało się wiele osób.

Następnego dnia część z nich miała okazję sprawdzić się w walce o ratusz i podczas zamieszek na ulicy Bankowej. Oczywiście opozycja wszystko zrzuciła na prowokatorów, których obecność jest niemal pewna. Jednak sama prowokacja nie wyjaśnia tego, co działo się 1 grudnia. Obok spychacza, który nie wiadomo skąd znalazł się na ulicy Bankowej, było dużo osób uważających, że trzeba działać w taki sposób – z użyciem przemocy i bezkompromisowo. Pokojowy ruch – według nich – nie osiągnie swoich celów. Prowokatorzy trafili więc na bardzo podatny grunt, bez partia części uczestników nie udałoby się im tyle osiągnąć.

Jest to jeden z poważniejszych problemów, który musi przepracować Majdan. Nacjonalistyczna fala nie jest bowiem odpowiedzią na reżim Janukowycza. Niepokojące jest to, że ruch kompletnie ignoruje ten problem. Nacjonalizm bowiem nie zniknie, a wręcz przeciwnie – może stać się jeszcze silniejszy, grzebiąc nadzieje na integrację europejską w nie mniejszym stopniu niż reżim Janukowycza.

PAWEŁ PIENIAŻEK (1989, Polska) – dziennikarz specjalizujący się w tematyce Europy Wschodniej, studiował ukrainistykę na Uniwersytecie Warszawskim, pracował w dwumiesięczniku „Nowa Europa Wschodnia”, oraz w „Krytyce Politycznej”. Jako jeden z pierwszych polskich dziennikarzy obecny na kijowskim Majdanie już od końca listopada 2013 roku. Pobity przez milicjantów 1 grudnia podczas próby pacyfikacji demonstrujących mimo okazywania polskiej legitymacji prasowej.

Atmosfera, tłumy, nieustępliwość i samoorganizacja – wszystko to zachwyliło mnie na Majdanie. Jednocześnie zaniepokoiły mnie te tendencje, które ze zdwojoną siłą odezwały się w ukraińskim społeczeństwie.

Do Kijowa przyleciałem pod koniec listopada, na dzień przed rozpoczęciem szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie. Na placu Niepodległości widać było przygnę-

PREIS DER IDENTITÄT ЦЕНА ИДЕНТИ- ФИКАЦИИ

Czy da się ten ukraiński tytuł podzielić?

► Darüber wird jetzt viel geschrieben. Es wurde auch schon vor dem Maidan viel darüber geschrieben. Es geht darum, dass es in der Ukraine Millionen Menschen gibt, die mit ihr nichts zu tun haben wollen. Einem gefällt die ukrainische Sprache nicht, ein anderer will sie nicht lernen, sprechen oder überhaupt hören. Wiederum ein anderer hasst die ukrainischen Trachten und Kosakenfrisuren, jemandem ist die ukrainische Geschichte zuwider oder jemand findet die romantischen Dichter Schewtschenko und Lesja Ukrajinka ekelhaft. Es gibt auch solche, die einfach keine Ahnung haben, was das alles mit ihnen zu tun hat oder einfach Angst davor haben: Sie haben Angst, sich selbst, ihre Identität zu verlieren.

Welche denn? Nicht immer ist es klar, welche Identität diese Menschen haben und warum die nationale Staatlichkeit sie vernichten wird. Aber wenn die Identität „keine konkrete“ ist, so wird sie mit Sicherheit vernichtet, und durch eine konkrete – ukrainische – ersetzt. Es kommt mir vor, dass niemand solche Drohungen spürt, außer den „Russen“, die man hier nur bedingt so nennen kann (es gibt noch eine besondere Region – das Transkarpatengebiet, aber da kenne ich mich nicht aus). Ich glaube, dass solche Menschen, auch wenn sie sich einfach Russen nennen (nicht "Sowjetmenschen"), unbewusst auf die sowjetische Erfahrung des künstlichen Russentums zurückgreifen – nicht im nationalen, sondern im imperialen Sinne. So entstand dieses „offizielle staatliche Konzept: Russische Sprache – Russische Kultur“ mit



© Rostyslav Shpuk

seiner Angst vor Bandera (Anführer der antisowjetischen ukrainischen Partisanenarmee – A.d.Ü.), dem unheilbringendem Westen und grausamen Faschisten. In der UdSSR wurde alles Nationale entweder als eine archaische Dekoration oder als eine Gefahr für das „Sowjetische“ wahrgenommen.

Genauer gesagt, sehnen sich die heutigen Kämpfer für die russische Kultur nicht nach Balalajkas, sondern nach einem sowjetischen Projekt, das Nachfolger des russischen Imperium-Projektes wäre. Der Gegenstand ihrer besonderen Liebe beschränkt sich auf das sowjetische Schulprogramm. Das ist wohl die berühmte Gründlichkeit des sowjetischen Bildungswesens. In der Ostukraine gibt es viele, die sich „Russen“ nennen, in der Wirklichkeit jedoch sind das irgendwelche unbestimmte postsowjetische Menschen. Oft verstehen sie grundsätzlich nichts Nationaethnisches, unter anderem auch nichts Ukrainisches.

Viele von uns haben gedacht, dass das Problem in der nationalen „Färbung“ der ukrainischen Staatlichkeit liegt, obwohl die ukrainische Ethnie nicht homogen, sondern

vielfältig ist: Es gibt das westukrainische Lemberg, das mittelukrainische Poltawa und auch die Ostukrainer. Mein Schwiegervater ist in Kasachstan in einer Familie ukrainischsprachiger Umsiedler aus dem Gebiet Donezk geboren. Aber OK, die Ukrainer haben diese widerlichen Kosakenfrisuren und ekelhaften Strickhemden, und das Wort „Bier“ sprechen sie anders aus. Zugegeben, das ist ein unlösbares Problem...

Und auf einmal entsteht praktisch aus dem Nichts ein Projekt der europäischen Ukraine – ein Phantasieprojekt, aber trotzdem ein klares und deutliches. Das Projekt einer Ukraine ohne ethnische Totalität, einer zukunftsorientierten und weltoffenen Ukraine. Man hätte glauben können – da ist gerade eine passende Variante für diese Millionen entstanden, die sich in der Zeit und in den Staatsgrenzen verlaufen haben. Aber nein! Dieses Projekt rief bei ihnen zuerst eine betrübte Verwirrung aus hervor, und dann, als es gescheitert war – Schadenfreude. Wir schreien, dass das nicht mehr ein „Euromaidan“ ist, dass das nicht mehr um die EU, sondern um die Ukraine geht – aber sie wechseln nicht auf unsere Seite, denn sie brauchen weder Europa, noch – wie üblich – die Ukraine. Sie brauchen eine Null. Ein Nichts. Das Ausbleiben einer Identität.

Und hier ist und bleibt die Ukraine. Deswegen neigen diese Menschen zum Regionalismus – die "Krimer", "Charkiver", "Odessaer", "Donezker". Sie können sich nicht „russisch“ nennen, sie haben keine Möglichkeit,

sich „sowjetisch“ zu nennen, aber „ukrainisch“ zu sein – das ist für sie unvorstellbar. Daher kommen verschiedene Fantasiebezeichnungen. Sie sind egal was und egal wer, aber nur nicht Ukrainer. Eine merkwürdige „negative“ Ethnie der Nichtukrainer in der Ukraine.

Das ist der Preis der Identifikation. Sie sind bereit ihn für immer zu zahlen. Sie werden sich gerne loskaufen von der ukrainischen Identifikation – mit der kriminellen Regierung, mit der eigenen Armut, mit Gemeinheit, Nichtigkeit, moralischem Untergang. Nur, um nicht Ukrainer zu werden, um dieses Land nicht zu akzeptieren, nicht zu einem Teil von ihm zu werden. Und wir zahlen auch unseren Preis – mit unserer Verzweiflung, unendlichen, hoffnungslosen Streitereien, mit unseren Leben, die von der Macht der Banditen gebrochen und vernichtet werden. Der Preis der Identifikation ist ein schwarzes Loch, in das seit Jahrzehnten die Ressourcen eines großen, starken und reichen Landes verschwinden. Unbestimmtheit, Nicht-Ukraine, Nichts. Ein Antistoff.

Was soll man damit tun? Zugrunde gehen oder doch zu einem Land werden, zur Ukraine? Sie werden sich ein wenig unbequem fühlen. Uns wird es ein wenig peinlich sein. Doch legen wir endlich zusammen und zahlen diesen ungeheuren Preis für die Identifikation aus.

[Übersetzung: Olha Sydor]

Об этом много и часто пишут сейчас, писали и до Майдана. Речь о том, что в Украине живут миллионы людей, которые не хотят иметь с ней ничего общего. Кому-то не нравится украинский язык, кто-то не хочет его учить, говорить на нем или вообще его слышать, кому-то ненавистны вышиванки и оселедцы, кому-то противна украинская история, кого-то тошнит от Шевченко и Леси, опять же, Украинки, кто-то просто не понимает, какое это все имеет к нему отношение. Кто-то откровенно всего этого боится, боится потерять себя, свою идентификацию.

Какую? Не всегда понятно, какую, и почему национальная государственность ее должна уничтожить. Но если «никакую определенную», – то конечно, уничтожит, поскольку заменит ее на все-таки определенную – украинскую. Мне кажется, такой угрозы не ощущает никто, кроме условных «русских» (наверное, отдельная песня – Закарпатье, но я ее не знаю). Думаю, такие люди, даже полагая себя просто русскими (не «советскими»), неосознанно опираются на советский опыт примата специфической искусственной русскости – не национальной, но имперской, «официального государственного русскоязычия-русскокультурия» с его ужасом перед Бандерой, тлетворным Западом, свирепыми фашистами. Насколько я помню, в СССР все национальное воспринималось либо как архаичная декорация, либо как опасность, угроза «советскому».

Если внимательно посмотреть, современные борцы за русскую культуру тоскуют отнюдь не по балалайкам с косоворотками, но по советскому проекту как премнику российского имперского, «великого». Предмет их особой любви, фактически, исчерпывается советской школьной программой. Это, наверное, и есть хваленая основательность советского образования, но я сейчас не об этом. И даже не о «русских» – на Востоке Украины мало кто уверенно себя считает таковым, это просто некие неопределенные постсоветские люди. Они зачастую не понимают и не принимают национального-этнического вообще, и в частности – украинского.

Многие из нас думали, что вся проблема в национальной окраске возможной украинской государственности, этой ненавистной многим «самостийности». Хотя украинская этника неоднородна и многообразна. В ней есть Львов, есть Полтава, а есть украинцы Востока – например, мой первый тесть, который вырос в Казахстане, в украинской и украиноязычной семье переселенцев из Донецкой области. Но ОК, все они с противными оселедцами в мерзких вышиванках, и препаскудно говорят «пыво»; неразрешимая проблема. И вот вдруг практически из ниоткуда (и немного из середины двухтысячных) появляется проект европейской Украины – фантазматический, но от этого не менее четкий и ясный. Украины без этнической тотальности, устремленной в будущее,

к космополитизму Европы, к «глобальной деревне» современности, – настолько, что «почвенники» недоброжелательно заворчали. Казалось бы, вариант для этих потерявшихся во времени и государственных границах миллионов?

Но нет. Этот проект вызвал сначала горестное, тяжкое недоумение, а потом, когда провалился – взрыв злорадства. Мы кричим, что это уже не Евромайдан, это просто за Украину, – но они не переходят на нашу сторону, потому что им не нужна ни Европа, ни – традиционно – Украина. Им нужен ноль. Ничто. Отсутствие идентификации.

А тут, как ни крути, Украина упорно оказывается Украиной. Поэтому эти люди постоянно сползают в регионализм – они "крымские", «харьковчане», «одеситы», «донецкие» – они не могут назвать себя «русскими», у них нет возможности назвать себя «советскими», но быть «украинцами» для них – недопустимо. Отсюда всякие безумные анэтнические «казаки» и «Союз деникинских юрт Белоукраино». Они кто угодно и шо попало, но только не украинцы. Поразительный «отрицательный» этнос неукраинцев в Украине.

ZAVEN BABLOJAN (1971, Ukraine) – Übersetzer ins Russische, Literatur- und Verlagsmanager. Übersetzt vorwiegend moderne ukrainische Literatur. Autoren wie J. Andruchowytch, L. Deresch, S. Zhadan, A. Kokotjucha, S. Krymskyj, T. Prochasko und N. Sniadanko erschienen in russischen und ukrainischen Verlagen in seiner Übersetzung. Daneben übersetzt er auch geisteswissenschaftliche Texte aus dem Englischen. Er arbeitet mit der Charkiwier Gesellschaft für Psychoanalyse und dem Institut für Praktische Psychologie und Psychoanalyse in Moskau zusammen. Er lebt und arbeitet in Charkiw.

Вот это и есть цена идентификации. Они готовы ее платить бесконечно. Всеми силами, чем угодно они готовы откупаться от украинской идентификации – бандитизмом власти, собственной нищетой, подлостью, ничтожеством, моральным падением. Только бы не становиться украинцами, не признавать эту страну, не превратиться в нее. И мы тоже платим эту цену – своим отчаянием, бесконечными безнадежными спорами, своими жизнями, которые ломает и раздавливает разрастающаяся за их счет бандитская власть. Цена идентификации – черная дыра, куда годами, десятилетиями проваливается ресурс большой, богатой, сильной страны. Неопределенность, не-Украина, недострана, ничто. Аннигилирующая с материей анти-материя, взаимно уничтожающаяся цена, с нашей и с их стороны, на которой навариваются миллиарды. Что с этим делать? Сгореть, сгнить, истлеть в этом аду – или все-таки стать страной, Украиной. Им будет немножко неудобно – как в середине двухтысячных. Нам будет немножко неловко – ведь им же неудобно становиться украинцами. И мы, и они – скинемся еще по чуть-чуть. И выплатим наконец эту чудовищную цену идентификации.

ZAVEN BABLOJAN (1971, Україна) – перекладач на російську, літературний та видавничий менеджер. Перекладає з української переважно сучасну українську літературу. В його перекладах у російських та українських видавництвах вийшли книги таких авторів, як Ю. Андрухович, Л. Дереш, С. Жадан, А. Кокотюха, С. Кримський, Т. Прохасько, Н. Сняданко. Також перекладає з англійської гуманітарну наукову літературу. Співпрацює з Харківським психоаналітичним товариством та Інститутом практичної психології та психоаналізу (Москва). Живе і працює в Харкові.

